

Książka pobrana ze strony
<http://www.ksiazki4u.prv.pl>
lub
www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl

WINSTON GROOM

Forre
st

Gum

p

Przełożyła
JULITA WRONIAK



*Szaleństwo to źródło rozkoszy
znanej jedynie szaleńcom...*

DRYDEN

I

Jedno wam powiem: życie idioty to nie bułka z masłem. Ludzie śmieją się, tracą cierpliwość, traktują podle. Niby wszyscy wiedzą, że mają być wyrozumiali dla pośledzonych, ale wiercie mi — wcale tak nie jest. Ale nie narzekam, bo w sumie całkiem nieźle ułożyło mi się w życiu.

Jestem idiota od urodzenia. Mój iloczyn rozumu wynosi niecałe 70, więc się kwalifikuję. Przynajmniej tak twierdzą ci co się znają. Mówiąc fachowo to pewno jestem debil albo imbecyl, ale ja osobiście wolę uchodzić za półgłówka, bo te inne nazwy kojarzą się z mongolami co to mają oczy usadzone tak blisko siebie, że wyglądają jak Chińczyki, a w dodatku się ślinią i bawią same sobą.

Zaden ze mnie orzeł, fakt, ale nie jestem tak głupi jak się ludziom zdaje, bo to co oni widzą nijak się nie ma do tego co się telepie w mojej łepetynie. Umiem myśleć całkiem do rzeczy, ale kiedy próbuję coś powiedzieć albo napisać to wychodzi jakbym pod sufitem miał galarete. Opowiem wam coś to zrozumiecie.

Idę kiedyś ulicą, a przed jednym z domków pracuje facet. Kupił sobie krzaki do posadzenia w ogrodzie i woła do mnie:

— Hej Forrest, chcesz trochę zarobić?

— Aha — mówię.

Więc on na to, żebym powywoził taczkami ziemię. Słońce grzeje jak sto diabłów, a ja wywożę i wywożę. Było tego, kurde flaki, z dziesięć czy dwanaście taczek. Kiedy skończyłem facet wyciąga z kieszeni dolara. Zamiast się zezłościć że taki z niego sknera, wzięłem tego cholernego dolca, mruknęłam „dziękuję” czy coś równie durnego i miętosząc go w łapie ruszyłem przed siebie. Czuję się jak idiota.

Widzicie?

Znam się na idiotach. To chyba jedyne na czym się znam. Dużo o nich czytałem; czytałem o idiocie tego, no jak mu tam, Dostojskiego, o błaźnie króla Lira, o Benjim, tym idiocie u Faulknera i nawet o starym Boo Radley w *Zabić drozda* — ten to dopiero był szajbus. Najbardziej podobał mi się Lennie w *Myszach i ludziach*. Większość tych facetów od książek zna się na rzeczy, bo ich idioci też są mądrzejsi niż się innym zdaje. I kurde Balas, słusznie! Każdy idiota wam to powie. Ha, ha.

Kiedy się urodziłem mama nazwała mnie Forrest — na cześć generała Nathana Bedforda Forresta co walczył w wojnie sukcesyjnej. Mama ciągle powtarza, że jesteśmy jakoś z nim skrewnieni. Twierdzi, że generał to był wielki człowiek tyle że po wojnie założył Klu Klux Klan, a nawet babcia uważa, że ten cały klan to zgraja łobuzów. I chyba ma rację, bo na przykład u nas ich Wielki Wizjer, czy jak go zwać, prowadzi sklep z bronią i kiedyś, jak miałem dwanaście lat i przechodziłem obok, spojrzałem w okno a tam wisiał taki sznur z pętlą, coś jakby katowski smyczek. Na mój widok gość zarzucił sobie ten smyczek na szyję, podniósł koniec do góry i wywalił jęzor jakby się dusił. Wszystko po to, żeby napędzić mi pietra. Pognałem ile siły w nogach na parking i schowałem się za samochodami. Potem przyjechali policjanci, bo ktoś po nich zadzwonił i odwieźli mnie do mamy. Więc wszystko jedno czym się jeszcze rozsławił ten generał Forrest, ale pomysł z klanem był kretyński — każdy kretyn to wie. No ale imię mam po nim.

Moja mama to fajna osoba. Wszyscy tak mówią. Tata zginął zaraz jak się urodziłem, więc w ogóle go nie znałem. Był robotnikiem portowym. Któregoś dnia wyładowywano ze statku wielką sieć z bananami i nagle coś się urwało i te wszystkie banany spadły prosto na tatę i zgniotyły go na placek. Słyszałem kiedyś jak paru facetów o tym gadało: mówili, że pół tony rozciapczanych bananów i tatko zapaskudzili cały dok. Osobiście nie lubię bananów, chyba że budyń bananowy. Tak, budyń bananowy to nawet bardzo.

Mama dostała rentę po tacie i wzięła kilku lokatorów, więc w sumie wzięliśmy końce. Kiedy byłem mały nie wypuszczała mnie na dwór, żeby inne dzieciaki mi nie dokuczały. Latem jak było gorąco sadzała mnie na podłodze w salonie, zasłaniała okna, żeby słońce nie wpadało i przyrządzała dzbanek limoniady. Potem siadała obok i mówiła do mnie o wszystkim i o niczym tak jak się mówi do kota albo psa. Ale mnie się podobało, bo jak słuchałem jej głosu czułem się bezpieczny i było mi dobrze.

Dopiero jak trochę podrosłem zaczęła wypuszczać mnie z domu. Z początku pozwalała mi się bawić ze wszystkimi, ale potem zobaczyła, że się ze mnie wyśmiewają i w ogóle, a jeszcze potem jakiś chłopak walnął mnie kijem tak mocno, że zrobiła mi się na plecach czerwona szrama, no i wtedy mama powiedziała, żebym się więcej nie bawił z chłopcami. Więc próbowałem się bawić z dziewczynkami, ale kiepsko mi szło, bo ciągle przede mną uciekały.

Mama uznała, że pošle mnie do normalnej szkoły, to może stanę się jak inni, ale po pewnym czasie wezwano ją i powiedziano, że to nie miejsce dla mnie. Pozwolili mi zostać do końca roku szkolnego. Czasem siedziałem sobie grzecznie w ławce, nauczycielka coś tam głądziła, a do mnie nic nie docierało, bo patrzyłem na ptaki i wiewiórki, które skakały po dużym dębnie za oknem. A czasem ogarniało mnie jakieś takie dziwne uczucie i strasznie krzyczałem, a wtedy nauczycielka mówiła, żebym wyszedł z klasy i posiedział sobie na korytarzu. Dzieciaki w szkole nie chciały się ze mną bawić ani nic, tylko mnie ganiały albo próbowały wnerwić, a potem się ze mnie śmiały. Wszystkie oprócz Jenny Curran. Ona jedna nie uciekała jak do niej podchodziłem i czasem pozwalała mi iść koło siebie jak wracała po lekcjach do domu.

W następnym roku przeniesiono mnie do innej szkoły i mówię wam, to był istny dom wariatów! Zupełnie jakby ktoś specjalnie wyszukał wszystkich dziwolaków na świecie i zebrał ich razem, od chłopców w moim wieku i młodszych po takich szesnasto i siedemnastoletnich. Byli w tej nowej szkole różni zacofańce, epileptyk! i niedorozwoje co to nie umiały same jeść ani same się odlać. Pewno byłem najnormalniejszy z nich wszystkich.

Między innymi chodził tu taki jeden grubas, miał ze czternaście lat czy coś koło tego i nie wiem co mu było, ale cały czas strasznie się trząsał — jakby siedział w krześle elektrycznym. Ile razy musiał iść do kibla, nasza nauczycielka, panna Margaret, mówiła żebym z nim poszedł i pilnował, żeby nie robił nic dziwnego. Ale on tak i tak wyprawiał dziwne rzeczy a ja nie umiałem go powstrzymać, więc zamykałem się w drugiej kabinie i czekałem aż skończy, a potem odprowadzałem go do klasy.

Chodziłem do tej szkoły pięć czy sześć lat i nawet nie było najgorzej. Pozwalali nam malować paluchami i coś tam lepić, ale głównie pokazywali nam jak się wiąże szlurówki, jak się je żeby się nie zafajdać i jak się przechodzi przez jezdnię. I tłumaczyli, że nieładnie jest wydzierać się, bić i pluć na siebie. Nauki z książkami właściwie nie było, ale uczyliśmy się czytać różne znaki, żeby na przykład nie pomylić kibla męskiego z damskim. No ale skoro było tu tyle świrów to nic dziwnego, że tak wyglądała nauka. Zresztą chyba po to tylko wymyślono tę szkołę, żebyśmy się innym nie plątali między nogami. Lepiej mieć nas w kupie, nie? Po co ma się banda czubów pałętać gdzie popadnie? Nawet ja to kapuję.

Jak skończyłem trzynaście lat zaszło kilka ważnych rzeczy. Po pierwsze zacząłem rosnać jak na drożdżach. Przez pół roku strzeliłem w górę piętnaście centymetrów czy koło tego i mama ciągle musiała podłuzać mi portki. Po drugie zacząłem rosnać nie tylko do góry, ale i na boki. W wieku szesnastu lat miałem metr dziewięćdziesiąt osiem wzrostu i ważyłem sto dziesięć kilo. Wiem dokładnie, bo mnie w szkole ważyli i mierzyli. Lekarz aż nie wierzył własnym oczom.

A potem zdarzyło się coś co całkiem zmieniło moje życie. Któregoś dnia wracam ze szkoły dla bzików, kiedy nagle zatrzymuje się samochód i jakiś facet wystawia głowę przez

okno, woła mnie do siebie i pyta jak się nazywam. No to mu mówię, a on się pyta gdzie chodzę szkoły i dlaczego mnie dotąd nie widział. Kiedy odpowiadam, że do szkoły dla bzików, on się pyta czy kiedykolwiek grałem w futbola. Kręcę łepetyną, że nie. Czasem widziałem jak inne dzieciaki latały z piłką, ale mnie zawsze przepędzały. Jednak nic o tym facetowi nie mówię, bo jak już wspomniałem, nie za dobrze sobie radzę z dłuższą gadką. Było to mniej więcej dwa tygodnie po wakacjach.

Trzy dni później przyjeżdżają po mnie do szkoły, mama i ten facet z samochodu i jeszcze dwóch drabów co to wyglądają jak bandziory. Nie wiem kim są ci dwaj, ale pewno przyjechali na wypadek gdyby mi odbiła szajba. Zabierają moje rzeczy z ławki, pakują do papierowej torby i mówią, żebym się pożegnał z panną Margaret. Ona beczy i ścisza mnie tak mocno jakby chciała mnie zgnieść. Potem żegnani się z bzikami, które ślinią się, trzęsą, walą pięściami w ławki. Ale nic, idziemy do samochodu.

Mama jechała z przodu obok kierowcy, a ja z tyłu razem z drabami. Draby siedziały po mojej prawej i lewej, jak gliny na filmach kiedy wiozą kryminała na posterunek. Tyle że myśmy na żaden posterunek nie pojechali. Pojechaliśmy do takiej nowo wybudowanej szkoły. Ja i mama i ten facet co mnie zaczepił parę dni temu weszliśmy do gabinetu dyrektora, a draby zostały na korytarzu. Dyrektorem był stary siwy gość w splamionym krawacie i obwisłych spodniach, który wyglądał jakby sam się urwał ze szkoły dla bzików. Powiedział, żebyśmy siedli, a potem coś mi tłumaczył i o coś się pytał, a ja kiwałem głową, ale głównie chodziło mu o to, żebym grał w futbola. Tyle to nawet głupek by sobie wykombinował.

Facet z samochodu nazywa się Fellers i jest trenerem drużyny futbolowej. Tego pierwszego dnia nie musiałem iść na żadne lekcje. Trener Fellers zaprowadził mnie do szatni, a jeden z drabów co z nami jechali przyniósł mi strój zawodniczy — gacie, bluzę, skórzane ochraniacze i taki ładny plastikowy kask z prętem z przodu, żeby mi się twarz nie wgniotła. Największy kłopot był z butami — szukali i szukali, ale nie mogli znaleźć mojego rozmiaru, więc powiedzieli że na razie mam grać w tenisówkach.

Trener i te jego draby pomogli mi się przebrać, potem kazali mi zdjąć kostium, a potem znów go włożyć i tak w kółko z dziesięć czy dwadzieścia razy, aż się nauczyłem co gdzie idzie. Najdłużej męczyłem się z taką małą szmatką, na którą oni mówili suspenserium czy coś w tym rodzaju; zupełnie nie mogłem się połapać czemu służy. Próbowali mi tłumaczyć, a potem jeden z drabów powiedział do drugiego, że nic dziwnego że nie kapuję skoro jestem „matoł”, ale to akurat skapowałem, bo na takie rzeczy jestem wyczulony. Nie żebym się obraził czy co. Kurde, gorsze rzeczy słyszałem o sobie. Nie, po prostu zapamiętałem tego matoła i tyle.

Po jakimś czasie inni zaczęli się schodzić do szatni i wyciągać z szafek takie same futbolowe przebrania. Potem wyszliśmy na zewnątrz wszyscy jednakowo ubrani. Trener Fellers zawołał mnie do siebie i zaczął przedstawiać pozostałym. Gadał i gadał, ale niewiele do mnie docierało, bo nikt mnie dotąd nie przedstawiał tyłu obcym naraz i trząśłem portkami ze strachu. Potem kilku chłopaków podeszło do mnie i uściło mi grabę. Mówili, że się cieszą, że jestem w drużynie i tak dalej. A kiedy skończyli trener Fellers zagwizdał tuż nad moim uchem — o mało nie wyskoczyłem ze skóry! To był sygnał do rozgrzewki.

Nie będę was marudził wszystkimi szczegółami, po prostu mówiąc krótko: zaczęłem grać w futbola. Trener i jeden z drabów starali się mi wytłumaczyć zasady, bo nie miałem zielonego pojęcia o co w ogóle chodzi. Mówili o jakimś blokowaniu, a potem zaczęliśmy to ćwiczyć, ale nie pamiętałem co mam robić i po kilku próbach widziałem, że wszyscy są coraz bardziej źli.

Więc zaczęliśmy ćwiczyć co innego. Ustawili przede mną w rzędku trzech chłopaków i kazali mi się przez nich przebić i rzucić na czwartego, który stał za nimi z piłką. Pierwsza część była łatwa, bo tych trzech wystarczyło tylko mocniej pchnąć, ale ten z piłką zawsze mi się

jakoś wymykał. Trener był niezadowolony i w końcu powiedział, że za słabo się rzucam i żebym poćwiczył sobie na drzewie. Z piętnaście czy dwadzieścia razy rzucałem się na pień i kiedy uznali, że już się nauczyłem, znów ustawili przede mną tych trzech a za nimi czwartego z piłką. I znów byli niezadowoleni, bo po minięciu pierwszych trzech niby złapałem czwartego, ale nie przewróciłem go na ziemię. Strasznie się na mnie wydzielali całe popołudnie, więc później po zejściu z boiska poszedłem do trenera i mówię, że wcale nie chcę przewracać tego z piłką, bo jeszcze mu sporządzę jaką krzywdę. A trener na to, żebym się nie bał, na pewno nic mu nie będzie, bo ma kask i ochraniacze. Ale coś wam powiem: nie tyle się bałem że coś mu zrobię, ile że się wkurzy jak go tak będę przewracał i przepędzi mnie z boiska. W każdym razie trochę to trwało zanim pokapowałem się w tym futbolu.

Kiedy nie ćwiczyliśmy chodziłem na lekcje. W szkole dla bzików niewiele było do roboty, za to tu bardziej poważnie wszystko traktowali. Trener tak to załatwił, że trzy lekcje miałem w świetlicy gdzie każdy uczył się sam albo coś odrabiał, a trzy lekcje miałem z nauczycielką, która uczyła mnie czytać. Siedzieliśmy sami w klasie, tylko ona i ja. Nazywała się panna Henderson. Była naprawdę miła i ładna i kiedy na nią patrzyłem, często różne brzydkie myśli chodziły mi po głowie.

Jedynie lekcje jakie mi się podobały to przerwy na drugie śniadanie, choć pewno trudno je nazwać lekcjami. Jak chodziłem do bzików mama zawsze dawała mi kanapkę, ciastko i jakiegoś owoca — tylko nie banana. Natomiast w tej szkole była stołówka, a w stołówce z osiem czy dziesięć rzeczy do wyboru i to było straszne, bo nie mogłem się na nic jednego zdecydować. Chyba ktoś zauważył jak się rozterkuję, bo gdzieś tak po tygodniu kiedy stałem przy ladzie podszedł do mnie trener Fellers i powiedział, że żarcie jest „na koszt szkoły” i żebym brał wszystko na co mam ochotę. Kurde flaki, ale się ucieszyłem!

Wiecie, kto chodził na lekcje do świetlicy? Jenny Curran! Któregoś dnia podeszła do mnie na korytarzu i powiedziała, że pamięta mnie z pierwszej klasy. Była teraz taka wydorosnięta, miała ładne czarne włosy i długie nogi i ładną twarz i jeszcze parę ładnych rzeczy, o których wstyd mi mówić.

Jeśli chodzi o futbol to chyba nie robiliśmy postępów, bo trener Fellers ciągle był zagniewany i ciągle na wszystkich krzyczał. Na mnie też. Razem z chłopakami próbował wymyślić dla mnie najlepszą pozycję. Kiedyś na przykład kazał mi blokować tych co chcą przewrócić naszego zawodnika z piłką, ale nie bardzo umiałem, chyba że sami na mnie wpadali. Z kolei łapanie przeciwnika jak on pędził z piłką też kiepsko mi szło, chociaż kupę czasu straciłem rzucając się na to biedne drzewo. Nie wiem, jakoś nie mogłem się zmusić, żeby atakować tak brutalnie jak chcieli. Coś mnie wstrzymywało.

I nagle wszystko się zmieniło. Od tamtego dnia kiedy Jenny podeszła do mnie na korytarzu zaczęłem siadywać przy niej w stołówce. Była jedyną osobą w szkole, którą jako tako znałem i czułem się dobrze w jej bliskości. Nie rozmawialiśmy ani nic, większość czasu ona nawet nie zwracała na mnie uwagi tylko gadała z innymi. Z początku siadałem koło chłopaków z drużyny, ale oni zachowywali się jakbym był przezroczystry albo co, a Jenny przynajmniej mówiła mi „cześć”. Po jakimś czasie zaczął przysiądać się do nas taki jeden chłopak, który bez przerwy się ze mnie nabijał. Podchodził i mówił: „Się masz, zakuta pała” albo coś w tym stylu. Najpierw wcale nie reagowałem. Trwało to z tydzień czy dwa, aż wreszcie — do dziś nie wiem jakim dziwem — zdobyłem się na odwagę i powiedziałem: „Nie jestem zakutą pałą”. Wybałuszył gały i jak nie ryknie ze śmiechu! Jenny do niego, żeby się uspokoił, ale on nie posłuchał tylko wziął karton mleka i wylał mi na spodnie. Wybiegłem przerażony ze stołówki.

Dwa dni później zaczął mnie na korytarzu i warknął, że jeszcze się ze mną „porachuje”. Cały dzień miałem potwornego cykora. Po południu wychodzę na trening, a on czeka z koleżkami przed szkołą. Chciałem się cofnąć, ale podbiegł do mnie i zaczął mnie

poszturchiwać, wyzywać od cymbałów i przeklinać, a potem walnął mnie w brzuch. Nawet bardzo nie bolało, ale łzy naciekły mi do oczu. Odwróciłem się i zaczęłem spieprzać. Słyszałem jak mnie goni razem z koleżkami. Pędzę ile siły w nogach w stronę szatni na przełaj przez boisko i nagle na trybunach widzę trenera Fellersa, który wstaje z ławki i przygląda mi się jakoś tak dziwnie. Tamci co mnie gonili zostali gdzieś w tyle, a trener Fellers, wciąż z tym dziwnym wyrazem na twarzy, każe mi się natychmiast przebrać w strój futbolowy. Po chwili przychodzi do szatni z trzema kartkami papieru, na których coś tam nabazgrał i mówi, żebym zapamiętał pozycje.

Później na treningu dzieli nas na dwie drużyny; tym razem rozgrywający podaje piłkę do mnie, a ja mam z nią biec do końcowej linii boiska. Kiedy ci stojący naprzeciwko rzucają się w moją stronę, nie czekam tylko gnam na złamanie karku — mijam z siedmiu czy ośmiu zanim udaje im się mnie powalić. Trener Fellers cieszy się jak świnia przy korycie, skacze, krzyczy z radości, poklepuje wszystkich po plecach. Nieraz na treningach kazał nam biegać i sprawdzał czas na zegarku, no ale przedtem nikt mnie nie gonił. A nawet idiota wie, że szybciej biegniesz jak cię gonią.

W każdym razie moja popularność wzrosła i chłopaki w drużynie od razu zrobili się dla mnie miłsze. Podczas pierwszego prawdziwego meczu strach mnie dusił za gardło, ale jak mi ktoś rzucał piłkę to ją łapałem i gnałem przed siebie; ze dwa albo trzy razy przebiegłem linię końcową i od tamtej pory już nikt mi więcej nie dokuczał. Pobyt w tej szkole dużo zmienił w moim życiu. Po pewnym czasie nawet polubiłem te szarże z piłką — tyle że musiałem biegać prawym albo lewym skrzydłem, bo nijak nie mogłem przywyc, żeby wpadać z rozpędu na innych jak to robili ci na środku boiska. Któregoś dnia jeden z drabów powiedział, że jak na takiego goryla jestem piekielnie szybkim skrzydłowym. Był to duży komplement.

Poza tym poprawiłem się w czytaniu. Panna Henderson dała mi do domu *Przygody Tomka Sawyera* i dwie książki co ich tytułów nie pamiętam. Przeczytałem je od deski do deski; potem panna Henderson zrobiła mi sprawdzian, na którym nie za dobrze się spisałem. Ale książki były w dechę.

Znów zaczęłem siadać koło Jenny Curran w stołówce i przez długi czas nikt się mnie nie czepiał. Ale kiedyś na wiosnę wracam ze szkoły, a tu wyrasta przede mną ten łobuz co mi wylał mleko na kolana, a potem gonił mnie z koleżkami. Trzyma w łapie kij i wyzywa mnie od debilów i matolów.

Ludzie przystają i się gapią, nadchodzi Jenny Curran i już mam dać dyla... ale nie daję, sam nie wiem dlaczego. I kiedy tamten wziął kij i dźgnął mnie w brzuch, pomyślałem sobie: a co mi tam! Jedną ręką chwyciłem go za ramię, a drugą przywaliłem mu w łeb. No i odechciało mu się dźgania.

Wieczorem jego rodzice zadzwonili do mojej mamy powiedzieć, że jak jeszcze raz podniosę rękę na ich syna to porozumią się z kim trzeba, żeby mnie „zamknięto”. Próbowałem wyjaśnić mamie co się stało, a ona słuchała i mówiła że rozumie, ale widziałem że się gnębi. Zaczęła mi tłumaczyć, że ponieważ jestem taki wielki, to muszę bardzo uważać, bo mogę kogoś skrzywdzić. Obiecałem jej, że już nikomu nie zrobię nic złego. W nocy kiedy leżałem w łóżku słyszałem jak chlipie w swoim pokoju.

W każdym razie to że przywaliłem łobuzowi wpłynęło na moją grę w futbolu. Nazajutrz spytałem się trenera Fellersa czy mogę lecieć z piłką środkiem boiska, on na to że tak, więc rozprawiłem się z czterema czy pięcioma chłopakami z przeciwnej drużyny i pogałem prosto aż się kurzyło. Pod koniec roku zostałem uznany za jednego z najlepszych zawodników z wszystkich drużyn szkolnych w naszym stanie. Ledwo mogłem w to uwierzyć. Na urodziny dostałem dwie pary skarpet i nową koszulę, poza tym mama wysuwała trochę pieniędzy i kupiła mi garnitur — mój pierwszy w życiu — żebym był strojny na cyremonii rozdawania nagród. Potem zawiązała mi krawat pod szyją i mogłem ruszać w drogę.

2

Cyremonia miała się odbyć w Flomaton, takiej małej dziurze co ją trener Fellers nazwał „pypciem na mapie”. Wsadzili nas do autobusu, pięciu czy sześciu wyróżnionych chłopaków z okolicy, i zawieźli na miejsce. Podróż trwała ze dwie godziny, w autobusie nie było kibla, ja się przed drogą opilem jak bąk, więc kiedy wreszcie dojechaliśmy do tego Flomaton myślałem, że pękne.

Wchodzimy do autotorium w miejscowej szkole i od razu ruszam z kilkoma chłopakami na poszukiwanie klozeta. Znajduję i wiecie co? Ciągnę za zamek błyskawiczny, ale mi się zaczepia o połą koszuli i za cholerę nie chce się odczepić. Ciągnę i ciągnę, w końcu jakiś sympatyczny chłopak z innej szkoły woła trenera Fellersa. Ten przychodzi ze swoimi dwoma drabami i oni też ciągną, ale zamek nie puszcza. Jeden z drabów mówi, że trudno, trzeba go rozerwać, bo inaczej nie da rady. Na to trener Fellers opiera ręce na biodrach i mówi:

— Mam pozwolić chłopakowi wyjść z otwartym rozporkiem i wszystkim na widoku? Oszalałeś? Jak by to wyglądało? — A potem zwraca się do mnie. — Forrest, musisz wziąć na wstrzymanie, a po zakończeniu uroczystości coś wymyślimy, dobra?

Kiwam łepetyną, bo nie mam wyjścia, ale myślę sobie, że czeka mnie długi i męczący wieczór.

W sali jest pewno z milion ludzi; siedzą przy stolikach, a kiedy wchodzimy na scenę uśmiechają się i klaszczą. Siadamy przy długim stole przodem do wszystkich i moje najgorsze obawy sprawdzają się co do joty: cyremonia ciągnie się jak guma do żucia. Ledwo jedna osoba kończy gadać do mikrofonu, to już pędzi druga — chyba każdy na sali wygłosił przemówienie, nie wykluczając kelnerów i woźnego. Żałowałem, że nie ma ze mną mamy, bo ona by mi na pewno pomogła z tym rozporkiem, ale mama leżała w domu chora na grype. No dobra, wreszcie nadeszła pora rozdawania nagród, którymi były małe złote piłki do futbolu. Wcześniej wytłumaczyli nam co mamy robić: jak wyczytają nasze nazwisko podchodzimy do mikrofonu, bierzemy piłkę, mówimy „dziękuję” i wracamy do stołu. A jak ktoś chce dodać kilka słów od siebie, to proszę bardzo tylko szybko, bo inaczej będziemy tu tkwić do końca wieku.

Większość chłopaków już podziękowała i wróciła na miejsce. Wreszcie słyszę swoje nazwisko. „Forrest Gump” — mówi facet do mikrofonu, a Gump to ja, więc wstaję, idę na środek sceny, biorę złotą piłkę, pochylam się do mikrofonu i mówię „dziękuję”. Wszyscy podrywają się na nogi i głośno klaszczą. Myślę sobie: pewno ktoś im powiedział, że jestem idiota i dlatego starają się być tacy mili. Rozglądam się zdziwiony, a ponieważ nie wiem co robić, nic nie robię. Po jakimś czasie tłum się ucisza i facet przy mikrofonie pyta się czy chciałbym coś dodać. Więc dodaję:

— Chce mi się siku.

Przez kilka chwil nikt nic nie mówi. Ludzie patrzą na siebie, mają jakieś takie głupie miny, potem podnosi się szmer jakby bzycała kupa pszczoł i nagle trener Fellers chwytą mnie za ramię i ciągnie z powrotem do stołu. Do końca wieczora łypie na mnie spode łba. Po cyremonii idziemy w czwórkę do kibla. Draby rozrywają mi zamek i wreszcie mogę się odlać. Jezu, co za ulga! Wysikałem chyba całe wiadro.

— Przynajmniej nie kłamałeś — mówi trener jak skończyłem.

W następnym roku nic ciekawego się nie zdarzyło poza tym, że ktoś roztrąbił, że idiota trafił na listę najlepszych zawodników w stanie i nagle zaczęły przychodzić do mnie listy z całego kraju. Mama zbierała je i wklejała do specjalnego zeszytu. Kiedyś przyszła paczka z Nowego Jorku, a w niej piłka do baseballa podpisana przez całą drużynę Yankees. Ucieszyłem się jakby to była szczapka złota. I póki ją miałem była moim największym

skarbem. Ale pewnego razu podrzucałem ją sobie w ogrodzie i przyleciało wielkie psisko, złapało ją i zezało. Takie rzeczy ciągle mi się przytrafiały.

Któregoś dnia trener Fellers każe mi iść z sobą do gabinetu dyrektora. Czeka tam facet, który podaje mi rękę, mówi że od dłuższego czasu mnie „obserwuje” i pyta się czy kiedykolwiek myślałem o tym, żeby grać w drużynie uniwersyteckiej. Kręcę łepetyną że nie, bo nigdy mi coś takiego nawet nie zaświtało.

Trener Fellers i dyrektor odnoszą się do gościa z szacunkiem, co on powie to drapią się w głowę, szurają nogami i zaraz przytakują: „Tak, panie Bryant”. Ale mnie ten pan Bryant każe mówić do siebie „Niedźwiedź”. Dziwne imię, ale facet rzeczywiście wygląda jak niedźwiedź, więc nie protestuję. Trener Fellers tłumaczy mu, że nie jestem zbyt bystry a Niedźwiedź na to, że większość piłkarzy nie grzeszy rozumem i że załatwi mi specjalną pomoc w nauce. Tydzień później robią mi klasówkę. Mam odpowiadać na jakieś bzdurne pytania co to nawet nie wiem czego dotyczą. Po pewnym czasie nudzi mnie ta zabawa, więc zostawiam kartkę i wychodzę.

Dwa dni później Niedźwiedź wraca i trener Fellers znów mnie ciągnie do gabinetu dyrektora. Tym razem Niedźwiedź ma mniej uradowaną minę, ale wciąż jest dla mnie miły. Pyta czy starałem się wypaść jak najlepiej na egzaminie. Mówię że tak, a dyrektor wywraca oczy białkami do sufitu.

- To wielka szkoda — powiada Niedźwiedź — bo wynik jednoznacznie wskazuje na to, że chłopak jest idiotą.

Dyrektor kiwa ponuro głową, a trener Fellers stoi z rękami w kieszeni i patrzy na mnie smętnie. Wygląda na to, że jednak nie zagram w drużynie uniwersyteckiej.

To że byłem za głupi by grać w futbola na uniwersytecie, nic a nic nie obchodziło armii Stanów Zjednoczonych. Ostatni rok szkoły minął pędem i na wiosnę wszyscy dostali świadectwa. Pozwolono mi siedzieć na scenie razem z innymi, dali mi nawet taki długi czarny płaszcz do włożenia, żebym nie różnił się od reszty i kiedy nadeszła moja kolejka dyrektor powiedział, że dostaję od szkoły „specjalny” dyplom. Wstałem i ruszyłem do mikrofonu, a za mną tych dwóch drabów trenera Fellersa — pewno mieli pilnować, żebym nie palnął czegoś głupiego tak jak na cyremonii w Flomaton. Mama siedziała w pierwszym rzędzie, beczała i załamywała ręce, a ja cieszyłem się jak kogut co zniósł jajo, bo nareszcie coś osiągnąłem.

Dopiero w domu dowiedziałem się dlaczego mama beczała. Przyszło wyzwanie od wojska, żebym się stawił w miejscowej komisji rozbiorowej czy jak jej tam. Nie miałem zielonego pojęcia o co w tym wszystkim chodzi, ale mama wiedziała — był rok 1968 i wrzało jak w czajniku.

Mama dała mi list od dyrektora szkoły i kazała go pokazać komisji, ale gdzieś mi się po drodze zadział. A w tym wojsku to był istny dom wariatów! Na placu przed budynkiem stał taki duży czarny facet w mundurze co się wydzierał i dzielił ludzi na kupki. Podchodzi do nas i wrzeszczy:

— Dobra, chłopaki! Połowa ma iść tam, połowa tam, a połowa zostać tu!

Wszyscy mieli zgłupiałe miny, kręcili się z miejsca na miejsce i nawet mnie nietrudno było wykombinować, że ten facet to debil.

No nic, zaprowadzono nas do jakiegoś pokoju, powiedziano żebyśmy ustawili się w rzędzie i rozebrali do golasa. Nie bardzo mi się to podobało, ale wszyscy ściągli ubranie, więc ja też ściągnąłem. Ci z komisji zaglądali nam wszędzie, w oczy, nosy, usta, uszy, nawet między nogi. A potem, kiedy się pochyliłem jak kazali, ktoś mi wetknął paluch do tyłka.

Tego było za wiele!

Jak się nie odwrócę, jak nie chwycę łobuza za ramię i nie walnę go w łeb! Zrobiło się potworne zamieszanie, zleciało się pełno typów i skoczyli na mnie. Ale ja jestem przywykły do takiego traktowania, więc odepchłem ich mocno i wybiegłem na ulicę. W domu

opowiedziałem mamie co się stało, była zmartwiona, ale powiedziała:

— Nie przejmuj się, Forrest, wszystko będzie dobrze.

Wcale nie było. Tydzień później podjeżdża ciężarówka, wyskakują z niej kilku facetów w wojskowych mundurach i lśniących czarnych kaskach i pukają do drzwi. Schowałem się u siebie w pokoju, ale mama przyszła na górę i powiedziała żebym się nie bał, bo ci panowie chcą mnie tylko zawieźć z powrotem na komisję. Przez całą drogę nie spuszczały ze mnie oka zupełnie jakby wieźli furiata czy co.

Prowadzą mnie do dużego gabinetu, w którym czeka starszy gość w mundurze. On też mi się przypatruje uważnie. Wskazują mi krzesło i wtykają pod nos kartkę z pytaniami. Są łatwiejsze od pytań z klasówki na uniwersytet, ale i tak się nad nimi pocę.

Potem przechodzimy do innego pokoju, w którym czterech czy pięciu facetów siedzi przy długim stole. Zadają mi pytania, potem każdy z osobna ogląda tę moją klasówkę i wreszcie jeden z nich podpisuje jakiś świstek. Idę ze świstkiem do domu, mama czyta, łapie się za głowę i znów wybuchają płaczem. Beczy i powtarza: „Dzięki Bogu, dzięki Bogu”, bo na świstku pisze, że jestem „czasowo odroczone” ze względu na mój poziom inteligencji.

W tym samym tygodniu stało się jeszcze coś co było ważnym zajściem w moim życiu. Mama wynajmowała pokój takiej jednej pani, pannie French, która pracowała w firmie telefonicznej jako telefonistka. Była to miła spokojna osoba co nikomu nie wchodziła w drogę. Któregoś wieczora — było wtedy potwornie gorąco i były błyskawice — przechodzę koło jej pokoju, a ona wystawia głowę za drzwi.

— Forrest, mam pudełko pysznych czekoladek — mówi. — Może chciałbyś się poczęstować?

— Tak — odpowiadam. Więc zaprasza mnie do środka. Czekoladki leżą na komodzie. Panna French daje mi jedną, potem się mnie pyta czy chcę drugą, mówię że tak, wtedy ona pokazuje mi łóżko, że niby mam na nim usiąść. Więc siadam i zjadam z dziesięć czy piętnaście czekoladek, na zewnątrz cały czas szaleją błyskawice i pioruny, zasłony fruują, a panna French popycha mnie lekko, żebym się położył. Potem głaszcze mnie tam gdzie jeszcze nikt mnie nie głaszał i mówi:

— Zamknij oczy. Wszystko będzie dobrze.

I nagle dzieje się ze mną coś co się nigdy przedtem nie działo. Nie mogę wam powiedzieć co, bo oczy miałem zamknięte, a poza tym mama by mnie zabiła gdyby się dowiedziała, ale jedno wam zdradzę — ten wieczór z panną French dał mi zupełnie nowe spojrzenie na przyszłość.

Był tylko jeden haczyk. Panna French była miła i w ogóle, ale to co robiła mi tej nocy wolałbym żeby mi robiła Jenny Curran. Jednak nie bardzo wiedziałem jak do tego doprowadzić, bo komuś takiemu jak ja trudno jest zaprosić dziewczynę na randkę. Bardzo trudno.

Ale dzięki nowemu doświadczeniu zdobyłem się na odwagę i postanowiłem doradzić się mamy w sprawie Jenny. O pannie French nic oczywiście nie wspominałem — taki głupi nie jestem. Mama powiedziała, że zajmie się wszystkim, po czym sama zadzwoniła do mamy Jenny. Wieczorem jest dzwonek do drzwi i zgadnijcie kto stoi na progu? Jenny Curran we własnej osobie!

Ma na sobie białą sukienkę, różowy kwiatek we włosach i jest śliczniejsza nawet niż w moich marzeniach. Mama wprasza ją do salonu, częstuje lodami i woła do mnie, żebym zszedł na dół. Bo oczywiście uciekłem jak tylko zobaczyłem Jenny przed domem. Mam strasznego pietra, chyba już bym wołał żeby mnie goniło stado bandziorów, ale mama wchodzi na górę, bierze mnie za rękę, prowadzi na dół i sadza koło Jenny. Poczuję się lepiej dopiero jak też dostałem lody.

Mama powiedziała, żebyśmy się wybrali do kina i zanim wyszliśmy dała Jenny trzy dolary na bilety. Jenny jest dla mnie tak miła jak nigdy dotąd, trząkocze i śmieje się, a ja

kiwam głową i szczerzę się jak idiota. Kino znajduje się kilka ulic dalej. Jenny kupuje bilety i wchodzimy do środka. Kiedy siadamy pyta się mnie czy chcę prażoną kukurydzę; mówię że tak, więc idzie do bufetu i zanim wraca film już się zaczyna.

Był to film o Bonnie i Clyde, takich dwoje co rabowali banki, ale nie tylko o nich, bo inni też w tym filmie występowali. Poza tym było dużo strzelania i zabijania i takich tam numerów. Bawiło mnie, że ludzie w kółko do siebie strzelają i jak tylko ktoś padał na ziemię to wyłem ze śmiechu, a wtedy Jenny osuwała się coraz niżej w fotelu. W połowie filmu patrzę, a ona prawie siedzi na podłodze. Pomyślałem sobie, że musiała spaść z fotela, więc pochyliłem się i chwyciłem ją za ramię, żeby podciągnąć do góry.

I kiedy ją ciąglem usłyszałem taki dźwięk jakby się coś darło. Patrzę: sukienka Jenny jest w dwóch częściach, a ona sama półgoła. Próbuję ją zasłonić drugą ręką, ale Jenny piszczy i szamocze się, no to ja ją trzymam jeszcze mocniej, żeby znów nie spadła na podłogę albo sobie bardziej czego nie podarła, a wszyscy w kinie się odwracają i gapią na nas, bo są ciekawi co się dzieje. Nagle nadchodzi jakiś facet i świeci na nas latarką, więc Jenny krzyczy na cały głos, bo jej wszystko widać. I wybiega z kina.

Zanim się w połapałem w tym całym zamieszaniu przyleciało dwóch innych facetów. Każą mi wstać i zabierają mnie do jakiegoś pokoju. Po kilku minutach zjawia się czterech gliniarzy i mówią, żebym szedł z nimi. Prowadzą mnie do samochodu. Dwóch siada z przodu a dwóch ze mną z tyłu. Przypomina mi się jazda z trenerem Fellersem i jego drabami, ale tym razem nie jedziemy do żadnej szkoły tylko naprawdę na posterunek. Tam wpychają mi palce do takiego pudełka z tuszem i przygniatają je do kartki, potem robią mi zdjęcie, a potem wsadzają mnie do małej salki z kratami. Okropność. Cały czas gnębiłem się o Jenny. Niedługo później przyszła po mnie mama. Znów wycierała chustką łzy i załamywała ręce i właśnie po tym się zorientowałem, że chyba wdepłem w gówno.

Kilka dni później musieliśmy pójść na jakąś cyremonię do budynku sądu. Mama wbiła mnie w garnitur i zawiozła na miejsce. Czekał tam na nas miły pan z wąsami ubrany bardzo dziwnie, bo w długą do ziemi rozpiętą czarną sukienkę. Najpierw on coś gadał do sędziego, potem mama i kupa innych ludzi, a potem była moja kolejka.

Pan z wąsami bierze mnie za łokieć żebym wstał, a kiedy stoję, sędzia każe mi opowiedzieć wszystko własnymi słowami. Nie bardzo wiem co mam mu opowiadać, więc wzruszam ramionami, a wtedy on się pyta czy na pewno nie chcę nic dodać od siebie. No to dodaję: „Chce mi się siku”, bo już pół dnia siedzimy w tym sądzie i ledwo mogę wytrzymać. Sędzia pochyla się do przodu i patrzy na mnie jakbym urwał się z Marsa albo co. Wtedy facet z wąsami zaczyna coś tłumaczyć i w końcu sędzia mówi mu, żeby zaprowadził mnie do ubikacji. Zanim wychodzimy z sali odwracam się i widzę, że biedna mama znów wciera łzy.

Kiedy wracamy z powrotem na salę sędzia przez chwilę drapie się po brodzie, a potem mówi, że to wszystko jest „bardzo dziwne” i że może powinien iść do wojska albo co. Więc mama wyjaśnia mu, że wojsko nie chce takich jak ja idiotów, ale że chce mnie pewien uniwersytet — właśnie dziś rano przyszedł list w którym pisało, że jak będę grał w drużynie futbolowej to mogę studiować za darmo.

Sędzia znów powtarza, że to bardzo dziwne, ale nie ma nic przeciwko temu bylebym wziął dupę w troki i wyniósł się z miasta.

Rano jestem już zapakowany do drogi. Mama odprowadza mnie na dworzec i wsadza do autobusu. Kiedy wyglądam przez okno widzę jak stoi na chodniku, trzyma w ręku chustkę do nosa i beczy. Ten widok na zawsze wpada mi w pamięć. Po chwili autobus rusza i odjeżdżam.

3

Siedzimy w sali gimnastycznej ubrani w krótkie spodenki i bluzy, kiedy zjawia się Niedźwiedź, czyli trener Bryant, i zaczyna gadkę. Niby mówi podobne rzeczy jak trener Fellers, ale nawet taki głupek jak ja od razu kapuje, że z tym facetem nie ma żartów. Gadka trwa krótko i kończy się mniej więcej tak: jak się kto będzie guzdrał to nie pojedzie z innymi autobusem na boisko, ale dostanie takiego kopa w tyłek, że sam tam doleci. Kurde flaki! Nikt nie wątpi w słowa trenera, więc rzucamy się do autobusu jak opętańcy.

Był sierpień a sierpień w Alabamie jest trochę inny niż gdzie indziej. To znaczy jest taki, że jak by się rozbiło jajko na kasku gracza to usmażyłoby się w dziesięć sekund. Oczywiście nikt nie próbował robić sobie sadzonych na kasku, bo jeszcze by się trener Bryant zezłościł. A w tym upale jego złość była nam potrzebna jak umarłemu bździdło.

Trener Bryant miał własnych drabów do pomocy którym kazał, żeby oprowadzili mnie po terenie i pokazali gdzie mam spać. Jedziemy ich samochodem do takiego ładnego murowanego budynku zwanego - jak mi mówią — „Małpiarnią”. Niestety w środku budynek nie jest tak ładny jak z wierzchu. W pierwszej chwili myślę sobie, że pewno od lat nikt tu nie mieszka, bo na podłodze wala się pełno szajsu i śmiecia, większość drzwi jest wyłamana, a szyby w oknach są potłuknięte.

Ale potem widzę paru chłopaków. Leżą na łóżkach i prawie nic nie mają na sobie bo jest ze czterdzieści stopni upału, a dookoła brzęczą muchy i inne latające paskuctwa. W holu mijamy wielki stos gazet i z miejsca ogarnia mnie strach, że będę musiał je czytać — w końcu to uniwerek, nie? — ale okazuje się że gazety są po to, żeby je kłaść na podłogę i nie chodzić nogami po tym całym brudzie i zafajadaniu.

Draby prowadzą mnie do mojego pokoju. Mówią, że będę mieszkał z takim chłopakiem co się nazywa Curtis, ale Curtisa akurat nie ma. Pomagają mi się rozpakować, potem pokazują mi gdzie jest ubikacja. Wygląda gorzej niż kibel w stacji benzynowej na zadupiu. Przed odejściem jeden z drabów mówi, że ja i Curtis powinniśmy się dobrze dogadywać, bo obaj mamy tyle rozumu co kot napłakał. Spoglądam na niego gniewnie, bo już mi się znudziło słuchanie takich bzdetów, ale drab mówi: na podłogę i pięćdziesiąt pompek. No i potem jestem już grzeczny jak bałwanek.

Zakryłem brudne łóżko prześcieradłem i położyłem się spać. Śniło mi się, że siedzę z mamą w salonie jak w dawnych czasach kiedy było gorąco i mama przyrządzała mi dzbanek z limoniadą i godzinami ze mną gadała — a tu nagle rozlega się taki huk, że serce staje mi dęba! Patrząc: drzwi leżą na podłodze, a w przejściu stoi jakiś chłopak. Ma dziki wyraz twarzy, gały wybałuszone, brak zębów z przodu, nochal jak dynia, a włosy sterczą mu jakby wsadził paluch w gniazdko eklektryczne. Domyślam się że to Curtis.

Wchodzi po tych drzwiach do pokoju i rozgląda się na wszystkie strony jakby go kto miał zatakować. Nie jest zbyt wysoki, ale za to szeroki jak szafa. Piersza rzecz o jaką się pyta to skąd jestem. Z Mobile, mówię. On na to że Mobile jest do dupy, sam pochodzi z Opp gdzie robią masło orzechowe, a jak mi się to nie podoba, to zaraz weźmie słoik i mi wsadzi w dupę. I na tym się kończy nasza rozmowa. Przynajmniej na ten dzień.

Po południu na treningu jest pewno z tysiąc stopni upału, a draby trenera Bryanta drą się na nas i ganiają nas po boisku. Język mi wisi do pępka jak krawat, ale robię co mi każą. Potem dzielą nas na grupy i ćwiczymy podania.

Zanim przyjechałem na ten uniwersytet przysłali mi do domu grubą kopertę z milionami różnych pozycji i strategii futbolowych. Zapytałem się trenera Fellersa co mam z tym wszystkim robić, a on pokręcił smutno głową i powiedział że nic — że jak dojadę na miejsce to sami coś wykombinują.

Niepotrzebnie posłuchałem rady trenera Fellersa, bo kiedy rzuciłem się do biegu pewno skręciłem w nie tę stronę co trzeba i nagle podlatuje do mnie jeden z drabów trenera Bryanta. Przez chwilę wrzeszczy jakby gadał z głuchym, a w końcu pyta czy nie czytałem tych instrukcji co mi przysłali.

— Nie — mówię.

A wtedy on znów wrzeszczy, a w dodatku skacze i wymachuje łapami jakby go pchły oblażyły. Kiedy się wreszcie uspokaja, mówi żebym obkroził boisko pięć razy, a on pójdzie naradzić się z trenerem.

Trener Bryant siedzi w takiej wielkiej wieży i spogląda na nas z góry jak Pan Bóg. Robię co mi drab każe — biegam dookoła boiska i patrzę jak on, ten drab, drałuje po schodach, a potem skarży na mnie trenerowi. Trener wyciąga szyję i wlepia we mnie gały — czuję jak jego oczy wypalają mi dziurę w tyłku. Po chwili rozlega się przez megafon głos tak żeby wszyscy słyszeli:

— Forrest Gump, natychmiast do trenera! Trener z drabem schodzą z wieży. Zbliżam się do nich, ale cały czas myślę sobie, że wolałbym być na wstecznym biegu.

A tu niespodzianka! Trener Bryant uśmiecha się. Idziemy na trybuny, siadamy i znów słyszę to samo pytanie: czy nie czytałem instrukcji co mi je przysłali. Zaczynam tłumaczyć co mi radził trener Fellers, ale trener Bryant przerywa mi i mówi, żebym wracał na boisko i ćwiczył łapanie piłki. No to ja mu na to że w porządku, ale jak grałem w szkole średniej żadnej piłki nigdy nie łapałem, bo myliło mi się gdzie jest nasza bramka a gdzie przeciwnika, więc trener Fellers wolał nie ryzykować.

Kiedy trener Bryant tego słucha, mruży jakoś dziwnie oczy i patrzy hen daleko jakby chciał dojrzeć życie na księżycu albo co. Potem każe drabowi przynieść piłkę. Jak już ją trzyma w łapie, mówi żebym odbiegł kawałek i odwrócił się. Więc się odwracam, a wtedy on rzuca. Piłka leci do mnie jakby w spowolnionym tempie, odbija się od moich rąk i spada na ziemię. Trener Bryant kiwa głową jakby się spodziewał, że to się tak skończy, ale chyba nie jest zbyt zadowolony.

Jak byłem mały i coś przeszkroblem mama mówiła: „Forrest, musisz być grzeczny, bo cię zamkną w zakładzie”. Później też mi to ciągle powtarzała. Potwornie się bałem tego „zamknięcia”, więc starałem się być grzeczny, ale jak bum-cyk-cyk Małpiarnia jest chyba gorsza od wszystkich zakładów razem wziętych.

Chłopaki wyprawiają tu takie chuligaństwa co by nie przeszły nawet w szkole dla bzików. Na przykład powyrywali z podłogi kibele i jak się idzie do ubikacji trzeba srać do dziury. Kiedyś wyrzucili kibel przez okno — prosto na przejeżdżający samochód. Którejś nocy jeden wariat co grał u nas w obronie wziął strzelbę i powystrzelał wszystkie okna w domu studenckim po drugiej stronie ulicy. Przyjechała policja uczelniana, a wtedy on złapał silnik motorówki który skądś wytrzasnął i majtnął go przez okno na ich samochód. Za karę trener Bryant kazał mu całą kupę razy obieć boisko.

Z Curtisem nie najlepiej się dogadujemy, więc czuję się bardzo samotny i tęsknię za mamą i domem. Kłopot z Curtisem polega na tym, że go nie rozumiem. Za każdym razem jak otwiera jadaczkę leci z niej sznurek przekleństw — no i zanim je wszystkie rozgryzę, gubię wątek. Ale domyślam się, że większość czasu Curtisowi coś się nie podoba.

Curtis ma samochód i razem jeździmy na trening. Któregoś dnia schodzę na dół, a on stoi pochylony nad ściekiem i przeklina jak diabli. Okazuje się, że złapał gumę i kiedy zmieniał koło położył śruby na dekle, potem niechcący go potrącił i śruby wpadły do ścieku. Wygląda na to, że się spóźnimy na trening co nie wróży nam za dobrze u trenera, więc mówię do Curtisa:

— Odkręć po jednej śrubie z reszty kół. Po trzy na każdym kole starczą, a my dojedziemy na czas.

Curtisowi przekleństwo staje w gardle, a on sam patrzy na mnie, patrzy i wreszcie się pyta:

— Skoro taki z ciebie idiota, jakżeś to wykombinował? A ja na to:

— Może jestem idiota, ale nie jestem głupi.

Kurde, ale się wściekł! Chwycił narzędzie do kół, zaczął mnie ganiać, obrzucać każdym brzydkim wyzwiskiem pod słońcem. Popsuło to stosunki między nami.

Po zejściu z Curtisem postanowiłem wyprowadzić się z pokoju. Kiedy wróciliśmy z treningu poszedłem na dół do piwnicy i spędziłem w niej całą noc. Nie było brudniej niż na górze, a z sufitu zwisała żarówka, więc światło miałem. Rano przytachałem na dół łóżko i od tej pory tu mieszkam.

Tymczasem zaczął się normalny rok szkolny, więc mają problem co ze mną zrobić. Na wydziale sportowym jest facet, którego praca polega chyba tylko na rozwiązywaniu właśnie takich problemów, to znaczy na wybieraniu zajęć dla wysportowanych głabów, żeby nie oblali roku. Kazał mi chodzić na teorię wychowania fizycznego, bo uznał że z tym sobie poradzę bez trudu. Gorzej było z literaturą i przedmiotami ścisłymi, które były obowiązkowe. Później dowiedziałem się, że niektórzy nauczyciele są mniej czepliwi od innych i rozumiają, że jak ktoś gra w futbola to nie ma czasu przykładać się do nauki. Na wydziale ścisłym był taki mało czepliwy gość, który uczył czegoś co się zwało „Optyką kwantową dla średnio zaawansowanych” i było przeznaczone głównie dla tych co się specjalizowali w fizyce. Kazano mi chodzić na te zajęcia, chociaż nie wiedziałem czym się różni fizyka od wychowania fizycznego.

Co do literatury to miałem mniej szczęścia. Okazało się, że nauczyciele z tego wydziału nie stosują żadnej ulgi taryfowej. Powiedziano mi więc, żebym się nie przejmował; jak obleję to się wtedy coś wymyśli.

Na pierwszych lekcjach z optyki dostaję poręcznik, który waży chyba ze trzy kilo i wygląda jakby go napisał Chińczyk. Ale dobra, wieczorami siadam sobie w piwnicy i czytam w świetle żarówki i po jakimś czasie, sam nie wiem jak i kiedy, otwierają mi się klapki i zaczynam wszystko kapować. To znaczy nadal nie pojmuję po co nam ta cała optyka, ale zadania rozwiązuję z palcem w nosie. Po pierwszej klasówce profesor Hooks, tak się nazywa gość od optyki, prosi żebym przyszedł po lekcji do jego gabinetu.

— Forrest, masz mi powiedzieć prawdę — mówi. — Czy ktoś ci dał ściągę?

Kręcę makową że nie, a wtedy on mi wręcza kartkę z jakimś zadaniem, każe mi się i rozwiązać je na miejscu. Potem ogląda co napisałem, potrząsa głową i powtarza:

— Niewiarygodne! Niewiarygodne!

Lekcje literatury to osobny rozdział. Nauczyciel nazywa się profesor Boone, jest strasznie surowy i cały czas gada. Pod koniec pierwszego dnia mówi nam, żebyśmy napisali w domu krótką autobiografię o sobie. Nie była to pestka, mówię wam; siedziałem do rana, męczyłem się i pociłem, ale skoro powiedzieli że mogę oblać ten przedmiot, to pisałem co mi ślina przyniosła do łba.

Kilka dni później profesor Boone oddaje nam nasze autobiografie, wyśmiewa się i wszystkich krytykuje. Wreszcie pada moje nazwisko. Myślę sobie: no, Forrest, masz przechlapane. Ale profesor zaczyna czytać na głos te moje spociny i ryczy ze śmiechu, a po chwili inni też ryczą. Opisałem szkołę dla bzików do której mnie posłano, granie w futbola w drużynie trenera Fellersa, cyremonię rozdawania nagród dla najlepszych piłkarzy, komisję rozbiorową, kino z Jenny Curran i inne takie. Profesor kończy czytać i mówi:

— Oto tekst ciekawy i oryginalny! Takich od was oczekuję. Wszyscy odwracają się i wlepiają we mnie gały. Profesor też.

— Panie Gump — mówi dalej — powinien pan uczyć się na kurs powieściopisarstwa, bo ma pan prawdziwy talent. A w ogóle jak pan wpadł na tak oryginalny pomysł? Proszę nam coś powiedzieć...

Więc mówię:

— Chce mi się siku.

Przez chwilę profesor przygląda mi się zszokowany, potem jak nie wybuchnie śmiechem! Klasa też wyje.

— Panie Gump, jest pan bardzo zabawnym facetem — mówi. Patrzę na niego jak na wariata.

Kilka tygodni później, w sobotę, graliśmy pierwszy mecz. Na treningach nie za dobrze sobie radziłem póki trener Bryant nie wymyślił co ze mną zrobić, a wymyślił to samo co wcześniej wymyślił trener Fellers. Po prostu dawał mi piłkę i kazał z nią biec. W sobotę całkiem nieźle biegałem, aż cztery razy zdobyłem punkty przez przyłożenie i pobiliśmy drużynę z uniwersytetu z Georgii 35 do 3. Po meczu wszyscy klepali mnie po plecach aż się krzywiłem z bólu.

Kiedy się umyłem zadzwoniłem do mamy. Słuchała relacji w radiu i była taka szczęśliwa, że aż kipiała z radości. Tego wieczora wszyscy gdzieś szli świętować zwycięstwo, ale mnie nikt nigdzie nie zaprosił, więc poszedłem do siebie do piwnicy. Siedzę sobie, siedzę i po jakimś czasie z góry dolatuje mnie muzyka, a ponieważ mi się podoba, nawet bardzo, idę sprawdzić kto czy co tak ładnie gra.

W jednym z pokojów na górze zastaję chłopaka z drużyny, Bubba się nazywa, który zasuwa na harmonijce. Któregoś dnia na treningu złamał biedak nogę, więc nie wystąpił w meczu i też nie miał gdzie iść wieczorem. Siadam na wolnym łóżku i słucham jak gra, nie rozmawiamy ani nic, po prostu ja siedzę na jednym łóżku, on na drugim i gra. Gdzieś po godzinie pytam się go czy też mogę spróbować.

— Dobra — mówi.

Nawet nie zaświtało mi w głowie, że to na zawsze odmieni moje życie.

Wkrótce złapałem dryga i zaczęło mi iść całkiem dobrze. Bubba zupełnie oszalał i plótł jakieś głupoty, że czegoś takiego to on jeszcze w życiu nie słyszał. Kiedy zrobiło się późno wstałem, żeby zejść na dół a wtedy Bubba mówi, żebym wziął z sobą harmonijkę, więc ją wzięłem i grałem jeszcze przez wiele godzin aż mi się oczy zakleily i poszedłem spać.

Nazajutrz w niedzielę chciałem mu zwrócić harmonijkę, ale Bubba powiedział że mogę ją sobie zatrzymać, bo ma drugą. Ucieszyłem się. Wybrałem się na spacer, usiadłem pod drzewem i grałem cały dzień aż mi w końcu zabrakło pomysłów na melodie.

Było późne popołudnie i słońce już prawie zaszło jak ruszyłem z powrotem do Małpiarni. Idę przez placyk kiedy wtem słyszę żeński głos:

— Forrest!

Odwracam się i co widzę? Jenny Curran we własnej osobie. Podchodzi do mnie uśmiechnięta od ucha do ucha, bierze mnie za rękę i mówi, że oglądała wczoraj mecz, że świetnie grałem, no i w ogóle. Okazuje się, że wcale się na mnie nie gniewa za to w kinie, po prostu tak się jakoś głupio stało, ale to nie była niczyja wina. Potem pyta się czy napiłbym się z nią coca-coli. Nie wierzę własnemu szczęściu.

Siedzimy razem przy stoliku, ja słucham a Jenny opowiada mi, że studiuje muzykę i aktorstwo i chce zostać aktorką albo piosenkarką. Występuje w takiej małej kapeli co gra muzykę folk. Jutro wieczorem grają w klubie studenckim i jak chcę to mogę wpaść posłuchać. Kurde flaki, ledwo się mogę doczekać jutra!

4

Trener Bryant wymyślił coś, taką niespodziankę, ale to pilnie strzyżona tajemnica, nawet między sobą w drużynie nie wolno nam o tym gadać. Otóż od jakiegoś czasu uczyli mnie łapać piłkę. Codziennie po treningach zostawaliśmy na boisku, ja, rozgrywający i dwóch drabów trenera. Tak długo kazali mi biegać i łapać, biegać i łapać, że padałem na pysk a język zwisał mi do pępka, ale w końcu się naumiałem i trener Bryant powiedział, że to będzie nasza tajna broń, coś jak bomba adamowa. Powiedział, że rywale szybko się pokapują, że nikt mi nie rzuca podań, więc nie będą na mnie zwracać uwagi...

— A wtedy złapiesz piłkę i pognasz do bramki. Chłop wielki jak dąb, prawie dwa metry wzrostu, sto dziesięć kilo żywej wagi, a setkę robi w dziewięć i pół sekundy! Szczeka im opadnie!

Skumplałem się z Bubbą. Nauczył mnie paru nowych melodii i czasem przychodzi do mnie do piwnicy i siadamy i gramy razem, ale Bubba twierdzi, że jestem od niego o niebo lepszy i nawet nie ma co marzyć, żeby mi dorównać. Coś wam powiem: gdyby nie ta harmonijka pewno już bym dawno spakował manatki i wrócił do domu. Ale muzykowanie sprawia mi taką frajdę, że nie umiem tego opisać. Kiedy przykładam harmonijkę do ust, staje się jakby kawałkiem mnie i aż mnie ciarki przechodzą po grzbiecie. Cała tajemnica grania polega na właściwych ruchach języka, ust, palców i szyi, a mnie się język wydłużył jak ganiałem z piłką. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło.

W piątek pożyczyłem od Bubby wodę kolońską i odżywkę do włosów, wyelegancilem się i poszedłem do klubu studenckiego. Na widowni tłum. Jenny stoi na scenie razem z trzema czy czterema facetami. Ma na sobie długą sukienkę i gra na *gitarze*. Jeden z facetów brzdąka na banjo, a drugi szarpie struny kontrabasa.

Ładnie grają. Jenny dostrzega mnie na końcu sali, uśmiecha się i pokazuje mi oczami, żebym podszedł bliżej i klapł pod sceną. Jezu, ale było klawo siedzieć tak blisko na podłodze, patrzeć na Jenny i słuchać jak gra. Pomyślałem sobie, że później kupię pudełko czekoladek — może się skusi.

Grali z godzinę czy gdzieś koło tego, Jenny śpiewała piosenki Joan Baez, Boba Dylana i Peter, Paul and Mary, wszyscy się dobrze bawili, a ja sobie siedziałem oparty o ścianę, oczy miałem zamknięte i słuchałem. Nagle, sam nie wiem kiedy i jak, wyciągiem z kieszeni harmonijkę i zaczęłem przygrywać.

Jenny była akurat w połowie „Blowin' in the Wind”. Na moment umilkła, facet od banjo też. Oboje mieli bardzo zdziwione miny, ale potem Jenny uśmiechnęła się szeroko i znów zaczęła śpiewać, a facet od banjo pozwolił, żebym przez chwilę sam jej kompaniował. Kiedy skończyłem tłum nagroził mnie oklaskami.

Po tej piosence zespół zrobił sobie przerwę, a Jenny zeszła do mnie i mówi:

— Jejku, Forrest, gdzieś ty się nauczył tak grać?

No i przyjęła mnie do swojego zespołu. Graliśmy w piątki i jeśli nie było akurat meczu wyjazdowego, to za każdy piątkowy wieczór zarabiałem dwadzieścia pięć dolców. Czuję się jak w niebie póki się nie dowiedziałem, że Jenny pieprzy się z tym facetem od banjo.

Lekcje literatury okazały się trudnym orzechem do zgryzienia. Z tydzień po tym jak czytał wszystkim na głos moją autobiografię i się zaśmiewał, profesor Boone wezwał mnie do siebie.

— Panie Gump, za długo się pana żarty trzymają. Czas najwyższy, żeby pan spoważniał - mówi i oddaje mi moje wypracowanie o poecie zwanym Wordsworth. — Okres romantyzmu wcale nie nastąpił po „całej kupie klasycznego szajsu”, a poeci Pope i Dryden nie byli żadnymi „zasranymi zrzędami”.

Każe mi napisać wypracowanie od nowa i wtedy mi świta we łbie, że profesor Boone jeszcze nie kapuje, że jestem idiota. Ale myślę sobie: nie szkodzi, wkrótce się dowie.

W międzyczasie ktoś musiał komuś coś szeptać, bo któregoś dnia wzywa mnie mój opiekun z wydziału sportowego i mówi, że będę jutro zwolniony z lekcji, bo mam się zgłosić do jakiegoś doktora Millsa w centrum medycznym uniwersytetu. No więc z samego rana idę do tego centrum. Doktor Mills siedzi przy biurku i przegląda stos papierów. Mówi, żebym usiadł, po czym zadaje mi pełno pytań, a potem każe mi się rozebrać, ale tylko do gaci; odetchnę z ulgą, bo wciąż pamiętałem co mi zrobili ci lekarze z komisji wojskowej. Kiedy zdjąłem ubranie zaczął mnie obmacywać i zaglądać w oczy i walić po kolanach małym gumowym młotkiem.

Później spytał się mnie czy mógłbym wrócić po południu i przynieść ze sobą organki, bo słyszał, że ładnie gram i czy mógłbym coś zagrać na jego zajęciach ze studentami. Zgodziłem się, chociaż nawet komuś tak durnemu jak ja ta prośba wydała się dziwaczna.

Ale nic, przychodzę jak obiecałem. W sali jest ze sto studentów w medycznych fartuchach i z notesami w rękach. Doktor Mills prosi, żebym usiadł na krześle na środku sceny. Obok na stoliku stoi dzbanek z wodą.

Najpierw doktor gada jakieś bzdury co to nie rozumiem z nich ani słowa, ale po jakimś czasie mam wrażenie jakby mówił o mnie.

- *Idiot-savant* to połączenie geniusza i idioty... — powiada i wszyscy studenci kierują na mnie gały. — To ktoś, kto nie potrafi zawiązać krawata, kto ledwo sobie radzi ze sznurówkami, kto ma umysł dziecka sześć-, góra dziesięcioletniego i, w tym akurat wypadku, ciało jak... hm, adonis.

Wcale mi się nie podoba uśmiech doktora, ale nie mam wyjścia, siedzę dalej.

— W mózgu *idiot-savant* są zakamarki, w których drzemie geniusz. Na przykład obecny tu Forrest potrafi rozwiązywać skomplikowane zadania matematyczne, z którymi wy nie dalibyście sobie rady, oraz grać skomplikowane utwory muzyczne z równą łatwością co Liszt czy Beethoven. Oto prawdziwy *idiot-savant* — mówi i zamaszystym ruchem wskazuje mnie łapą.

Nie jestem pewien co mam robić, ale doktor mówi żebym coś zagrał, no to wyciągani harmonijkę i gram „Wlaził kotek na płotek”. Wszyscy się na mnie gapią jakbym był robakiem na szpilce. Kończę grać a oni wciąż się gapią, nie klaszczą ani nic. Pewno im się nie podoba, myślę sobie, więc wstaję, mówię: „Dziękuję” i wychodzę z sali. Łaski mi nie robią, kurde bałas!

Do końca roku szkolnego zdarzyły się dwie rzeczy co by je można uznać za ważne. Pierwsza — to że doszliśmy do finału mistrzostw kraju w futbolu uniwersyteckim i pojechaliśmy rozegrać mecz na stadionie Orange Bowl, a druga — to że odkryłem, że Jenny pieprzy się z facetem od banjo.

Jeśli chodzi o Jenny, o wszystkim dowiedziałem się któregoś wieczora kiedy mieliśmy grać na przyjęciu w jakiejś koperacji studenckiej. Wcześniej tego dnia trener Bryant dał nam porządny wycisk i potem tak strasznie suszyło mnie w gardle, że gdybym zobaczył na ulicy kałużę chyba bym ją całą wydudlił. Ale pięć czy sześć ulic od Małpiarni był taki mały sklep i poszedłem tam prosto po treningu. Chciałem kupić kilka limon i trochę cukru i przyrządzić sobie limoniadę taką jak mi mama dawniej robiła. Rozglądam się po półkach, a za ladą stoi zezowata staruszka i patrzy na mnie jakbym był bandytą albo co. Wreszcie pyta się:

— Mogę w czymś pomóc?

Mówię jej że szukam limon, a ona na to że nie ma limon. Więc pytam się czy są cytryny, bo od biedy mogę sobie przyrządzić cytronadę, ale cytryn też w sklepie nie ma ani pomarańczy ani nic. Taki to był nędzny sklep. W każdym razie krązę po nim i krązę, chyba z godzinę albo dłużej, a staruszka się coraz bardziej denerwuje i wreszcie pyta się:

— To jak, kupuje pan coś czy nie?

Pomyślałem sobie, że skoro nie mogę mieć limoniady ani cytronady, kupię puszkę brzoskwiń i torebkę cukru i zrobię brzoskwiniadę, bo inaczej zasuszę się na śmierć. Po powrocie do piwnicy otwarłem puszkę nożem, wrzuciłem owoce do skarpety i wycisłem sok do słoika. Potem wlałem trochę wody, dosypałem cukru i zmieszałem, ale wiecie co? Wcale nie było smaczne. W dodatku cuchło jak spocone skarpety.

W tej koperacji studenckiej mam być o siódmej i kiedy docieram na miejsce dwóch chłopaków z zespołu ustawia instrumenty na scenie, ale Jenny i faceta od banjo nigdzie nie ma. Rozpytuję się o nich, a potem wychodzę na parking odetchnąć świeżym powietrzem. Nie opodal stoi samochód Jenny, więc myślę sobie: pewno przed chwilą przyjechała.

Wszystkie szyby są zaparowane i w środku nic nie widać. Nagle coś mnie tyka, że może drzwi się zacięły i Jenny nie potrafi się wydostać, może zatruje się spaliną czy benzyną czy czym się tam człowiek zatruwa, więc biorę za klamkę i ciągnę. Wewnątrz zapala się światelko.

Jenny leży na tylnym siedzeniu, górną połowę sukienki ma ściągniętą w dół, a dolną połowę podciągniętą do góry. Na mój widok zaczyna krzyczeć i wymachiwać rękami tak jak wtedy w kinie i nagle straszna myśl przychodzi mi do głowy: a co jeśli facet od banjo ją napastowuje? Więc czym szybciej chwytam go za koszulę, bo tylko to ma na sobie, i wywlekam z wozu.

Nawet taki idiota jak ja się w końcu skapował, że znów dałem dupy. Kurde, nie wyobrażacie sobie co się działo. On kłął na czym świat stoi, ona ciągnęła sukienkę to do góry to w dół i też kłęła w surowy kamień. Wreszcie powiedziała:

— Och, Forrest, jak mogłeś?!

I odeszła.

Facet od banjo wziął banjo i również odszedł.

Widziałem po ich minach, że nie chcą mnie więcej w zespole, więc wróciłem do siebie do piwnicy. I wciąż się głowiłem co oni wyprawiali w tym samochodzie. Po pewnym czasie Bubba zobaczył, że pali się u mnie światło i kiedy zszedł na dół opowiedziałem mu o wszystkim, a on na to:

— Rany boskie, Forrest, oni się kochali!

Chyba dlatego sam na to nie wpadłem, bo wolałem nie wiedzieć. Czasem jednak trzeba spojrzeć faktom w oczy.

Okropnie mi było ciężko kiedy myślałem o tym co Jenny robiła z facetem od banjo i że pewno ze mną by tego robić nie chciała — całe szczęście że futbol zajmował mi tyle czasu, bo chyba bym z rozpaczki zidiociał do reszty. A jeśli chodzi o futbol to przez cały sezon nie ponieśliśmy ani jednej klapy i mieliśmy rozegrać mecz o mistrzostwa kraju na stadionie Orange Bowl z palantami z Nebraski. Za każdym razem jak graliśmy przeciwko drużynie z północy było to duże wydarzenie, bo oni zawsze mieli czarnych w zespole, a to spinało niektórych naszych, na przykład mojego byłego współpokojujowicza Curtisa. Mnie osobiście czarni nie zawadzali, bo większość tych co spotkałem traktowała mnie lepiej niż biali.

No dobra, pojechaliśmy do Miami na Orange Bowl. Tuż przed meczem jesteśmy wszyscy nabuzowani. Trener Bryant przychodzi do nas do szatni, ale niewiele mówi, tylko że jak chcemy wygrać musimy dać z siebie wszystko i inne takie dyrdymały. Potem wybiegamy na boisko. Oni wykopują piłkę. Leci prosto na mnie, więc łapię ją w powietrzu i po chwili wpadam na gromadę czarnych i białych palantów z Nebraski co to każdy z nich waży pewno z ćwierć tony.

I tak to się toczy przez całe popołudnie. Po drugiej kwarcie oni prowadzą 28 do 7. Siedzimy w szatni z brodami na kwintę. Przychodzi trener Bryant i kiwa smętnie łepetyną jakby od początku się spodziewał, że go zawieziemy. Potem staje przed tablicą, coś po niej maże kredą, gada coś do Węża, naszego rozgrywającego, gada coś do innych, wreszcie woła

„Forrest!” i każe mi wyjść z sobą na korytarz.

— Forrest — powiada. — Gramy do dupy i trzeba to zmienić. — Twarz ma tak blisko mojej, że czuję jego gorący oddech. — Przez cały rok, Forrest, w tajemnicy przed innymi, ćwiczyliśmy z tobą podania i świetnie ci to szło. Słuchaj uważnie: w drugiej połowie Wąż rozegra piłkę do ciebie. Te palanty z Nebraski będą tak zaskoczone, że nie tylko szczeka im opadnie, ale również gacie. Wszystko, chłopcze, zależy teraz od ciebie, więc pamiętaj: jak dostaniesz piłkę, gnaj jakby cię goniło stado dzikich bestii.

Kiwam głową że kapuję, a zaraz potem wracamy na boisko. Wszyscy wrzeszczą i się wydzierają, a ja czuję się przygnieciony odpowiedzialnością. To niesprawiedliwe, myślę sobie, żeby wszystko spoczywało na moim ramieniu. Ale trudno, czasami nie ma innej rady.

Jak tylko piłka jest nasza, robimy młyn i Wąż mówi:

— Chłopaki, pora na zagrywkę Forresta. — Po czym zwraca się do mnie: — Forrest, przebiegnij ze dwadzieścia metrów i tylko się odwróć, piłka już tam będzie.

I cholera, rzeczywiście wpada mi prosto w graby. Nagle wynik zmienia się na 28 do 14.

I odtąd gramy naprawdę nieźle tyle że te czarne i białe palanty z Nebraski też nie zasypują gruszek. Mają kilka własnych chytrych zagrywek, na przykład przewracają naszych jakby byli z tektury albo co.

Gacie im nie opadły, ale są mocno zdziwieni, że umiem łapać piłkę i kiedy ją łapię ze cztery albo pięć razy i wynik podskakuje na 28 do 21 każą dwóm zawodnikom, żeby mnie uważnie pilnowali. Ci przyklejają się do mnie jak gówno do buta, a wtedy się okazuje, że jeden z naszych obrońców, Gwinn, ma większą swobodę ruchów, bo nikt mu nie depcze po piętach. Gwinn łapie podanie od Węża i nagle jesteśmy piętnaście kroków od pola punktowego. Kopacz Łasica posyła piłkę nad poprzeczką i zdobywamy kolejne trzy punkty.

Kiedy zeszedłem z boiska żeby kopacz mógł wejść, zaraz podleciał do mnie trener Bryant i mówi:

— Forrest, może rozumu to ci Bozia poskapiła, ale musisz się postarać, żebyśmy wygrali. Jeśli jeszcze raz dobiegniesz z piłką do pola punktowego, to osobiście dopilnuję, żeby cię zrobiono prezydentem Stanów Zjednoczonych czy kimkolwiek tam chcesz być.

Po czym klepie mnie po łbie jak psa i posyła z powrotem na boisko.

Podczas pierwszej próby rozegrania piłki Wąż zostaje zatrzymany, a czas ucieka. Podczas drugiej próby usiłuje zmylić przeciwników i zamiast rzucić piłkę do skrzydłowego podaje ją mnie, ale natychmiast zwała się na mnie parę ton czarnych i białych palantów z Nebraski. Przez chwilę leżę na wznaku i myślę sobie o tym jak się musiał czuć mój biedny tatko kiedy zgniotła go sieć z bananami, ale potem wstaję i znów robimy młyn.

— Forrest — mówi Wąż — będę udawał, że chcę posłać piłkę do Gwinna, ale rzucę ją do ciebie, więc pędź w stronę rogu, a potem obróć się w prawo i czekaj.

Oczy płoną mu dziko. Kiwam głową że kapuję i robię jak mi każe.

Jak na komendę piłka trafia w moje ręce i pędzę z nią na środek boiska. Dokładnie przed sobą widzę słupki bramki. Nagle wpada na mnie jakiś olbrzym i trochę mnie hamuje, a zaraz po nim cała zgraja tych czarnych i białych palantów z Nebraski i w końcu już nie dają rady i zwalam się jak długi. Kurde Balas! Ale przynajmniej mamy blisko do pola punktowego i zwycięstwa. Kiedy wstaję Wąż ustawia wszystkich do ostatniej próby. W każdej połówce meczu wolno trzy razy prosić o przerwę, żeby zawodnicy mogli się naradzić. Myśmy już nasze przerwy wykorzystali. Kiedy zajmuję pozycję Wąż pokazuje na migi, że zaraz mi poda piłkę. Zrywam się do biegu, ale piłka leci na aut ze trzy metry nad moją głową. Specjalnie ją tak rzucił, żeby zatrzymać zegar. Zostały nam tylko dwie czy trzy sekundy.

Niestety coś się Wężowi pokiełbasilo we łbie, pewno myślał, że mamy jeszcze jedną próbę, ale to już była czwarta i ostatnia, więc tracimy piłkę i przegrywamy mecz. Wąż zachował się tak idiotycznie jakby był mną.

W każdym razie czułem się paskudnie, bo liczyłem na to że Jenny Curran ogląda mecz i

może gdybym złapał piłkę i zdobył dodatkowe punkty, to byśmy wygrali i wtedy ona by mi przebaczyła, że otworzyłem drzwi jej samochodu. Ale tak się nie stało. Trener Bryant był bardzo niezadowolony z wyniku, choć nadrabiał dobrą miną do złej gry.

— Trudno, chłopcy — powiedział. — Może wygramy w przyszłym roku. Ale ja się już tego nie doczekałem.

5

Wkrótce po meczu na Orange Bowl wydział sportowy dostał moje oceny za pierwszy semestr i trener Bryant wzywa mnie do swojego gabinetu. Kiedy wchodzę minę ma nietęgą.

— Forrest — powiada — to że oblałeś egzamin z literatury mnie nie dziwi. Ale nie pojmuję dwóch rzeczy i chyba nigdy nie zrozumiem: jak to możliwe, że otrzymałeś najwyższą ocenę z jakiegoś optyki kwantowej, a jednocześnie lufę z teorii wychowania fizycznego? Ty, którego uznano za najlepszego obrońcę w rozgrywkach międzyuczelnianych?

To długa historia, więc nie chcę nią marudzić trenera Bryanta, ale po licho mi wiedzieć jaka jest odległość między bramkami na boisku futbolowym? Trener Bryant przygląda mi się ze smutkiem, a potem mówi:

— Forrest, bardzo mi przykro, ale z powodu złych ocen wylewają cię ze studiów i niestety nie mogę ci pomóc.

Przez chwilę stałem tępo jak jaki tuman i nagle do mnie dotarło co to oznacza. Nie będę więcej grał w futbola. Muszę opuścić uniwersytet. Pewno już nigdy nie zobaczę chłopaków z drużyny. Ani Jenny Curran. Muszę wyprowadzić się z piwnicy. Nie będę w przyszłym semestrze chodził na optykę kwantową dla zawodowców jak mi obiecał profesor Hooks. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale łzy zaczęły mi cieknąć do oczu. Stałem ze zwieszoną głową i nic nie mówiłem.

Po chwili trener Bryant wstał, podszedł do mnie i obtoczył mnie ramieniem.

— Forrest — mówi. — Nie przejmuj się, chłopcze. Kiedy przyjechałeś do nas, spodziewałem się, że coś takiego się stanie. Ale ubłagałem władze uniwersyteckie. Powiedziałem: dajcie mi go choć na jeden sezon, o nic więcej nie proszę. No i musisz przyznać, Forrest, mieliśmy naprawdę udany sezon piłkarski. Daliśmy wszystkim do wiwatu. A ten mecz z Nebraska... to nie była twoja wina, że przy czwartym podejściu Wąż tak głupio rzucił piłkę...

Kiedy podnoszę głowę widzę, że trener Bryant też ma łzy w oczach i patrzy się we mnie głęboko.

— Forrest — powiada — nigdy nie mieliśmy i nigdy nie będziemy mieć drugiego takiego zawodnika jak ty. Spisałeś się na medal. — Po czym podchodzi do okna i wygląda przez szybę. — Życzę ci dużo szczęścia, chłopcze. A teraz zabieraj stąd swój wielki tyłek.

No to zabrałem.

Wróciłem do piwnicy i spakowałem bambetle. Potem wpadł Bubba z dwoma puszkami piwa. Dał mi jedną. Nigdy przedtem nie piłem piwa, ale po spróbowaniu nie dziwię się, że może smakować.

Wychodzimy razem z Bubbą z Małpiarni, a na zewnątrz czeka nie kto inny tylko cała drużyna futbolowa!

Nikt nic nie mówi. Najpierw podchodzi do mnie Wąż i wyciąga łapę.

— Przepraszam cię, stary, za tamto podanie — mówi. A ja na to:

— Nie ma sprawy, stary.

Potem kolejno podchodzą inni i ściskają mi grabę, nawet Curtis w pięknym gipsowym ubranku, które nosi odkąd chciał wejść przez takie naprawdę solidne drzwi bez użycia klamki.

Bubba proponuje że odprowadzi mnie na dworzec autobusowy, ale mówię że wolę iść sam.

- Odezwij się czasem — mówi mi na pożegnanie.

Po drodze na stację mijam klub studencki gdzie grywa zespół Jenny Curran, ale oni grywają w piątki wieczorem a akurat nie jest piątek, więc myślę sobie: trudno, mam to gdzieś — i wsiałam w autobus i wracam do domu.

Była już noc jak autobus dojechał do Mobile. Nie mówiłem wcześniej mamie o wyrzutce z uniwerku, bo wiedziałem że się będzie gnębić. W każdym razie idę z dworca na piechotę, dochodzę do domu i patrzę, a u mamy w pokoju pali się światło. A mama jak to mama beczy i rozpacza. Myślę sobie: w nawyk jej weszło czy co? Okazuje się, że wojsko już się dowiedziało że oblałem studia i przysłało wiadomość, żebym się zgłosił do komisji rozbiorowej. Jakbym wtedy wiedział to co teraz, spieszyłbym gdzie pieprz rośnie.

Kilka dni później idę tam razem z mamą. Mama zapakowała mi na drogę drugie śniadanie na wypadek gdybym zgłodniał jak nas będą gdzieś dalej wieźć. Na miejscu czeka ze stu chłopaków i cztery albo pięć autobusów. Jakiś wielki sierżant gardłuje na wszystkich wkoło. Mama podchodzi do niego i mówi:

— Na co wam mój syn? To idiota. Sierżant mierzy ją oczami.

— A pani myśli, że ci inni to kto? Einsteiny? — pyta i wraca do gardłowania.

Po chwili na mnie też gardłuje żebym wsiadł do autobusu, więc wsiadam i odjeżdżamy.

Odkąd opuściłem szkołę dla bzików ciągle ktoś na mnie krzyczał: przedtem krzyczał trener Fellers, potem trener Bryant i jego draby, a teraz wojacy. Ale oni krzyczą głośniej, dłużej i paskudziej od wszystkich. Niczym ich nie zadowolisz. Poza tym nie wyzywają mnie od tumanów czy tępaków jak obaj trenerzy — nie, ich bardziej interesują wstydlive części ciała, to co się robi na kiblu i tym podobne sprawy, więc każdy swoje krzyknięcie zaczyna od: „ty chuju!” albo „ty zasańcu”. Czasem się zastanawiam czy Curtis nie był w woju zanim zaczął grać w futbola.

W każdym razie po jakiś stu godzinach jazdy docieramy do Fort Benning w Georgii i natychmiast przypominam sobie wynik 35 do 3. Kurde flaki, ale daliśmy wycisk miejscowej drużynie! Warunki mieszkaniowe w barakach są nawet trochę lepsze niż w Małpiarni, czego nie można powiedzieć o jedzeniu, które jest okropne chociaż dają go dużo.

Przez następnych kilka miesięcy robiliśmy co nam sierżanty kazali i słuchaliśmy jak się na nas wydzierają. Uczyli nas strzelać, rzucać granaty i czołgać się na brzuchach. Kiedy nie strzelaliśmy, nie rzucaliśmy i nie czołgaliśmy się, biegaliśmy albo szorowali kible. Najlepiej z Fort Benning pamiętam to, że nikt tam nie był dużo mądrzejszy ode mnie co było sporą ulgą.

Wkrótce po moim przyjeździe strzelaliśmy na poligonie i niechcący strzeliłem w zbiornik z wodą. Za karę sierżant wysłał mnie do pracy w kuchni, żebym zmywał, obierał i co tam jeszcze. Idę więc do kuchni, a tu się nagle okazuje że kucharz się pochorował i jakiś chłopak pokazuje na mnie i mówi:

— Gump, będziesz dziś kucharzem. A ja na to:

— Co mam gotować? Nigdy w życiu nic nie gotowałem. A on na to:

— Co za różnica? Nie prowadzimy ekskluzywnej knajpy, no nie?

— Może zrób gulasz — radzi mi inny. — To najłatwiej.

— Z czego? — pytam.

— Zajrzyj do lodówki w spiżarni — odpowiada. — Potem wrzuć wszystko do gara i podgrzej.

— A co jak nikomu nie będzie smakować? — pytam się.

- Co ci? to obchodzi? Jadłeś tu coś, co ci smakowało?

Ma racje.

No więc zaczęłem znosić różne rzeczy ze spiżarni. Puszki z pomidorami i puszki z fasolą i brzoskwinie i boczek i ryż i kilka worków mąki i kilka worków kartofli i inne takie. Ustawiłem wszystko na środku kuchni i pytam:

- W czym mam gotować?

— W szafkach są jakieś garki.

Sprawdzam, ale są tylko małe, o dużo za małe jak na gulasz dla dwieście osób z

kompanii.

— Może by się spytać porucznika? — mówi jeden z chłopaków.

— E tam, jest na manewrach — mówi drugi.

— Musisz coś wymyślić, Gump, bo jak chłopaki wrócą, będą głodne jak stado wilków.

— A może w tym? — pytam się i pokazuję na wielki żelazny kocioł w rogu; ma z metr osiemdziesiąt wysokości i z półtora metra dookoła.

— W tym? To, kurwa, kocioł parowy! W nim się nie gotuje.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Ale na twoim miejscu bym tego nie robił.

— Ale dlaczego? Jest gorący. W środku ma pełno wody...

— A niech robi co chce — mówi ten drugi. — Wracamy do naszej roboty.

No więc użyłem do gotowania kocioł. Otwarłem wszystkie puszkę, obrałem wszystkie kartofle, wrzuciłem wszystkie kawały mięsa jakie znalazłem, dodałem cebule, marchew, po czym wlałem z dziesięć czy dwadzieścia słoików keczupu, musztardy i innych paciek. Mniej więcej po godzinie zaczął się rozchodzić zapach gulaszu.

— Jak tam kolacja? — pyta się jeden z chłopaków.

— Zaraz sprawdzę — mówię.

Podnoszę pokrywę i patrzę, a tam wszystko w środku pięknie bulgocze; to wypływa na wierzch cebula, to kartofel.

— Daj, spróbuję — mówi ten co się pytał o kolację. Bierze blaszany kubek i zanurza go w brei. — Kurwa, to jeszcze surowe. Lepiej zwiększ temperaturę. Bo zaraz się wszyscy zaczną schodzić.

No więc zwiększyłem temperaturę i rzeczywiście chłopaki wkrótce zaczęły się schodzić z manewrów. Słysząc było jak się myją i przebierają w barakach i zanim się obejrzałem, byli już w stołówce.

Ale gulasz wciąż nie był gotowy. Próbuję go raz i drugi i ciągle trafiam na jakieś surowe kawałki. Ze stołówki słysząc niezadowolony pomruk, potem jakieś chórowe okrzyki, więc jeszcze bardziej zwiększam temperaturę pod kotłem.

Po pół godziny wszyscy walą w stoły nożami i widelcami i panuje taki harmider jakby wybuchł bunt w więzieniu. Wiem, że muszę temu zaradzić piorunem, więc nastawiam temperaturę na maksimum.

Siedzę i wpatruję się w kocioł, z tych nerwów aż nie wiem co ze sobą zrobić, kiedy nagle drzwi się otwierają i do środka wpada sierżant.

— Co się tu do diabła dzieje? Gdzie kolacja dla żołnierzy?

— Już prawie gotowa, panie sierżancie — mówię. W tym momencie kocioł zaczyna się trząść i podskakiwać. Z boków bucha para, a od podłogi odrywa się jedna z nóg.

— Co to? — pyta się sierżant. — Gotujecie coś w tym kotle?!

— Kolację, panie sierżancie — odpowiadam.

Na twarzy sierżanta najpierw pojawiło się zdziwienie, potem pojawiło się takie przerażenie jakby pędził samochodem prosto na drzewo, a potem wybuchł kocioł.

Nie jestem do końca pewien co było dalej. Wiem tylko, że od wybuchu dach stołówki wyleciał w powietrze i wszystkie okna i drzwi też.

Chłopaka co zmywał naczynia cisło przez ścianę, a tego co je wycierał dmuchło do góry — poleciał jak Superman.

Mnie i sierżantowi, nie wiem jakim dziwem, ale nic się nie stało. Może dlatego że staliśmy najbliżej? Bo tu w wojsku mówią, że jak na przykład wybuch granatu, to często tym co są najbliżej wybuchu nie dzieje się żadna krzywda. Wiec krzywda nam się nie stała, jedynie zmiotło z nas całe ubranie poza moją białą czapką kucharską i byliśmy od nóg do głów oblepieni gulaszem. Wyglądaliśmy... sam nie wiem jak wyglądaliśmy, ale kurde flaki, widok był niesamowity.

O dziwo, chłopakom w stołówce również nic się nie stało. Wciąż siedzieli przy stołach, byli oszołomieni i też zafajdani gulaszem, ale przynajmniej milczeli i nie domagali się żarcia.

Nagle wpada do budynku dowódca kompanii.

— Co to było? — wykrzykuje. — Co się stało? — Patrzy na mnie i na sierżanta, a potem drze się: — Sierżancie Kranz, to wy?!

— Gump! Kocioł! Gulasz! — odpowiada sierżant, po czym bierze się w garść i chwytając ze ściany tasak do mięsa. — Gump! Kocioł! Gulasz! — wrzeszczy i jak się nie rzuci na mnie z tasakiem.

Wybiegam na zewnątrz i pędzę ile siły w nogach, on za mną. Gania mnie po placu apelowym, po kasynie oficerskim, po parkingu. W końcu mu umykam, bo mam w tym doświadczenie — jakby nie było, biegi to moja specjalność — ale w głębi duszy wiem, że wdepłem w gówno po uszy.

Któregoś wieczora mniej więcej rok później dzwoni w baraku telefon. Podnoszę słuchawkę, a to Bubba. Mówi że rzuca studia, bo uniwersytet cofnął mu stypendium, a cofnął dlatego że złamana noga nie chciała się dobrze zrosnąć. Potem pyta czy nie mogę się wyrwać na dzień czy dwa do

Birmingham, żeby zobaczyć jak nasi łożą skórę gnojkom z Missisipi. Ale nie mogę; wiem że nie dostanę wypustki. Nie dostałem jej ani razu odkąd gulasz wyleciał mi w powietrze, chociaż od tamtej pory minął prawie rok. W każdym razie skoro nie mogę oglądać meczu to w sobotę, jak idę szorować kible, biorę z sobą radio i przynajmniej słucham sobie.

Pod koniec trzeciej kwarty wynik jest bardzo zrównoważony. Wąż spisuje się świetnie. Nasi prowadzą 38 do 37, ale gnojki z Missisipi zdobywają punkty przez przyłożenie zaledwie minutę przed końcem. Nagle powtarza się sytuacja jak na Orange Bowl: ostatnie podejście i wszystkie przerwy wykorzystane. Modlę się w duszy, żeby Wąż nie zrobił tego samego błędu i nie wyrzucił piłki na aut, bo wtedy na mur beton przegramy, ale on dokładnie to robi.

Serce mi opada na kwintę, ale po chwili na stadionie rozlega się taka wrzawa, że nie słyhać głosu sprawozdawcy. Dopiero jak ryk milknie dowiaduję się o co chodzi, a chodzi o to że przy tym ostatnim podejściu Wąż udał, że rzuca piłkę na aut a w rzeczywistości podał do Curtisa, który dobiegł z nią do pola punktowego. Ale on jest cwany, ten trener Bryant! Od razu się skapował, że te gnojki z Missisipi są tak durne, że będą myślały, że nasi są na tyle głupi i zrobią ten sam błąd dwa razy.

Naprawdę się cieszę z wyniku meczu. Zastanawiam się też czy Jenny Curran siedzi na stadionie i czy myśli o mnie.

Ale nawet gdyby myślała nic bym z tego nie miał, bo miesiąc później wyjeżdżamy z Fort Benning. Trenowali nas tu przez rok jak jakie roboty, a teraz chcą nas wysłać szesnaście tysięcy kilometrów od domu. Wcale nie przesadzam. Do Wietnamu. Mówią, że tam nie jest tak źle w porównaniu z tym co tu przechodziliśmy. Ale przekonuję się na własnej skórze, że nie mieli racji.

Przyjechaliśmy w lutym. Drogę z Qui Nhon nad Morzem południowochińskim do Pleiku w górach odbyliśmy w ciężarówkach dla bydła. Sama jazda nie była najgorsza, a krajobraz był całkiem sympatyczny. Mijaliśmy drzewa bananowe i palmy i pola ryżowe, na których pracowały takie małe żółtki. Wszyscy zachowywali się przyjacielsko, machali do nas i w ogóle.

Byliśmy pół dnia jazdy od Pleiku, kiedy zobaczyliśmy wielką chmurę czerwonego kurzu co wisiała nad miastem. Na przedmieściach stały nędzne szałas, bardziej opłakańcze niż cokolwiek w Alabamie, i siedzieli w nich skuleni ludzie, dorośli bez zębów i dzieci prawie gołe. Na moje oko to byli żebraki.

Nasza baza nie wygląda źle tyle że cała też jest pokryta tym czerwonym kurzem. Niewiele się w niej dzieje, cisza, spokój, aż okiem sięgnąć widać tylko rzędy namiotów.

Teren dookoła jest w miarę sprzątnięty, kurz wymieciony. Nie tak sobie wyobrażałem miejsce gdzie się toczy wojna. Najbardziej przypomina mi to Fort Benning.

Mówią nam, że ten spokój to wynik zawieszenia broni z okazji miejscowego nowego roku, który się nazywa Tet czy coś w tym rodzaju. Wszyscy oddychamy z ulgą i na chwilę zapominamy o strachu. Ale spokój i cisza nie trwają długo.

No dobra, poparcelowano nas, a potem kazano iść do łaźni i się wykapać. Łaźnia to nic innego jak płytka dziura w ziemi. Obok stoją trzy czy cztery duże beczkowsy z wodą. Mamy się rozebrać, złożyć mundury i zostawić je przy wozach, potem wejść do dziury i czekać aż nas ktoś poleje.

Mimo połowych warunków kąpiel jest całkiem przyjemna zwłaszcza że prawie od tygodnia się nie myliśmy i pachniemy jak francuskie sery. No więc woda się leje, my się wygłupiamy i powoli robi się ciemno, kiedy nagle w powietrzu słychać taki dziwny dźwięk i gość co nas polewa wodą wrzeszczy: „Nalot!” i ci co stoją przy wozach znikają jak za mignięciem. A my nadal tkwimy goli w tej dziurze i patrzymy na siebie, bo nic nie kapujemy i wtedy rozlega się w pobliżu jeden wybuch, potem następny i wszyscy rzucają się po ubranie i krzyczą i klną jeden przez drugiego. Te naloty wybuchają wszędzie dookoła. Ktoś woła: „Na ziemię!”, a ja sobie myślę: kretyn czy co? Bo leżymy rozplaszczeni jak podeptane glizdy.

Po jednym z wybuchów, który sploduje tuż obok, wali się na nas pełno odprysków i różnego paskuctwa. Coś trafia w chłopaków na drugim końcu dołka, bo kilku z nich wrzeszczy, krwawi i skręca się z bólu. Okazuje się, że łaźnia nie jest najlepszą kryjówką przed nalotami. Nagle na skraju tej naszej dziury pojawia się sierżant Kranz. Woła, żebyśmy brali dupy w troki i ruszali za nim. Przez chwilę nie ma żadnych wybuchów, więc wyłazimy z dziury, rozglądam się, a tam — Chryste Panie! — koszmar. Na ziemi leży czterech czy pięciu facetów co nas polewali wodą. Prawie trudno rozpoznać w nich ludzi, są tak pomaszkarowani jakby ich przepuszczono przez maszynkę do mięsa albo co. Nigdy dotąd nie widziałem trupa i nigdy wcześniej ani nigdy później tak okropnie się nie bałem.

Sierżant Kranz daje na migi znać, żebyśmy się czołgali za nim na brzuchach, więc się czołgamy. Jakby ktoś nas oglądał z nieba to by się dopiero zdziwił! Stu pięćdziesięciu nagich facetów co się wiją rządkiem po ziemi.

Doczołgaliśmy się do niedużych okopów wykopanych jeden koło drugiego i sierżant Kranz mówi nam, żebyśmy się do nich schowali, po trzech albo czterech chłopaków na jeden okop. Ledwo wlałem w swój a natychmiast pożałowałem, że nie zostałem w tej dziurze łaźniowej. Musiałem stać w mulistej cuchnącej wodzie deszczowej, która sięgała po pas, była brudna, a w dodatku pływały w niej i skakały różne żaby, węże, robaki i inne świństwa.

Wybuchy splodowały przez całą noc, więc grzęźliśmy w tych okopach o głodnym pysku, bo nikt nam nie dał żadnej kolacji. Tuż przed świtem naloty ustały. Znow nam kazali brać dupy w troki, wyłazić z okopów, iść po ubranie i broń i przygotować się do następnego ataku.

Jako nowi nie bardzo wiedzieliśmy co mamy robić, sierżant też nie za bardzo wiedział, więc kazał nam pilnować południowego odcinka gdzie się akurat mieściła latryna dla oficerów. Było tam chyba jeszcze gorzej niż w mulistych okopach, bo jeden z pocisków trafił w latrynę i ze trzysta kilo oficerskiego gówna rozbryzgało się dookoła.

Czatowaliśmy tam cały dzień — bez śniadania i bez obiadu. O zachodzie słońca znów zaczęły się naloty, więc rzuciliśmy się na ziemię i leżeliśmy w tym gównie. Mówię wam, to był koszmar.

Wreszcie komuś się przypomniało, że pewno nam kiszki z głodu grają skoczną rumbę, bo nam podesłali pudło z konserwami. Ja dostałem szynkę z jajkami. Na puszcze był rok produkcji: 1951. Po bazie krążą różne plotki. Ktoś mówi, że żółtki ganiają po całym Pleiku, ktoś inny — że mają bombę atomową a na razie ostrzeliwują nas z moździerzów dla zmydlenia oczu. Jeszcze ktoś inny mówi, że to wcale nie żółtki nas ostrzeliwują tylko

Australijczyki albo Holendry czy Norwegi. Mnie nie robi różnicy kto strzela. Ważne że strzela, a gównu mnie obchodzi co on za jeden.

Po pierwszym dniu próbujemy się jakoś zagospodarzyć na tym południowym odcinku bazy. Kopiemy okopy i osłaniamy je deskami i blachą z oficerskiej latryny. Ale szturm nie następuje, w ogóle nie widać żadnych żółtków co to moglibyśmy do nich postrzelać. Myślę sobie: pewno nie są na tyle głupi, żeby szturmować sracze. Jednak przez trzy czy cztery noce lecą na nas pociski z moździerzów. Wreszcie któregoś ranka strzały cichną i major Balls, który dowodzi całym batalionem przyczołguje się do oficera, który dowodzi naszą kompanią i mówi, że musimy przedrzeć się na północ i pomóc takiej jednej brygadzie co dostaje wycisk w dżungli.

Po chwili porucznik Hooper mówi, żebyśmy się szykowali do drogi. Upychamy po kieszeniach tyle konserw i granatów ile się tylko da, choć wybór ile czego brać nie jest prosty, bo niby granata nie zeżresz, a z kolei ciskanie we wroga konserwami może nie być skuteczne. Potem ładują nas w helikoptery i odfruwamy na północ.

Zanim jeszcze helikoptery lądują widać w jakie gównu wdepla trzecia brygada. W powietrzu nad dżunglą unosi się gęsty dym, w ziemi zieją olbrzymie dziury po wybuchach. Nie zdążyliśmy nawet dolecieć na miejsce i wysiąść, kiedy żółtki zaczęły do nas kropić. Jeden z helikopterów rozleciał się w drobny mak — to był potworny widok, chłopaki się palili w ogniu i w ogóle, a myśmy nic nie mogli im pomóc.

Wyznaczyli mnie do noszenia amunicji do karabinu maszynowego, bo jestem taki duży. Zanim wyjechaliśmy z bazy kilku chłopaków spytało się czy nie wziąłbym ich granatów, a wtedy oni wzięliby więcej żarcia. Zgodziłem się. W końcu co mi szkodzi. Poza tym sierżant Kranz kazał mi tachać wielki baniak z wodą co waży pewno ze trzydzieści kilo. Oprócz baniaka i granatów dostałem jeszcze trójnog od karabinu — z początku miał go nieść Daniels, ale dostał sraczki i został na miejscu. W każdym razie byłem obładowany jak wielbłąd, mogli mi równie dobrze posadzić na grzbiecie jeszcze paru palantów z Nebraski. No ale wojna to nie mecz futbolowy.

Nadchodzi zmierzch. Mamy rozkaz wejść na wzgórze i odciążyć chłopaków z kompanii C, którzy albo są otoczeni przez żółtków albo sami ich otoczyli — zależy jak na to patrzysz, czy wierzysz własnym oczom czy oficjalnym doniesieniom.

W każdym razie jak tam docieramy w powietrzu nad naszymi głowami co rusz przelatują jakieś paskuctwa, a z dziesięciu chłopaków leży ciężko poranionych na ziemi. Jęczą i płaczą, ale dookoła jest tyle hałasu, że prawie nikt nie słyszy. Pochyliam się nisko i próbuję przedrzeć się dalej, razem z całą amunicją i baniakiem wody i trójnogiem i resztą tego szajsu. Gramolę się koło okopu kiedy nagle jakiś facet wystawia z niego łeb i mówi do drugiego: - Hej, spójrz na tego jełopa. Wygląda jak Frankenstein albo co.

Już mam zamiar coś odpalić, bo żeby w takiej sytuacji jeszcze się z człowieka nabijać to chyba przesada, ale wtem, kurde flaki, ten drugi wystawia z okopu łeb i woła:

— Forrest... Forrest Gump!

To był Bubba we własnej osobie!

Żeby was nie marudzić szczegółami powiem krótko: kontuzja Bubby była za duża żeby mógł grać w futbola, a nie dość duża żeby armia Stanów Zjednoczonych nie mogła go wysłać na drugi koniec świata. No nic, dogramalam się z całym majdanem gdzie mi kazano, po pewnym czasie przychodzi do mnie Bubba i w przerwach między obstrzałami, które cichną jak na niebie pojawiają się nasze samoloty, opowiadamy sobie o wszystkim co się działo odkąd się rozstaliśmy.

Bubba mówi, że podobno Jenny Curran rzuciła studia i wyjechała gdzieś z bandą protestantów wojennych czy kimś takim. Curtis z kolei pobił gliniarza z policji uniwersyteckiej, bo mu ten wlepił mandat za złe parkowanie. Akurat szykował się, żeby go kopnąć

w zadek jak piłkę którą chce posłać nad poprzeczką bramki, kiedy zjawilo się więcej glin; zarzucili na Curtisa sieć i go odciągu. Za karę trener Bryant kazał mu zrobić pięćdziesiąt dodatkowych okrążeń boiska.

Stary poczciwy Curtis! Nic a nic się nie zmienił.

6

Noc była długa i nieprzyjemna. Nasze samoloty nie latały po ciemku, więc prawie cały wieczór żółtki mogły kropić do nas za frajer. Byliśmy na jednym wzgórzu, oni na drugim, a między nami była niewielka dolina która stanowiła przedmiot sporu, choć za Chiny nie mogłem się skapować co tak wszystkim zależy na tym kawałku bagna. Ale sierżant Kranz ciągle nam powtarza, że nie po to nas tu ściągnięto żebyśmy cokolwiek kapowali, tylko żebyśmy słuchali rozkazów.

Wkrótce przychodzi do nas i zaczyna rozkazywać. Pokazuje nam takie duże drzewo na środku doliny i mówi, że mamy zanieść tam karabin maszynowy, ustawić go jakieś pięćdziesiąt metrów na lewo od drzewa i zająć bezpieczną pozycję, żeby z nas żółtki nie zrobiły marmelady. Z tego co widzę i słyszę żadne miejsce nie wydaje mi się bezpieczne, nawet to gdzie teraz jesteśmy, a zejście w dół do doliny to już szczyt kretynstwa. Ale dobra, skoro sierżant chce...

Wygrzebujemy się z okopów i ruszamy po zboczu, ja i Bones, który jest artle... no tym co strzela i Doyle, który też niesie amunicję i jeszcze dwóch innych chłopaków. W połowie drogi żółtki nas dostrzegają i zaczynają walić z własnego karabinu maszynowego. Ale zanim mają czas nas podziurawić jak sito zbiegamy na dół i chowamy się w dżungli. Nie wiem ile to na oko pięćdziesiąt metrów, wolę policzyć kroki, więc mówię do Doyle'a, który nagle przystanął:

- Dlaczego stajesz? Kazano nam...

A on patrzy na mnie jak na idiotę i syczy:

— Zamknij się, Forrest. Nie widzisz, że tam są żółtki?!

No i są. Siedzi ich z sześciu czy ośmiu pod drzewem i coś wszamniają. Doyle bierze granat, odciąga zatyczkę czy jak jej tam i rzuca go łukiem w stronę drzewa. Granat wybucha w powietrzu i pod drzewem rozlegają się wrzaski. Bones kieruje na żółtków ogień, a ja z chłopakami szybko ciskamy jeszcze kilka granatów. Harmider trwa z minutę. Kiedy nastaje cisza ruszamy w dalszą drogę.

Znaleźliśmy dobre miejsce na karabin maszynowy i czekaliśmy cały wieczór, a potem całą noc, ale nic się nie działo. Wszędzie dookoła wrzały odgłosy walki, ale nas nikt nie niepokoił. W końcu słońce zaczęło wschodzić. Byliśmy głodni, zmęczeni i wciąż sami. Potem przyleciał łącznik od sierżanta Kranza i mówi, że kompania C zejdzie w dół do doliny jak tylko nasze samoloty wykoszą z niej żółtków co nastąpi za kilka minut. I rzeczywiście za kilka minut przylatują samoloty, zrzucają bomby, wszystko wybucha, żółtki też.

Widzimy chłopaków z kompanii C jak powoli schodzą do doliny. Ale ledwo się pojawiają na zboczu dzieje się coś strasznego — taka strzelanina jakby otwarto do nich ogień z wszystkich karabinów i moździerzy świata. Robi się potworne zamieszanie. Dżungla jest gęsta, krzakom tu ciasniej niż sardynkom w puszcze, więc z naszej kryjówki nikogo nie widzimy, żadnych żółtków ani nic, ale przecież ktoś strzela. Może to faktycznie Holendry czy Norwegi?

Strzelec Bones ma okropnie zdenerwowaną minę, bo się skapował, że strzelanina odbywa się za nami co znaczy że jesteśmy odcięci od swoich. Innymi słowy że jesteśmy sami jak palec pośrodku dżungli. Prędzej czy później, mówi, jak żółtki nie wybiją chłopaków z kompanii C, to zawrócą i jeśli się na nas napatoczą na pewno nie ucieszą się ze spotkania. Musimy spierdalać.

Zbieramy manatki i kierujemy się z powrotem na górę, ale po drodze Doyle nagle patrzy, a tam w dolinie pojawia się nowy zastęp uzbrojonych po pachy żółtków, którzy drałują tam gdzie i my. Najlepiej by było jakbyśmy się z nimi skumplali i machnęli ręką na

karabiny, wojny i inne takie, ale to nie wchodzi w rachubę. Więc przykurczamy się nisko w krzakach i czekamy. Kiedy żółtki docierają na górę Bones otwiera ogień z karabinu i od razu powala dziesięciu czy piętnastu. Ja z resztą rzucamy granaty i wszystko idzie jak po maśle póki Bonesowi nie wyczerpnie się amunicja. Nasadam mu nową taśmę z nabojami, on już zaciska paluch na spuście, kiedy kula trafia go prosto w głowę i roztrzaskuje ją na wylot. Bones pada na ziemię. Wciąż trzyma rękę na karabinie jakby chciał się do końca bronić, walczyć na śmierć i życie, choć życia za grosz już w nim nie ma, bo jest trupem.

Rany, to było okropne i z minuty na minutę stawało się coraz straszniejsze. Diabli wiedzą co by te żółtki z nami zrobiły jak by nas dopadły. Wołam do Doyle'a żeby przyszedł, a on nic, nawet się nie odezwie, więc wrywam Bonesowi karabin z łapy i sam się do niego czołgam. Kule sięgły i Doyle'a i tamtych dwóch co z nim byli. Oni nie żyją, ale Doyle jeszcze dycha. Szybko zarzucam go na ramię jak wór mąki i pędzę za kompanią C ile siły w piętach, bo mam takiego cykora że nie wiem. Biegnę i biegnę, z tyłu świszczą kule, a ja myślę sobie: cudów nie ma, zaraz mnie jakaś huknie w tyłek. I nagle wpadam w las bambusowy, a potem wypadam na polanę i patrzę zdziwiony, bo w trawie leży pełno żółtków; są odwróceny do mnie plecami i strzelają... nie wiem, chyba do chłopaków z C.

Co tu robić? Mam żółtków za sobą, żółtków przed sobą i żółtków pod nogami. Nic innego nie przychodzi mi do głowy, więc puszczam się pędem przed siebie, a ryczę przy tym i wrzeszczę jak kto głupi. Nic więcej nie pamiętam, tylko ten swój ryk i szalony bieg. W każdym razie nagle znów jestem wśród swoich i wszyscy klepią mnie po ramieniu ucieszeni jakbym dobiegł z piłką do bramki.

Zdaje się, że tym wrzaskiem napędziłem takiego pietra biednym żółtkom, że czym prędzej pognali z powrotem do domów. Ale nic. Kładę Doyle'a na ziemi, po chwili przylatują medyki i robią mu opatrunki, a do mnie podchodzi dowódca kompanii C, ściska mi łapę i mówi jaki ze mnie dzielny żołnierz. A potem pyta się:

— Do diabła, jakżeście tego dokonali, Gump? Czeka na odpowiedź, ale ponieważ sam nie wiem jakżem tego dokonał, mówię mu tylko:

— Chce mi się siku.

Co jest zgodne z prawdą. Dowódca patrzy na mnie jak na wariata, potem patrzy na sierżanta Kranza który do nas dołączył, a sierżant Kranz wzdycha i mówi do mnie:

— Na miłość boską, Gump! Chodźcie ze mną.

I prowadzi mnie za drzewo.

Tego wieczora ładujemy się z Bubbą do jednego okopu i jemy na kolację konserwy, a potem wyciągam harmonijkę co mi ją podarował jeszcze w Małpiarni i zaczynam grać. Najpierw „Oh Suzanna”, potem „Home on the Range”. Dziwnie brzmią te melodie w samym środku dżungli. Bubba wyciąga pralinki i pudełko czekoladek co mu mama przysłała i oboje się nimi zajadamy. A mnie na sam widok czekoladek ozywają w pamięci wspomnienia.

Później podchodzi do nas sierżant Kranz i pyta się mnie gdzie podziałem baniak z wodą. Mówię mu, że zostawiłem w dolinie, bo było mi za ciężko z karabinem maszynowym i Doyle'em na plecach. Sierżant milczy, a ja sobie myślę, że ni chybił zaraz każe mi po niego wracać albo co, ale na szczęście nie każe. Kiwa makową i mówi, że skoro Doyle jest ranny, a Bones zabity, to ja mam być strzelcem. Więc pytam się go kto będzie nosił trójnog, amunicję i cały ten szajs, a on na to że też ja, bo tylko ja jeden zostałem. Wtedy Bubba się ofiaruje, że może ze mną dźwigać jeśli go przeniosą do mojej kompanii. Sierżant Kranz głowi się nad tym z minutę, potem mówi że to się da załatwić, bo kompania C jest już tak wykruszona, że nawet nie starczyłoby chłopaków do szorowania latryn. I tak Bubba i ja znów jesteśmy razem.

Tygodnie mijają tak wolno jakby czas posuwał się do tyłu. A my ciągle się wspinamy to pod jedną górę, to pod drugą. Czasem spotykamy na tych górach żółtków, a czasem nie. Sierżant Kranz mówi, żebyśmy nie narzekali, bo z każdym krokiem zbliżamy się do Stanów

— że przemaszerujemy przez Wietnam, potem przez Laos, Chiny i Rosję, dotrzemy do bieguna północnego, a stamtąd dojdziemy po lodzie na Alaskę skąd odbiorą nas nasze mamusie. Ale Bubba mówi, żebym nie słuchał sierżanta, bo to idiota.

Życie w dżungli jest strasznie prymitywne, nie ma kiblów, śpi się na ziemi jak zwierzę, je się z puszek, nie można się wykapać ani nic, ubranie gnije. Raz na tydzień dostają list od mamy. Píše, że w domu wszystko w porządku, ale że odkąd wyjechałem drużyna trenera Fellersa ani razu nie wygrała żadnego mistrzostwa. Ja też wysyłam listy do mamy, ale rzadziej. Nie wiem co jej pisać, żeby znów nie beczała, więc po prostu piszę, że miło spędzamy tu czas i że wszyscy nas dobrze traktują. Do jednego z listów dołączyłem list do Jenny Curran. Poprosiłem mamę, żeby dała go rodzicom Jenny, a ci żeby go przesłali dalej. Ale odpowiedzi nie dostałem.

A tymczasem mamy z Bubba pomysł co będziemy robić po wyjściu z wojska. Wrócimy do domu, kupimy kuter i będziemy poławiać i sprzedawać krewetki. Bubba pochodzi z Bayou La Batre i całe życie pracował przy poławianiu krewetków. Mówi, że na pewno uda nam się dostać pożyczkę, że na zmianę możemy być kapitanami kutra, że zamieszkamy na wodzie i w ogóle będzie klawo. Bubba ma wszystko dokładnie obmyślane. Tyle a tyle krewetków żeby spłacić pożyczkę na kuter, tyle a tyle żeby starczyło na benzynę, tyle a tyle na żarcie i jakieś opłaty, a za resztę możemy szaleć. Już widzę jak stoję przy sterze, a jeszcze lepiej - jak siedzę na rufie i wsuwam krewetki! Kiedy mówię o tym Bubbie on woła:

— Psiakrew, Forrest! Chcesz *zeżreć* nasz cały interes? Nie ma jedzenia krewetek, póki nie zaczną nam przynosić dochodu.

Ma rację, więc nie protestuję.

Któregoś dnia jak zaczęło lać to nie przestawało przez dwa miesiące. Mokliśmy we wszystkich możliwych odmianach deszczu z wyjątkiem deszczu ze śniegiem i gradu. Czasem padały takie małe ostre krople, czasem takie wielkie i grube. Deszcz zaczął z boku, z góry, czasem chyba nawet z dołu. Mimo to nadal musieliśmy zasuwać w tę i nazad po górach, szukać żółtków i tak dalej.

Wreszcie jednego dnia się na nich natknęliśmy. Nie wiem, pewno urządzali sobie jakiś zjazd albo co, bo to było tak jakbyśmy wdepli w mrowisko i nagle zaczęły się z niego wysypywać tabuny mrówek. Deszcz lał, nasze samoloty nie latały i szybko się okazało, że mamy kłopotów po pachy.

Złapały nas te żółtki jakby z ręką w nocniku. Idziemy sobie przez pole ryżowe, niczego się nie spodziewamy, a tu nagle ze wszystkich stron lecą na nas kule i inny szajs. Chłopaki zaczynają krzyczeć i wrzeszczeć i padać ranni. Ktoś woła: „Wycofujemy się!” Więc chwytam karabin maszynowy i pędzę z innymi w kierunku palm, które przynajmniej mogą nas zasłonić przed deszczem. Dobre i to. Rozkładamy się przy nich i szykujemy do kolejnej długiej nocy, kiedy nagle rozglądam się i nigdzie nie widzę Bubby.

Ktoś mówi, że Bubba został na polu i jest ranny.

— Kurde Balas! — krzyczę.

Sierżant Kranz słyszy jak klnę i mówi:

— Gump, nie możecie tam wrócić.

Ale mam to w dupie. Zostawiam karabin, bo to tylko niepotrzebny ciężar i zasuвам pędem tam gdzie ostatni raz widziałem Bubbę. Ale w połowie drogi prawie nadeptuję chłopaka z drugiego plutonu, który leży ranny na ziemi. Patrzy na mnie, wyciąga łapę, żeby mu pomóc, no i masz babo placek! Więc zarzucam go sobie na ramię i pędzę z powrotem ile siły w nogach. Kule i inne paskuctwa śmigają mi koło głowy. Nie mieści mi się w pale po co my to wszystko robimy. Gra w futbola to pojmuję. Ale gra w wojnę? Po jakie lichy? Psiakrew.

W każdym razie zostawiam chłopaka pod palmami, znów wybiegam i... kurde flaki, znów natykam się na jakiegoś nieboraka. Więc i jego zgarniam z ziemi i taszcę z powrotem,

ale kiedy kładę go pod palmę patrzę, a tu mu mózg wylatuje — całą czaszkę ma z tyłu odstrzeloną. Cholera.

Ale nic, zostawiam go i znów gnam na pole i tym razem wreszcie trafiam na Bubbę, który dostał dwie kule w piersi.

— Zobaczysz, Bubba, wszystko będzie dobrze — mówię. — Kupimy sobie kuter i w ogóle.

Zanoszę go pod palmy i układam na ziemi. Po chwili jak odzyskuję oddech patrzę, a całą koszulę mam z przodu zapacianą krwią i jakimś szarżółtym świństwem. Bubba gapi się na mnie i pyta:

— Kurwa, Forrest, dlaczego? Dlaczego? No i co mam mu do licha powiedzieć? Potem Bubba prosi:

— Zagraj mi, Forrest, na harmonijkę.

Więc wyciągam harmonijkę i coś gram, nawet sam nie wiem co.

— Zagraj, Forrest, „Way Down Upon the Swanee River”, dobrze? — mówi Bubba po chwili.

— Jasne, Bubba — odpowiadam.

Przecieram harmonijkę i znów przykładam do ust, dookoła żółtki wciąż strzelają i wiem że powinienem chwycić za karabin, ale myślę sobie: mam to gdzieś i gram Bubbie „Swanee River”.

Nie wiem kiedy, ale przestało padać. Niebo zrobiło się ohydnie różowe i w tym różowym świetle wszyscy wyglądali jak chodzące trupy. Z jakiegoś powodu żółtki przestały strzelać i my też. Grałem „Swanee River” w kółko na okrągło i cały czas siedziałem przy Bubbie. Medyk zrobił mu zastrzyk i zaopatrzył rany. Nagle Bubba chwycił mnie za nogę. Jego oczy stały się zamglone, a ta okropna różowość na niebie jakby wysysała mu kolor z twarzy.

Próbował mi coś powiedzieć, więc pochylałem się nisko by go słyszeć. Ale i tak nic nie rozumiem.

— Słyszałeś co mówi? — pytam medyka.

— Do domu. Powiedział: do domu — odpowiada medyk.

Bubba umarł i więcej nie mam nic do dodania.

Ta noc kiedy Bubba umarł była najgorsza w moim życiu. Nasi nie mogli nam przyjść z pomocą, bo znów lało jak z sikawki. Żółtki były tak blisko, że słyszeliśmy ich jazgot, a w którymś momencie rozgrzała się nawet walka ręczna między nimi a pierwszym plutonem. Rano wezwano samolot z napalmem, ale te bęcwały w górze rzucili to świństwo niemal prosto na nas. Chłopaki, poparzeni i osmaleni, wybiegli na otwartą przestrzeń. Wszyscy mieli oczy wielkie jak talerze, klęli w surowy kamień i robili w gacie ze strachu, a las płonął i ognia było tyle, że krople deszczu schły w powietrzu.

Jakoś w tym całym zamieszaniu zostałem postrzelony i to akurat w tyłek. Nawet nie pamiętam kiedy kula mnie trafiła. Nic nie pamiętam. Wszyscy pogłupieliśmy. I wszystko się popieprzyło. Zostawiłem gdzieś karabin. Nie zależało mi na nim, na niczym mi nie zależało. Klapłem pod drzewem, skuliłem się w kłębek i zacząłem beczeć. Nici z naszych planów, nici z kutra, Bubba nie żyje! To był jedyny przyjaciel jakiego miałem w życiu, może oprócz Jenny Curran, ale z nią też sprawę pochrzałem. Gdyby nie mama pewno umarłbym pod tym drzewem — ze smutku, ze starości, od kuli, wszystko jedno.

Po jakimś czasie lądują helikoptery co nam przyleciały na pomoc. Żółtki znikły przestraszone tą bombą napalmową. Pewno pomyślały sobie, że lepiej nie zadawać się z wariatami. No bo jak ktoś jest tak zawzięty, że rzuca bombę na swoich...

Patrzę jak zabierają rannych do helikopterów. Nagle podchodzi do mnie sierżant Kranz, włosy ma spalone do samej głowy, mundur w strzępach, wygląda jakby go ktoś wystrzelił z

armaty.

— Gump, spisałeś się wczoraj na medal — mówi do mnie.

Potem pyta się czy chcę papierosa. Ja mu na to że nie palę, więc kiwa łbem i mówi:

— Gump, może nie jesteś najbystrzejszym żołnierzem, jakiego miałem, ale na pewno jesteś jednym z najodważniejszych. Chciałbym mieć setkę takich jak ty.

Następnie pyta się czy bardzo mnie boli tyłek. Mówię że nie, ale to nieprawda.

— Gump — powiada do mnie. — Wiesz, że armia odsyła cię z powrotem do domu?

Nie odpowiadam tylko pytam się go gdzie jest Bubba. Patrzy na mnie jakoś dziwnie.

— Zaraz go przyniosą — mówi.

Pytam się czy mogę lecieć tym samym helikopterem co

Bubba. Na to sierżant Kranz że nie, że najpierw helikoptery zabierają żywych, a dopiero potem martwych którym już nic nie grozi.

Dali mi zastrzyk z jakimś świństwem, po którym poczułem się lepiej. Ale pamiętam, że chwyciłem sierżanta za rękaw i powiedziałem mu:

— Sierżancie, nigdy nie prosiłem pana o żadne przysługi ani nic, ale... czy może pan sam wsadzić Bubbę do helikoptera i przypilnować, żeby mu się nie stała większa krzywda?

— Jasne, Gump. Mogę go nawet umieścić w pierwszej klasie.

7

Prawie dwa miesiące spędziłem w szpitalu w Da Nang. Jeśli chodzi o sam szpital to nie był zbyt okazały, ale mieliśmy łóżka z firankami przeciwko komarom, a podłogi zamiatano dwa razy dziennie czego nie można powiedzieć o poprzednich miejscach gdzie mieszkałem.

Możecie mi wierzyć, w porównaniu ze mną niektórzy byli naprawdę ciężko poranieni. Leżeli tu biedaki bez rąk i ramion i stóp i nóg; diabli wiedzą czego im jeszcze brakowało. Leżeli tacy co ich postrzelono w brzuch, w pierś, w twarz. W nocy wszyscy wyli, jęczeli, wołali swoje mamy — czułem się jak w jakiej sali tortur.

Obok mnie leżał facet co się nazywał Dan. Żółtki wysadziły w powietrze jego czołg. Dan był cały poparzony, miał wszędzie powtykane jakieś rurki, ale ani razu nie słyszałem, żeby wył z bólu. Nie, mówił cicho i spokojnie i gdzieś po dwóch dniach skumplaliśmy się ze sobą. Dan pochodził z Connecticut, był nauczycielem historii i nauczał w szkole kiedy nagle capli go do woja. A że był mądry wysłali go do szkoły dla oficerów i zrobili z niego porucznika. Jeśli chodzi o rozum to większość poruczników co ich znałem niewiele się różniła ode mnie. Ale Dan jest inny. Ma swoją własną filozofię na temat tego dlaczego tu jesteśmy: bo bronimy słusznych racji, ale w niesłuszny sposób albo odwrotnie, już nie pamiętam, rzecz w tym że robimy to nie tak. Jako czołgista uważa za głupotę, że toczymy wojnę tam gdzie nie można używać czołgów, bo teren jest górzysty albo rozmokły. Opowiadam mu o Bubbie i innych zabitych, a on kiwa smutno głową i mówi, że jeszcze wielu Bubbów umrze zanim się to wszystko skończy.

Po tygodniu przenoszą mnie do innej części szpitala gdzie leżą ci co już dobrzeją, ale codziennie przychodzę na oddział intensywny i odwiedzam Dana. Czasem gram mu na harmonijce, bo to lubi. Pewnego dnia dostaję od mamy paczkę z batonami, która wędrowała za mną w różne miejsca aż mnie wreszcie odnalazła. Chciałem się podzielić nimi z Danem, ale on mógł jeść tylko przez te rurki.

Rozmowy z Danem wywarły bardzo duży wpływ na moje życie. Niby nikt nie wymaga, żeby kretyn czy idiota miał jakąś filozofię życiową, ale może dlatego nigdy żadnej nie miałem, bo nikomu nie chciało się ze mną o tym rozmawiać. Dan wierzy, że wszystko co się nam przydarza i w ogóle wszystko co się wokół dzieje jest wynikiem naturalnych praw, które rządzą wszechświatem. Cała ta jego filozofia jest bardzo skomplikowana, ale coś z niej do mnie dotarło i od tej pory zaczęłem wszystko widzieć innym okiem.

Wcześniej byłem jak pijany we mgle i nic nie kapowałem. A to to się wydarzało, a to tamto, potem jeszcze coś i zwykle ani jedno ani drugie ani trzecie nie miało sensu. Ale Dan mi wytłumaczył, że wszystko jest częścią jakby większej ogólnej całości, że taki jest porządek rzeczy i każdy musi odnaleźć swoje miejsce w świecie i żyć z nim w zgodzie. Dopiero jak to pojąłem wszystko stało się dla mnie znacznie zrozumialsze.

W każdym razie w następnych tygodniach szybko wracam do zdrowia i tyłek ładnie mi się goi. Lekarz mówi, że mam skórę jak rosonożec czy ktoś taki. Jest tu w szpitalu świetlica i któregoś dnia z nudów sobie do niej polazłem.

Patrząc, a tam dwóch chłopaków gra w ping-ponga. Po jakimś czasie pytam się czy też mógłbym zagrać, a oni na to że jasne. Z początku zdobywali punkty, ale potem pobitem ich obu.

— Szybki jesteś jak na takiego dryblasa — oznajmił jeden jak skończyliśmy grać.

Nic na to nie powiedziałem, ale od tej pory starałem się grać codziennie i możecie mi wierzyć albo nie, wkrótce byłem całkiem dobry w te klocki.

Popołudniami odwiedzałem Dana, ale przedpołudnia miałem dla siebie i mogłem robić co mi się żyźnie podoba. Takim zdrowszym jak ja pozwalali nawet wychodzić ze szpitala. Niektórzy jeździli autobusem do miasta kupować szajs sprzedawany przez żółtków. Ale mnie

tam żadne zakupy nie ciągly, więc po prostu spacerowałem ulicami i oglądałem widoki.

Któregoś dnia poszedłem na mały targ co się mieścił nad wodą gdzie miejscowi sprzedawali ryby, krewetki i inne takie. Kupiłem trochę krewetków i poprosiłem kucharza w szpitalu, żeby mi je ugotował. Kurde, ale były dobre. Szkoda, że Dan nie mógł ich spróbować. Powiedział, że gdybym zrobił z nich papkę może wtedy przeszłyby przez te rurki co był do nich podłączony. Dodał, że spyta o to pielęgniarkę, ale wiedziałem że żartuje.

Wieczorem leżałem sobie na łóżku i myślałem o Bubbie, że na pewno by mu te krewetki smakowały i myślałem o kutrze i planach jakie mieliśmy na przyszłość. Biedny Bubba. Następnego dnia spytałem się Dana jak to jest: dlaczego Bubba nie żyje i jakie zasrane prawa natury pozwoliły żółtkom go zabić. Dan chwilę pomyślał, a potem powiedział:

— Wiesz, Forrest, te prawa nigdy wszystkich naraz nie zadowolają, co nie znaczy że są złe. Kiedy na przykład tygrys zjada małpę, jest to niedobre dla małpy, ale dobre dla tygrysa. Po prostu takie jest życie.

Kilka dni później znów polazłem na targ rybny. Był tam taki mały żółtek z wielką torbą krewetków. Spytałem się go skąd je ma, a on zaczął coś jazgotać; nic a nic nie mogłem pojmać, bo jazgotał po ichniemu. No więc zacząłem mu tłumaczyć na migi; robiłem ręką znaki jak Indianiec albo kto, no i wreszcie facet skapował o co mi chodzi i pokazał, żebym za nim poszedł. Z początku to nawet miałem trochę cykora, ale on się uśmiechał i w ogóle, więc przestałem się bać.

Szliśmy pewno ze dwa kilometry obok różnych łódek wciągniętych na piach. Ale gość nie zaprowadził mnie do żadnej łódki, tylko do jakiegoś rozlewiska na bagnach i pokazał mi drucianą siatkę przeciągniętą tam gdzie dochodzi przypyływ z Morza Południowochińskiego. Kurde, ten mały skurczybyk miał własną hodowlę krewetków! Po chwili wziął sito, zanurzył je w wodzie i wyciągnął z dziesięć czy dwanaście sztuk. Dał mi kilka na drogę, a ja mu dałem czekoladowego batona. Tak się ucieszył, że z radości się prawie posikał.

Wieczorem przy kwaterze głównej wyświetlają film na świeżym powietrzu. Idę go sobie obejrzeć, ale w pierwszym rzędzie kilku chłopaków zaczyna się strasznie łomotać i nagle ktoś kogoś podnosi i rzuca i ten ktoś przebija ekran na wylot i tyle mamy z oglądania filmu. Później leżę sobie na łóżku i dumam i nagle mi świta. Wiem co będę robił jak mnie wypuszczą z woja! Wrócę do domu, znajdę jakieś bajoro nad Zatoką Meksykańską i będę hodował krewetki! Trudno, może bez Bubby nie kupię kutra, ale przecież mogę zdobyć drucianą siatkę i przeciągnąć ją przez bagno! Bubbie na pewno by się ten pomysł spodobał.

Codziennie przez kilka tygodni chodzę na bagna gdzie żółtek z targu hoduje krewetki. Żółtek nazywa się pan Chi. Na początku siadałem sobie z brzegu i go obserwowałem, ale któregoś dnia pan Chi wołał mnie do siebie i pokazuje na czym ta jego hodowla polega. Taką małą siecią wyciąga się z bagien młode krewetki i wrzuca do ogrodzonego bajora. Jak jest przypyływ do bajora wpływają jakieś drobne świństwa, z których się biorą takie śliskie paskuctwa; krewetki się nimi obżerają i robią się duże i grube. Było to tak proste, że nawet imbecyl by sobie poradził.

Kilka dni później zjawia się u mnie z samego rana paru ważniaków z dowództwa. Są strasznie podnieceni i w ogóle.

— Szeregowy Gump — mówi jeden z nich — za odwagę i bohaterstwo, jakim się wykazaliście na polu bitwy, przyznano wam Medal of Honor, najwyższe odznaczenie wojskowe naszego kraju. Jutro lećcie do Waszyngtonu, żeby odebrać je z rąk prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Obudziłem się zaledwie parę minut przed ich przyjściem i właśnie zbierałem się, żeby wstać i iść do kibla a teraz nie mogę, bo oni sterczą nade mną i czekają aż jakoś zareaguję. Boję się, że zaraz zsikam się w gacie, ale nic im o tym nie mówię. Mówię tylko: „Dziękuję” i trzymam głowę na kłódkę. Co ma być to będzie.

Kiedy wreszcie sobie poszli postanowiłem odwiedzić Dana. Wchodzę na oddział intensywny, patrzę, a łóżko Dana jest puste, materac zwinięty, a Dana ni widu ni słyhu. Wystraszyłem się jak diabli. Biegnę do sanitariusza, a sanitariusz też gdzieś wsiąkł. Na korytarzu spotykam jakąś pielęgniarkę i pytam się:

— Gdzie jest Dan?

A ona na to że go zabrali.

Na to ja:

— Gdzie zabrali? A ona:

— Nie wiem, to nie było na moim dyżurze.

Pędzę więc do głównej pielęgniarki co się zwie siostra oddziałowa i pytam się o Dana, a ona mi na to że Dana zabrano do Stanów, bo tam będzie miał lepszą opiekę medyczną niż tu. Czy dobrze się czuł, pytam.

— Tak — odpowiada. — Jeśli nie liczyć przebitych płuc, rozerwanego jelita, uszkodzonych kręgow, oderwanej prawej stopy, amputowanej lewej nogi i poparzeń trzeciego stopnia na połowie ciała, to czuł się całkiem dobrze.

Podziękowałem jej i poszedłem sobie.

Tego dnia nie grałem w ping-ponga, bo cały czas zamartwiałem się Danem. Przyszło mi do głowy, że może wziął i umarł i nikt mi o tym nie chce powiedzieć, bo mają w papierach, że najpierw muszą zawiadomić rodzinę? Kto ich tam wie? W każdym razie chodziłem jak struty, kopałem jakieś puszki, kamienie i ogólnie byłem nieszczęśliwy.

Kiedy wróciłem do siebie na oddział znalazłem na łóżku kilka listów, które tak jak wcześniej paczka wędrowały za mną to tu to tam zanim mnie wreszcie dopadły. Jeden jest od mamy. Mama pisze, że nasz dom spłonął w pożarze i nic z niego nie zostało; nie mieliśmy ubezpieczenia ani nic, więc mama będzie musiała zamieszkać w przytułku dla bezdomnych. Pisze, że pożar zaczął się od tego, że panna French wykąpała swojego kota i suszyła go suszarką i albo kot albo suszarka się zapaliła, a potem już nie było co gasić. Od tej pory, jak będę pisał do mamy, mam wysyłać listy na adres Sióstr Miłosierdzia. Myślę sobie: czeka mnie jeszcze sporo maminych łez!

Otwieram drugi list, w którym pisze coś takiego:

Drogi Panie Gump! Gratulacje! Jest pan potencjalnym właścicielem nowego samochodu marki Pontiac GTO. Musi pan jedynie odesłać nam załączony kupon; kupon zobowiązuje Pana do kupienia zestawu naszych wspaniałych encyklopedii, a także do nabywania raz na rok do końca życia starannie uzupełnianego suplementu za sumę siedemdziesięciu pięciu dolarów rocznie.

Wyrzucam list do kosza na śmieci. Na co idiocie encyklopedia? A samochodu i tak nie umiem prowadzić.

Trzeci list jest ręcznie adresowany, a z tyłu koperty pisze: „J. Curran, Poste restante, Cambridge, Massachusetts”. Ręce mi się tak trzęsą, że ledwo mogę rozerwać kopertę.

„Drogi Forrest. Mama przekazała mi list, który dostała od twojej mamy. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro, że Cię wysłano do Wietnamu. Ta wojna jest okrutna i niemoralna”. Dalej Jenny pisze, że wie jakie to musi być straszne: tyle zabijania, kalectwa i w ogóle. „Na pewno własne sumienie nie daje ci spokoju, ale wiem, że walczysz tam wbrew swojej woli”. Potem pisze, że to potworne że nie mamy czystych ubrań i musimy jeść konserwy, a dalej — że nie rozumie dlaczego „przez dwa dni musiałeś leżeć twarzą w dół w oficerskim gównie. Nie mam o wojakach dobrego zdania, ale nie mieści mi się w głowie, że mogą się ich trzymać aż tak wulgarne pomysły”.

Chyba nie za dobrze opisałem jej tamto zdarzenie.

„Organizujemy duże demonstracje przeciw tym faszystowskim świniom. Chcemy, żeby rząd zakończył tę niemoralną wojnę i zaczął słuchać głosu narodu”. Rozpisuje się w tym stylu

na całą stronę i nudne to strasznie, ale czytam uważnie każde słowo, bo na sam widok jej pisemnego charakteru odbija mi się z radości.

„Przynajmniej odnaleźliście się z Bubką” — pisze na zakończenie. — „Na pewno się cieszysz, że w swym nieszczęściu nie jesteś sam, że masz bratnią duszę”. Prosi, żeby pozdrowić Bubkę, a potem jest jakieś P.S. a pod tym P.S. że dwa razy w tygodniu gra z kapelą w kawiarni tuż przy Harvardzie i żebym ją odwiedził jeśli kiedykolwiek będę w tamtych stronach. Kapela nazywa się Zbite Jaja. Natychmiast zaczęłem główkować jak by się tu wybrać na Harvard.

Wieczorem pakuję manele, bo jutro mam lecieć do domu, żeby dostać to ważne odznaczenie i spotkać się z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Niewiele mam do pakowania tylko piżamę, szczotkę do zębów i zyletkę co mi ją dali

w szpitalu, bo wszystkie moje rzeczy zostały w bazie w Pleiku. Ale dowództwo przysłała do mnie takiego miłego pułkownika, który mówi:

— Nie przejmujcie się, Gump. Jeszcze dziś zamówimy wam nowy mundur. Posadzimy w Sajgonie ze dwudziestu żołtków i migiem wam go uszyją. Nie pozwolimy wam iść w piżamie na spotkanie z prezydentem.

Mówi mi też, że poleci ze mną do Waszyngtonu i dopilnuje, żebym miał gdzie mieszkać, co jeść, czym jeździć, no i w ogóle żebym wiedział jak się zachować.

Pułkownik ma na nazwisko Gooch.

Przed pójściem spać rozgrywam ostatni mecz pingpongowy z facetem z dowództwa, który uchodzi za najlepszego pingpongistę w wojsku. Przynajmniej wszyscy tak twierdzą. Facet jest niski, nerwowy, zjawia się z własną raketką w skórnym pokrowcu i ani razu nie patrzy mi w oczy. Ale ja mu i tak łoję dupę. Gdzieś w połowie meczu przerywa granie, mówi mi że piłki są do bani, bo zmiękły od wilgoci, potem pakuje raketkę i wychodzi, ale ja się tym zbytnio nie smucę, bo zostawia te swoje zmiękłe piłki, a w świetlicy szpitalnej piłek nigdy nie ma za dużo.

Nazajutrz rano przychodzi pielęgniarka i daje mi kopertę z moim nazwiskiem wypisanym na wierzchu. Otwieram, a w środku jest list od Dana. Dan żyje i tak oto pisze:

Drogi Forrest!

Żałuję, że nie mieliśmy czasu się zobaczyć przed moim wyjazdem. Lekarze błyskawicznie podjęli decyzję i nim się obejrzałem, już byłem w drodze. Ledwo zdołałem ich uprosić o chwilę zwłoki, żebym mógł skrobnąć tych parę słów. Nie chciałem wyjeżdżać bez pożegnania z Tobą, bo wiele Ci zawdzięczam.

Czuję, Forrest, że wkrótce coś ważnego się wydarzy w Twoim życiu, jakaś rzecz, jakaś zmiana, która może Cię pchnąć w całkiem innym kierunku. Skorzystaj z niej. Nie przegap okazji. Patrząc wstecz przypominam sobie błysk w Twoich oczach, taką małą iskierkę, która czasem się zapalała, zwykle wtedy, gdy się uśmiechałeś. I wiesz co myśłę? Że ta iskierka to zarodek, z którego bierze się zdolność myślenia i tworzenia.

Ta wojna nie jest dla Ciebie, przyjacielu, ani dla mnie. Wyjeżdżam już za chwilę i Ty też kiedyś wrócisz do domu. Ale najważniejsze pytanie to: co dalej będziesz robił? Wcale nie uważam, że jesteś idiotą. Może — jeśli się kierować wynikami testów czy opinią durni — podpasz pod taką czy inną kategorię, ale wierz mi, Forrest, widziałem, jak w głębi Twojej duszy płonie iskra ciekawości. Płyn z prądem, przyjacielu, i gdy Cię będzie unosił, leciutko mu pomagaj, omijaj rafy, walcz z mrokiem i nigdy, nigdy się nie poddawaj. Jesteś wspaniałym facetem, Forrest, i masz serce ze złota.

Twój kumpel,
Dan

Przeczytałem list Dana z dziesięć czy dwadzieścia razy i wciąż nie wszystko kapuję. To znaczy wydaje mi się, że ogólnie kapuję, ale niektóre słowa i zwroty nadal są mętne. Wkrótce przychodzi pułkownik Gooch i mówi, że czas ruszać w drogę, najpierw do Sajgonu po nowy

mundur co mi wczoraj uszyło dwadzieścia złotych, a potem w samolot i do Stanów. Pokazuję mu list od Dana, żeby mi wyjaśnił o co w nim chodzi. Pułkownik czyta, potem go zwraca i mówi:

— To jasne jak słońce, Gump. Chodzi o to, żebyście nie dali dupy, jak wam prezydent będzie przypinał order.

8

Lecimy wysoko nad Pacyfikiem. Pułkownik Gooch opowiada mi jakim to będę w Stanach wielkim bohaterem. Będę zapraszany na różne parady, ludzie będą mnie oklaskiwać, nie będę mógł kupić sobie picia ani nic, bo wszyscy będą chcieli mi stawiać. Mówi też, że armia Stanów Zjednoczonych zapewne wyśle mnie w objazd po całym kraju, żebym zachęcał młodych do wstępowania do wojska, do kupowania obligacji wojennych i innych takich, a najważniejsze — to że wszędzie będę przyjmowany „z wszystkimi szykanami”. Co do tych szykanów to się nie pomylił.

Łądujemy na lotnisku w San Francisco a tam czeka wielki tłum. Wszyscy mają jakieś tablice i transparenty. Pułkownik wygląda przez szybę w samolocie i dziwi się, że nie wita nas orkiestra wojskowa. Ale tłum dostarcza nam aż za dużo rozrywki.

Ledwo schodzimy na płytę a ludzie zaczynają coś wykrzykiwać, potem ktoś rzuca wielkiego pomidora, który trafia pułkownika Goocha prosto w głowę. I jak się nie rozpęta chryja! Niby w pobliżu są gliny, ale tłum przebija się przez ich wąski kordonek i huzia! pędzi w naszą stronę. Jest ich, tych witających, ze dwa tysiące, mają brody i długie kudły i wszyscy drą się i krzyczą i brzydko nas wyzywają.

Słowo daję, od czasu przeprawy przez pole ryżowe gdzie zginął Bubba jeszcze się tak nie bałem.

Pułkownik Gooch wyciera pomidora z twarzy i próbuje zachować się dostojnie, ale ja sobie myślę: w dupie mam dostojność, nas jest dwóch, tamtych dwa tysiące, gołymi łapami się nie obronię, więc biorę nogi za pas i daję dyla.

Tłum, psiakość, chyba tylko na to czekał, bo wszyscy rzucili się do goniaczki. Biegli, krzyczeli i wymachiwali tymi swoimi transparentami. Czuję się tak jak w dzieciństwie kiedy uciekałem przed dzieciakami w szkole. W każdym razie latałem tam i z powrotem po całej płycie i wreszcie wpadłem do budynku lotniska. Miałem większego pietra niż na Orange Bowl kiedy spieprzałem przed palantami z Nebraski. Ale nic, pogałem do kibla, zamkiem się w kabinie i wdrapałem na sedes, żeby mi nie było widać nóg. Gdzieś po godzinie czy koło tego uznałem, że pewno już im się znudziło i poszli do domu.

Wyszedłem z kibla i wróciłem do głównej hali. Patrę, a tam stoi pułkownik Gooch otoczony chyba plutonem żandarmów i glin. Minę ma nieszczęśliwą póki mnie nie dostrzeżę.

— Pospieszcie się, Gump! — woła. — Specjalnie dla nas wstrzymali samolot do Waszyngtonu.

Wchodzimy na pokład. W środku siedzi pełno cywilów. Zajmujemy z pułkownikiem miejsca z przodu. Zanim jeszcze samolot rusza wszyscy koło nas wstają i idą na tył. Pytam się pułkownika czego się od nas odsuwają, a on na to że może dziwnie pachniemy albo co. Mówi, żebym się nie przejmował i że w Waszyngtonie będzie zupełnie inaczej. No mam nadzieję, bo nawet taki idiota jak ja widzi, że obiecanki cacanki pułkownika nic a nic się nie sprawdzają.

Zbliżamy się do Waszyngtonu; ledwo mogę usiedzieć z podniecenia. Przez szybę widać obelisk Waszyngtona, Kapitol i inne takie co je widziałem na zdjęciach, a tu stoją jak żywe! Naprawdę, kurde, istnieją! Wojsko przysłało po nas samochód. Jedziemy do eleganckiego hotelu co ma windy i ludzi, którzy wszystko za człowieka tachają. Nigdy dotąd nie jechałem windą.

Kiedyśmy się rozpakowali pułkownik Gooch przychodzi do mojego pokoju i mówi, że idziemy się napić do takiego małego baru co go pamięta z zeszłego pobytu. Mówi, że będzie tam pełno ładnych dziewczyn i żebym się o nic nie martwił, bo w Waszyngtonie ludzie są bardziej cywilowani i w ogóle niż w Kalifornii. Znow się pomylił.

Siadamy przy stoliku, pułkownik Gooch zamawia dla mnie piwo i coś tam dla siebie, a

potem zaczyna mi tłumaczyć jak mam się zachowywać na jutrzejszej cyremonii, kiedy prezydent będzie mi przypinał order.

Mniej więcej w połowie jego gadki podchodzi do nas ładna dziewczyna. Pułkownik podnosi głowę i pewno myśli, że to kelnerka albo co, bo każe jej przynieść nam po jeszcze jednej szklance. A ona na to:

— Nie podałam ci nawet szklanki ciepłych glutów, ty sukinsynu! — Potem patrzy na mnie i pyta się: — A ty, gorylu jeden, ile dziś zabiłeś niewinnych dzieci, co?

W tej sytuacji wróciliśmy z powrotem do hotelu, zamówiliśmy do pokoju po piwie i dopiero wtedy pułkownik Gooch dokończył mi tłumaczyć jak mam się jutro zachować.

Nazajutrz rano wstajemy z kurami i idziemy piechotą do Białego Domu gdzie mieszka prezydent. Jest to ładna chałupa z wielkim trawnikiem, która wygląda prawie tak okazale jak ratusz w Mobile. Na tym trawniku spotykamy pełno wojaków, którzy po kolei ściskają moją grabę i mówią mi jaki to ze mnie wspaniały żołnierz. A potem nadchodzi pora na danie mi orderu.

Prezydentem jest taki starszy postawny facet co mówi jakby pochodził z Teksasu. Otacza go spora grupa ludzi wyeleganconych jak kelnery. Stoimy wszyscy razem w sympatycznym ogrodzie porośniętym różami, a na niebie świeci słońce.

Jeden z wojaków zaczyna czytać jakieś bzdety i wszyscy go uważnie słuchają oprócz mnie — ja myślę o jedzeniu, bo wyszliśmy z hotelu bez śniadania i jestem potwornie głodny. Kiedy facet kończy czytać podchodzi do mnie prezydent, wyjmuje z pudełka order i przypina mi do piersi. Potem wyciąga łapę, a ludzie dookoła pstrykają zdjęcia, klaszczą, no i w ogóle się cieszą.

Oddycham z ulgą, że już po wszystkim i mogę sobie iść do diabła, ale prezydent wciąż stoi koło mnie i przygląda mi się jakoś dziwnie. Wreszcie pyta się:

— Czy to tobie, chłopcze, tak burczy w brzuchu?

Zerkam na pułkownika Goocha, ale on wywija oczy do góry nogami tak że widać mu tylko same białka, więc kiwam makową i mówię:

— Aha. A na to prezydent:

— To chodź, chłopcze, poszukamy ci czegoś do żarcia!

Idę za nim. Wchodzimy do małego okrągłego pokoju i prezydent mówi jakiemuś gościowi co ubrany jest jak kelner, żeby przyniósł mi śniadanie. Zostajemy we dwóch i kiedy czekamy aż tamten wróci prezydent zadaje mi różne pytania. Na przykład czy wiem dlaczego walczyliśmy z żółtkami, czy dobrze nas wojsko traktuje i tak dalej. Kiwam głową raz i drugi i trzeci i wreszcie prezydent cichnie. Przez chwilę obaj milczymy, a potem prezydent się pyta:

— Może czekając na jedzenie chcesz pooglądać sobie telewizję?

Kiedy znów kiwam łbem prezydent włącza telewizor, który stoi za jego biurkiem i oglądamy serial *Rodzinka z Beverly Hills*. Prezydent co rusz się chichocze. Mówi, że ogląda *Rodzinkę* codziennie i że mu trochę przypominam Jethra. Po śniadaniu pyta się mnie czy chcę obejrzeć resztę domu. Mówię: „Aha” i ruszamy na zwiedzanie. Potem wychodzimy na zewnątrz i spacerujemy sobie, a ci faceci od zdjęć łążą za nami krok w krok. W końcu siadamy na takiej małej ławeczce i prezydent się pyta czy byłem ranny. Przytakuję, a wtedy on mówi:

— Coś ci pokażę.

Wyciąga ze spodni koszulę i pokazuje mi wielką szramę na brzuchu.

— A ty gdzie byłeś ranny? — pyta się mnie.

Więc ściągam gacie i też mu pokazuję. Natychmiast zlatują się faceci od zdjęć i zaczynają pstrykać, potem zlatują się inni i ciągną mnie na siłę do pułkownika Goocha.

Siedzę sobie po południu w hotelu kiedy nagle do pokoju wpada pułkownik z całą stertą gazet. Jest tak wściekły, że o mało nie wyskoczy ze skóry. Krzyczy, przeklina na czym świat

stoi, po czym rzuca stertę na łóżko. I kogo widzę na pierszej stronie? Siebie z prezydentem: ja mu pokazuję tyłek, on mi brzuch. W jednej z gazet mam oczy zasłonięte czarnym prostokątem, żeby mnie nikt nie rozpoznał — tak jak na rozebranych zdjęciach.

Pod zdjęciem biegnie napis: „Prezydent Johnson i bohater wojenny odpoczywają w Ogrodzie Różanym”.

— Gump, ty idioto! — woła pułkownik Gooch. — Jak mogłeś mi coś takiego zrobić? Jestem zrujnowany! Moja kariera jest skończona! Jak mogłeś?

— Chciałem dobrze — mówię. — Zresztą prezydent mi kazał!

Po tym zajściu trochę mi się oberwało, ale nie na tyle żeby mnie wyrzucono do cywila. Przeciwnie, wojsko uznało, że wyśle mnie w objazd po Stanach, żebym rekurutował chłopaków na wojnę. Ktoś napisał przemówienie, które niby miałem wygłaszać. Było długie i miało pełno takich trudnych zdań jak: „W czasach kryzysu każdy Amerykanin powinien przyjąć na siebie szlachetny patriotyczny obowiązek służenia ojczyźnie i wstąpić do Armii Stanów Zjednoczonych”. Wszystko pięknie tylko za cholere nie mogłem się tego nauczyć na pamięć. To *znaczy* miałem wszystkie słowa w głowie, ale jak otwierałem usta, nic mi nie wychodziło. Pułkownik Gooch starał się jak mógł. Codziennie trzymał mnie na nogach prawie do północy i ćwiczył ze mną, ale wreszcie się poddał.

— To się nigdy nie uda — powiedział. Wkrótce jednak wpadł na nowy pomysł.

— Gump — mówi do mnie — powiem ci co zrobimy. Powyrzucam trochę tekstu i wtedy będziesz miał mniej do zapamiętania. Spróbujmy, dobrze?

No więc wyrzucił trochę, potem jeszcze trochę i jeszcze trochę aż w końcu uznał, że resztę zapamiętam i nie wyjdę na idiotę. Do zapamiętania zostało mi jedno zdanie: „Wstępujcie do wojska i walczycie o wolność”.

Najpierw odwiedzamy jakąś uczelnię. Czeka tam na nas pełno dziennikarzy i fotografów. Wchodzimy do dużego autotorium i siadamy przy stole na scenie. Po chwili pułkownik Gooch wstaje i wygłasza przemówienie, które ja miałem wygłosić, a na koniec mówi:

— Teraz kilka słów powie szeregowy Forrest Gump, którego prezydent nagroził za odwagę najwyższym odznaczeniem wojskowym Stanów Zjednoczonych.

Macha do mnie, żebym podszedł do mikrofonu. Niektórzy na sali klaszczą. Kiedy zapada cisza pochylam się i mówię:

— Wstępujcie do wojska i walczycie o wolność.

Może spodziewali się, że powiem coś więcej, ale powiedziałem tyle co mi kazano powiedzieć. W każdym razie stoję na środku sceny, oni się na mnie gapią, ja na nich i nagle ktoś w drugim rzędzie woła:

— Co pan myśli o tej wojnie?

Mówię pierszą rzecz jaka mi przychodzi do łba:

- To jedno wielkie gówno.

Pułkownik Gooch przylatuje, wrywa mi mikrofon i ciągnie mnie z powrotem na miejsce przy stole, ale wszyscy dziennikarze już coś bazgrołą w swoich notesach, fotografy pstrykają zdjęcia, a wszyscy na widowni szaleją, skaczą w górę i w dół jak skwarki na patelni, krzyczą z radości. Więc pułkownik szybko wyprowadza mnie z sali, wpycha do samochodu i po chwili już nas nie ma. Przez całą drogę nic do mnie nie mówi, za to rozmawia sam z sobą i rechocze jak wariat.

Rano jesteśmy w hotelu i szykujemy się do następnego spotkania kiedy dzwoni telefon. Człowiek na drugim końcu telefonu gada i gada, a pułkownik Gooch słucha i słucha. Co jakiś czas wtrąca jedynie: „Tak jest!” i posyła mi wściekle spojrzenie. Wreszcie odkłada słuchawkę i spuszcza baniak jakby podziwiał swoje buty.

— No, Gump, miarka się przebrała — mówi. — Trasę odwołano, mnie wysyłają do stacji meteorologicznej w Islandii, a co będzie z tobą, nie wiem i prawdę mówiąc, gówno

mnie to obchodzi.

Pytam się pułkownika czy możemy teraz wyjść i się napić coca-coli, a on patrzy na mnie z dobrą miną, potem znów zaczyna gadać sam do siebie i rechotać jak wariat.

Wysłali mnie do Fort Dix i przydzielili do brygady ogrzewniczej. Codziennie przez cały dzień i pół nocy macham łopata i wrzucam węgiel do pieców co ogrzewają baraki. Dowódcą kompanii jest taki starszy gość, który zachowuje się jakby wszystko miał w nosie. Jak przyjechałem na miejsce powiedział mi, że do końca służby zostały mi już tylko dwa lata, więc żebym trzymał się w ryzach, a wszystko będzie dobrze. I właśnie to robię: trzymam się w ryzach. Często myślę o mamie, o Bubbie, o hodowli krewetek, o Jenny Curran, a w przerwach gram sobie trochę w ping-ponga.

Potem nadchodzi wiosna. Któregoś dnia czytam na tablicy ogłoszeń kartkę, że wojsko organizuje zawody pingpongowe i zwycięzca pojedzie do Waszyngtonu na mistrzostwa. No więc zgłaszam się i wygrywam jak po maśle, głównie dlatego że jedyny facet w bazie co się jako tako zna na ping-pongu ma trzy palce, bo dwa stracił na wojnie i ciągle upuszcza raketkę.

Tydzień później jadę do Waszyngtonu. Zawody odbywają się w szpitalu dla kombatantów; ranni żołnierze gromadzą się w sali i nam kibicują. Pierszą rundę wygrywam bez trudu, drugą też, ale w trzeciej trafiam na takiego małego knypka co to podkręca piłkę na różne sposoby i porządnie ło mi skórę. Wygrał już dwa sety, prowadzi w trzecim i wygląda na to, że mnie zaraz wykosi, ale nagle spoglądam na tłum gapiów i zgadnijcie kogo widzę na wózku? Porucznika Dana ze szpitala w Da Nang!

W trakcie krótkiej przerwy podchodzę do Dana i patrzę, a on nie ma ani jednej nogi.

— Musieli je amputować, Forrest — mówi mi — ale poza tym czuję się dobrze.

Zdjęli mu z twarzy bandaż, ale po tym wypadku ze spalonym czołgiem skórę ma całą poparzoną i pokrytą bliznami. I wciąż ma wetkniętą w siebie rurkę tyle że już tylko jedną. Rurka idzie od butelki, która wisi z dołu wózka.

— Lekarze twierdzą, że nie będą jej wyjmować — mówi. — Podobno jest mi z nią do twarzy. — Potem pochyla się i patrzy mi prosto w oczy. — Słuchaj, Forrest. Musisz w siebie uwierzyć, wtedy nic nie stanie ci na przeszkodzie. Obserwuję twoją grę i wiem, że możesz pobić tego kurdupła. Jesteś najlepszy, zwycięstwo jest ci pisane.

Kiwam łepetyną że kapuję i wracam do stołu i od tej pory nie tracę ani jednego punktu. Dochodzę do finału i wygrywam mistrzostwa.

Byłem w Waszyngtonie ze trzy dni. Sporo czasu spędzałem z Danem. W dzień spacerowaliśmy, to znaczy on siedział a ja pchałem wózek, czasem szliśmy do ogrodu, żeby Dan pobyl trochę na słońcu, a wieczorem grałem mu na harmonijce tak jak kiedyś Bubbie. Najbardziej ze wszystkiego Dan lubił rozmawiać — na różne tematy, ale głównie na temat historii i filozofii. Któregoś dnia opowiadał mi o teorii względności Einsteina i o jej zastosowaniu, więc wyciągłem z kieszeni świstek papieru i wyprowadziłem mu po kolei całe równanie, bo to była jedna z rzeczy, które przerabialiśmy na zajęciach z optyki kwantowej. Dan popatrzył na kartkę.

— Forrest, ty mnie nigdy nie przestaniesz zadziwiać! — zawołał.

Któregoś dnia zgarniam łopata węgiel w Fort Dix kiedy pojawia się jakiś gość z Pentagonu. Na mundurze ma pełno baretków, na pysku wielki uśmiech i mówi do mnie:

— Szeregowy Gump, mam przyjemność powiadomić was, że zostaliście wybrani do kadry narodowej, która pojedzie do komunistycznych Chin na międzypaństwowy turniej ping-ponga. Jest to szczególnie zaszczyt, gdyż od niemal dwudziestu pięciu lat nasz kraj nie utrzymuje żadnych stosunków z Chinami. Proszę zatem mieć na uwadze, że chodzi tu o coś więcej niż zwykłe spotkanie sportowe. Chodzi o ważne posunięcie polityczne, od którego

może zależeć przyszłość ludzkości. Czy rozumiecie, co mówię?

Wzruszam ramionami, po czym kiwam głową, ale czuję jak kolana mi galarecieją. Kurde Balas, myślę sobie, jestem tylko biedny idiota, dlaczego chcę, żebym to ja odpowiadał za przyszłość ludzkości?

9

No i znów jestem na drugim końcu świata, tym razem w Chinach a dokładniej w Pekinie.

Mamy w drużynie różnych chłopaków, ale wszyscy są fajni i odnoszą się do mnie przyjaźnie. Chińczyki też są fajni i chociaż z wyglądu przypominają żółtków z Wietnamu to jednak się od nich różnią. Po pierwsze są czysti, uczesani i bardzo grzeczni. Po drugie nie próbują mnie zabić.

Departament Stanu wysłał z nami faceta, żeby nam tłumaczył jak się mamy zachować przy Chińczykach i ze wszystkich ludzi tu spotkanych on jeden nie jest fajny. Jest jak przycz na tyłku. Nazywa się pan Wilkins, ma cienkie wąsy, chodzi z teczką i jedyne o co się troszczy to czy ma buty ładnie wypastowane, dobrze uprasowane spodnie i czystą koszulę. Założę się, że jak rano wstaje to ślini chusteczkę i pucuje sobie dziurkę w dupie na wysoki połysk.

Pan Wilkins ciągle się mnie o coś czepia.

— Gump — mówi — jak ci się Chińczyk kłania, musisz mu się odklonić. Albo:

— Gump, nie drap się przy ludziach po jajach. Albo:

— Gump, dlaczego masz zaplamione spodnie? Albo:

— Gump, zachowujesz się przy stole jak prosię.

Z tym ostatnim to może nawet ma rację. Chińczyki jadają takimi małymi patykami, więc ja też próbuję tyle że nie sposób donieść nic na tych patykach do ust i żarcie co rusz ląduje mi na kolanach. Nic dziwnego, że tak mało się widzi grubych Chińczyków. Kurde, mogliby się wreszcie nauczyć jeść widelcem.

W dzień gramy z Chińczykami pełno meczów i muszę *przyznać* że mają całkiem niezłych zawodników, ale my wcale nie jesteśmy gorsi. Wieczorami też się nami zajmują, a to zapraszają gdzieś na kolację, a to na koncert albo co. Któregoś wieczora mamy iść do restauracji co się nazywa „Pekińska kaczka”. Schodzę na dół do holu a pan Wilkins mówi:

— Gump, masz natychmiast wrócić do pokoju i zmienić koszulę. W tej wyglądasz jakbyś się kąpał w zupie.

Prowadzi mnie do recepcji hotelowej, prosi Chińczyka co mówi po angielsku, żeby napisał po chińsku na kartce, że chcę jechać do „Pekińskiej kaczki”, potem wciska mi tę kartkę i mówi, bym ją pokazał taksówkarzowi.

— My już ruszamy. Spotkamy się na miejscu.

Wracam do pokoju i zmieniam koszulę. Potem łapię przed hotelem taksówkę, wsiadam, kierowca odjeżdża. Szukam tej kartki co mam mu dać, szukam i szukam i kiedy wreszcie mi świta że zostawiłem ją w brudnej koszuli, jesteśmy daleko od centrum. Kierowca coś jazgocze, pewno się mnie pyta gdzie chcę jechać, ja mu w kółko powtarzam: „Pekińska kaczka, Pekińska kaczka”, ale on nic nie kapuje, ciągle wzrusza ramionami i dalej obwozi mnie po mieście.

Jeździmy tak z godzinę i mówię wam, czego to ja nie widziałem. Ale w końcu myślę sobie: starczy zwiedzania. Stukam kierowcę lekko w ramię i kiedy się odwraca mówię mu: „Pekińska kaczka”, po czym wymachuję łapami jak kaczka kiedy frunie. Nagle facet uśmiecha się od ucha do ucha, kiwa łbem i daje na gaz. Co jakiś czas odwraca się, a wtedy ja znów macham łapami. Po godzinie stajemy. Wyglądam przez okno i cholera co widzę? Lotnisko!

Robi się coraz później, a ja nie jadłem obiadu ani nic, więc czuję straszne ssanie w brzuchu. Kiedy mijamy jakąś restaurację mówię na migi kierowcy, żeby mnie tu wysadził. Daję mu plik chińskich pieniędzy, on mi daje trochę z powrotem i fru, już go nie ma.

Wchodzę do restauracji, siadam i kurde flaki, czuję się prawie jak na księżycu. Po chwili podchodzi do mnie kobieta, przygląda mi się jakoś dziwnie i wręcza jadłopis, ale

wszystko jest w nim po chińsku. Oglądam te ich zygzaki, oglądam, po czym wskazuję palcem na pięć Dan i myślę sobie: któreś na pewno będzie zjadliwe. Właściwie wszystkie są smaczne. Po kolacji płacę i próbuję znaleźć drogę do hotelu. Płatałem się po mieście wiele ładnych godzin kiedy mnie wreszcie capli.

Zanim się skapowałem co się dzieje, wpakowali mnie do paki. Był tam taki duży stary Chińczyk co mówił po angielsku; zadawał mi pytania i częstował fajkami zupełnie jak na starych filmach. Następnego dnia po południu zjawił się pan Wilkins, gadał z Chińczykiem chyba przez godzinę i dopiero wtedy mnie puścili.

Pan Wilkins był tak wścikły, że mu chodziły obie szczęki.

— Zdajesz sobie sprawę, Gump, że wzięli cię za szpiega? — krzyczy. — Wiesz, jak to może zaszkodzić całemu przedsięwzięciu? Oszalałeś czy co?

Chciałem mu powiedzieć, że wcale nie oszalałem, że po prostu jestem idiota, ale pomyślałem sobie: a co tam. W każdym razie po tym incedencie pan Wilkins codziennie kupował od sprzedawcy na ulicy wielkiego balona i przywiązywał mi do guzika, żeby nie stracić mnie z oczu. Poza tym codziennie przypinał mi do klapy kartkę, na której pisało jak się nazywam i gdzie mieszkam. Czułem się jak niedorozwój.

Któregoś dnia nasi gospodarze ładują nas do autobusu i wiozą za miasto nad dużą rzekę. Nad rzeką stoi pełno Chińczyków i wszyscy zachowują się strasznie urzędowo, bo — jak się wkrótce dowiadujemy — jest tu również najważniejszy Chińczyk w państwie, przewodniczący Mao.

Przewodniczący Mao, gruby starszy gość podobny do Buddy, ściąga tę swoją ciemną piżamę i staje nad rzeką w samych kąpielówkach. Nasi gospodarze mówią nam, że przewodniczący Mao skończył już osiemdziesiąt lat i ma zamiar przepłynąć rzekę. Dlatego nas tu przywieźli. Żebyśmy to zobaczyli.

No dobra. Przewodniczący Mao wchodzi do wody i zaczyna płynąć. My pstrykamy zdjęcia, Chińczyki gadają ze sobą i mają zadowolone miny. Gdzieś tak w połowie rzeki przewodniczący Mao podnosi do góry rękę i macha. Wszyscy mu odmachują.

Potem przewodniczący Mao znów macha i wszyscy znów mu odmachują.

Po chwili przewodniczący Mao macha po raz trzeci i nagle wszystkim otwierają się klapki, że najważniejszy Chińczyk w państwie wcale nie pozdrawia narodu tylko się topi!

Kurde Balas, ale się zrobił rwetes. Zupełnie jakby się walił ten ich chiński mur. Ludzie rzucają się do wody, z drugiego brzegu ruszają łodzie, reszta gapiów beczy, podskakuje w nerwach i z rozpazy wali się piachami po łepetynach. Myślę sobie: trzeba biedaka ratować, tym bardziej że widziałem gdzie poszedł pod wodę, więc ściągam buty i hops do rzeki. Mijam w wodzie różnych Chińczyków i dopływam do miejsca gdzie znikł przewodniczący Mao. W pobliżu kręci się łódka, ludzie wychylają się przez burtę jakby chcieli coś dojrzeć — optymiści, myślę sobie, bo woda ma mniej więcej taki kolor jak u nas w ryksztokach.

Zanurkowałem ze trzy albo cztery razy, no i oczywiście nadziałem się na starego grubasa. Wyciągiem go na powierzchnię, Chińczyki w łodzi wciągnęły go przez burtę i szybko popłynęły do brzegu. Mnie nawet się nie spytały czy chcę się z nimi zabrać, więc musiałem wracać o własnej sile.

Kiedy wyłażę z wody wszyscy na brzegu krzyczą, skaczą z radości i poklepują mnie po plecach, potem biorą mnie sobie na ramiona i zanoszą do autobusu. Ale w drodze z powrotem do miasta podchodzi do mnie pan Wilkins i jakoś tak dziwnie potrząsa głową.

— Ty dumny osle! — syczy. — Gdyby się skurwysyn utopił, byłaby to najlepsza rzecz, jaka mogłaby spotkać Stany Zjednoczone! Przez ciebie, Gump, dalej mamy go na karku!

Kurde Balas, zdaje się, że znów coś schrzaniłem. A przecież chciałem dobrze.

Zawody pingpongowe powoli się kończą i już straciłem rachubę kto wygrywa a kto przegrywa. Ale w międzyczasie z powodu tego, że wyciągiem starego Mao z wody stałem się

w Chinach bohaterem narodowym czy kimś takim.

— Gump — mówi do mnie któregoś dnia pan Wilkins — twoja głupota wyszła nam na korzyść. Otrzymałem wiadomość, że Chińczycy pragną rozpocząć rozmowy na temat wznowienia stosunków dyplomatycznych. Poza tym chcą zorganizować na twoją cześć wielką defiladę w centrum Pekinu, więc pilnuj się, byś nie popełnił żadnej gafy.

Defilada odbyła się dwa dni później i mówię wam, to dopiero było coś. Wieźli mnie przez miasto, na ulicach stało chyba z miliard Chińczyków, wszyscy mi się kłaniali, machali i w ogóle. Pojechaliśmy na ich kapitol co to zwie się Kuomintang czy jakoś podobnie, gdzie przewodniczący Mao osobiście miał mi podziękować za ratunek.

Kiedy wchodzimy do środka przewodniczący Mao już jest suchy i wita mnie z uśmiechem. Chińczyki przygotowały wielki stół z żarciem. Siadam koło przewodniczącego Mao. Gdzieś tak w połowie posiłku przysuwa się do mnie i mówi:

— Słyszałem, że walczył pan w Wietnamie. Czy wolno mi spytać, co pan myśli o tej wojnie?

Tłumacz tłumaczy pytanie. Dumam chwilę co by tu powiedzieć, potem myślę sobie: a co tam, skoro się mnie pyta to znaczy że chce wiedzieć, więc mówię:

- To jedno wielkie gówno.

Tłumacz tłumaczy. Przewodniczący Mao ma coraz bardziej zdziwiony wyraz twarzy, patrzy na mnie, patrzy, potem oczy mu się zapalają, otwiera usta w szerokim uśmiechu, chwyta mnie za łapę i potrząsa ją, a przy tym kiwa głową w przód i tył jak taka lalka co ma łeb na drucie. Fotografy natychmiast zaczęły pstrykać zdjęcia, które później widziałem w amerykańskich gazetach. Ale nikomu dotąd nie zdradziłem co powiedziałem przewodniczącemu Mao, że się tak wyszczerzył od ucha do ucha.

W dniu wyjazdu wychodzimy z hotelu a na ulicy czeka wielki tłum. Ludzie wiwatują, klaszczą. Nagle widzę w tym tłumie chińską mamę z małym chińskim chłopcem na ramionach i od razu poznaję, że chłopiec jest mongołem: ma oczy z zezem, język wywieszony, ślini się i bełkocze jak to one. Nie mogę się powstrzymać. Niby pan Wilkins nam mówił, że mamy nie podchodzić do żadnego Chińczyka bez pozwolenia, ale nie słucham się. W kieszeni mam dwie piłeczki pingpongowe, wyjmuję jedną, wyjmuję długopis, stawiam na niej krzyżyk i daję piłkę chłopczykowi. Piersza rzecz co z nią robi to wsadza do ust. Kiedy mama mu ją wyciąga, malec wysuwa rączkę, łapie mnie za palce i nagle zaczyna się uśmiechać. Coraz szerzej! Widzę łzy w oczach jego mamy. Zaczyna coś szwargotać po swojemu i tłumacz tłumaczy mi, że to pierwszy uśmiech w życiu jej synka. Mógłbym jej wiele opowiedzieć o byciu idiotą, ale nie mamy czasu.

W każdym razie odwracam się i odchodzę, kiedy chłopiec rzuca za mną piłkę, a ta odbija się o tył mojej makowy. Akurat w tym momencie ktoś pstryka zdjęcie co się nazajutrz ukazuje w prasie. Pod zdjęciem pisze: „Młody Chińczyk demonstruje swoją nienawiść do amerykańskiego kapitalisty”.

Pan Wilkins szybko odciągnął mnie na bok i nim się pokapowałem siedzieliśmy w samolocie wysoko nad ziemią. Przed samym lądowaniem w Waszyngtonie, kiedy już się pali napis że nie wolno wstawać z miejsca i trzeba zapiąć pasy, pan Wilkins pochyła się do mnie i mówi:

— Wiesz, Gump, zgodnie z chińską tradycją, jak ktoś ratuje Chińczyka, to do końca życia jest za niego odpowiedzialny.

A jak wrednie się przy tym uśmiecha! Więc patrzę na niego bez słowa i puszczam największego bąka w życiu. Jest długi i głośny i brzmi jak odgłos elektrycznej piły. Pan Wilkins wybałusza gały.

— Ech! Fuj! — wrzeszczy.

Macha łapami w powietrzu, a potem usiłuje rozpiąć pas. Robi się zamieszanie.

Podbiega taka ładna stewardesa, żeby sprawdzić co się dzieje, pan Wilkins krztusi się i kaszle, a mnie nagle przychodzi do głowy pomysł: jedną ręką chwytam się za nos, drugą wachluję powietrze, wskazuję paluchem na pana Wilkinsa i krzyczę: „Niech ktoś otworzy okno!” i inne takie bzdury. Pan Wilkins czerwienieje na pysku i zaczyna protestować, że to nie on, że to ja, ale stewardesa tylko się uśmiecha i wraca z powrotem na swoje miejsce.

Kiedy wreszcie pan Wilkins przestaje się zaplawać, poprawia sobie kołnierzyk przy koszuli i burczy pod nosem:

— Gump, to było obrzydliwe.

A ja patrzę przed siebie i uśmiecham się wesoło.

Zostałem odesłany do Fort Dix, ale już nie wróciłem do brygady ogrzewniczej. Powiedziano mi, że zwalniają mnie przedterminie z woja. I rzeczywiście dzień czy dwa później jestem wolny ptak. Dają mi trochę forsy na bilet do domu, mam też trochę swoich pieniędzy. Muszę jedynie zdecydować co chcę dalej robić.

Niby wiem, że powinienem pojechać do Mobile i odwiedzić mamę, bo mieszka biedaczka w tym przytułku dla bezdomnych. Niby wiem, że powinienem zacząć hodować krewetki i jakoś zarabiać na życie, ale przez cały czas jak byłem w wojsku bez przerwy myślałem o Jenny Curran. W każdym razie wsiadłem w autobus i w drodze na dworzec potwornie się biedziłem co robić. Ale jak doszłem do kasy od razu poprosiłem o bilet do Bostonu. Trudno, nie mogę się ciągle kierować rozumem!

10

Nie znalazłem adresu Jenny, bo na kopercie było tylko napisane „Poste restante”, ale miałem z sobą jej list a w liście była nazwa lokalu, w którym grała ze Zbitymi Jajami. Klub Hodaddy. Chciałem tam dojść piechotą, ale ciągle się gubiłem, więc w końcu pojechałem taksówką.

Jest wczesne popołudnie, w klubie pusto, gdzieś w kącie siedzi dwóch pijanych facetów, a cała podłoga jest od wczoraj zalana na dwa centymetry piwem. Ale gość za barem mi mówi, że Jenny z zespołem wpadnie koło dziewiątej. Pytam się czy mogę tu na nią poczekać.

— Jasne — mówi.

Więc przysiadłem sobie na pięć czy sześć godzin; przynajmniej nogi mi odpoczęły.

Wieczorem lokal zaczął się zapełniać. Większość ludzi to chyba byli studenci, ale wyglądali jak banda obdartusów. Ubrani byli w brudne dzinsy i bawełniane koszulki. Chłopaki mieli w dodatku brody i okulary, a dziewczyny takie strzechy na głowach jakby hodowały w nich wróble. Wreszcie zespół wychodzi na scenę, trzech czy czterech facetów wnosi wielkie eklektryczne sprzęty. Ustawiają wszystko i podłączają do prądu. Kurde, nie ma porównania z tym na czym brzdąkaliśmy w klubie studenckim tam na moim uniwersytecie. Ale na razie nigdzie nie widzę Jenny.

Kiedy wszystko jest podłączone faceci zaczynają zaiwaniać i mówię wam, od hałasu uszy mi prawie odpadają! W górze migoczą kolorowe światła i inne takie. A sama muzyka przypomina mi start odrzutowca! Ale wszyscy są zachwyceni. Kiedy zespół kończy rozlegają się krzyki i oklaski. Nagle światło pada z boku sceny i pojawia się ona — Jenny!

Zmieniła się odkąd ją widziałem. Po pierwsze włosy sięgają jej do pupy, po drugie nosi ciemne okulary mimo że nie świeci żadne słońce, bo jesteśmy w budynku, a na zewnątrz jest noc. Ma na sobie dzinsy i koszulę z tyloma błyskotkami, że wygląda jak choinka w Boże Narodzenie. Zespół znów *zaczyna* grać. Jenny trzyma mikrofon, tańczy po całej scenie, skacze, wymachuje rękami, potrząsa głową. Próbuję zrozumieć słowa piosenki którą śpiewa, ale chłopaki grają za głośno. Aż się boję czy sufit się nie zawali, bo tak mocno grzmocą w bębny, tłuką w klawisze i szarpia druty gitar. Kurde Balas, myślę sobie, co to niby ma być?

Po jakimś czasie robią przerwę, więc wstaję i idę do drzwi co prowadzą na zaplecze. Ale drzwi pilnuje jakiś facet który mówi, że nie mogę tam wejść. Jak nie, to nie. Wracam z powrotem na miejsce i nagle widzę, że wszyscy się gapią na mój mundur.

— A toś się, bratku, wystroił! — ktoś woła.

— Super! — woła ktoś inny.

— Ale jajcarz! — woła jeszcze ktoś. Znów zaczynam się czuć jak idiota. Wychodzę więc na zewnątrz, bo myślę sobie, że może spacer dobrze mi zrobi: spokojnie się nad wszystkim pozastanawiam. Łażę i łażę, mija z pół godziny, a kiedy wracam do klubu przed drzwiami czeka długa kolejka. Idę na przód tej kolejki i tłumaczę facetowi przy drzwiach, że zostawiłem w środku swoje rzeczy. Ale on mi każe iść na koniec i czekać. Stałem tam chyba z godzinę i słuchałem muzyki ze środka i muszę przyznać, że brzmiała trochę lepiej z takiej odległości.

Po godzinie znudziło mi się stanie, więc poszłem na róg, skręciłem w boczną uliczkę i znalazłem tylne wyjście z klubu. Przed drzwiami było kilka schodków. Siadłem sobie i przez chwilę patrzyłem jak szczury ganiają się po śmietniku. Potem wyciągiem z kieszeni harmonijkę, bo nigdzie się bez niej nie ruszałem i z nudów zaczęłem grać. Z wewnątrz wciąż dolatywała muzyka Zbitych Jaj, więc wcisłem wajchę, żeby o pół tonu wyjść z tonacji i zaczęłem przygrywać razem z zespołem; wkrótce tak się rozgrzałem, że zasuwalem własne solówki w cis. Jak się grało a nie słuchało to ta ich muzyka była całkiem niezła.

Nagle drzwi się otwierają, patrzę, a na progu stoi Jenny. Pewno znów zrobili sobie przerwę, a ja byłem tak zajęty grą, że nawet tego nie zauważyłem.

— Kto tam jest?

— Ja — odpowiadam. Ale jest ciemno i Jenny nie widzi że ja to ja, więc wystawia głowę przez drzwi i znów się pyta:

— Kto tam gra na harmonijce?

Wstaję. Czuję się trochę zawstydzony z powodu munduru, ale nic, mówię:

— Ja. Forrest.

— Kto?

— Forrest.

— Forrest? Forrest Gump! — woła Jenny, po czym wybiega na zewnątrz i rzuca mi się na szyję.

Usiedliśmy za kulisami, ja i Jenny, i gadaliśmy jak najęci póki znów nie musiała wyjść na scenę. To nie było całkiem tak jak mi Bubba mówił, że Jenny rzuciła studia — to ją wyrzucili po tym jak którejś nocy przyłapano ją u chłopaka w pokoju. W tamtych czasach za takie coś wywalano z uczelni. W każdym razie facet od banjo uciekł przed wojskiem do Kanady i zespół się rozpadł. Jenny wyjechała do Kalifornii, wpięła kwiaty we włosy, ale nie była za szczęśliwa, bo — iak mówi — ludzie w tej Kalifornii nic tylko ćpali i ćpali. Potem poznała jakiegoś faceta i przyjechała z nim do Bostonu chodzili razem na różne marsze i demonstracje, ale facet okazał się pedziem, więc Jenny odeszła od niego i zadała się z takim jednym protestantem wojennym co to protestował bardzo energicznie: robił bomby i wysadzał w powietrze budynki. Ale z nim też nie była szczęśliwa. Następnie spodobał się jej gość co uczył na Harvardzie, ale okazało się że ma żonę. Po nim zaczęła się spotykać z pewnym sympatycznym chłopakiem. Któregoś dnia ten sympatyczny chłopak buchnął coś w sklepie i oboje wylądowali w pace. W końcu Jenny uznała, że czas najwyższy wziąć się w garść.

Przystała do zespołu Zbitych Jaj. Zaczęli grać nowy rodzaj muzyki i wkrótce stali się popularni w Bostonie i może niedługo pojedą do Nowego Jorku na próbne nagranie. Mieszka teraz z chłopakiem, który uczy się filozofii na Harvardzie, ale jak chcę to mogę iść do nich, bo znajdzie się dla mnie kątek. Wcale nie pękam z radości, że Jenny ma chłopaka, ale nie mam się gdzie podziać, więc korzystam z jej zaproszenia.

Chłopak Jenny nazywa się Rudolph. Jest mały, chudy, waży pewno z czterdzieści pięć kilo, ma długie poczochrane włosy i pełno koralików na szyi. Kiedy wchodzimy do mieszkania siedzi na podłodze i medytuje jak jaki fakir albo co.

— Rudolph — mówi Jenny — to jest Forrest, mój znajomy z Mobile. Zatrzyma się u nas jakiś czas.

Rudolph nie odpowiada, za to podnosi rękę i macha nią jak papież kiedy bogosławi wiernych.

W mieszkaniu jest tylko jedno łóżko, ale Jenny robi mi posłanie na podłodze, żebym miał gdzie spać. W wojsku kimałem na różnych barłogach; w porównaniu z nimi ten obecny wcale nie jest gorszy, a od wielu znacznie bardziej wygodny.

Kiedy się rano budzę Rudolph wciąż siedzi na środku pokoju i medytuje. Jenny daje mi śniadanie, potem zostawiamy Rudolpha na podłodze i wychodzimy z domu. Jenny chce mi pokazać Cambridge. Ale najpierw, mówi, trzeba mi kupić nowe ubranie, żeby miejscowi nie myśleli, że się tak ubrałem dla jaj. Idziemy więc do sklepu z tanią odzieżą, kupuję koszulę, dzinsy i ciepłą kurtkę, przebieram się, a mundur wsadzam do torby i biorę pod pachę.

Chodzimy sobie po terenie uniwersytetu i na kogo się natykamy? Na tego żonatego profesora, z którym Jenny się kiedyś zadawała. Nadal się przyjaźnią, chociaż za jego plecami Jenny mówi o nim „zafajdany bubek”. Profesor ma na nazwisko Quackenbush.

W każdym razie profesor jest strasznie podniecony, bo w przyszłym tygodniu zaczyna

ze studentami nowe seminerium czy coś takiego. Sam je wymyślił i dał mu tytuł „Rola idioty w literaturze światowej”.

Strzygę uszami i mówię, że to ciekawe, a profesor na to:

— Wpadnij na zajęcia, Forrest. Może ci się spodobają.

Jenny patrzy na nas jakoś tak dziwnie, ale się nie odzywa. Kiedy wracamy do domu Rudolph wciąż siedzi na podłodze. W kuchni pytam się Jenny szeptem czy Rudolph potrafi mówić, a ona na to że tak, tak, kiedyś na pewno coś powie.

Po południu Jenny zabiera mnie do chłopaków ze swojego zespołu, mówi im że fajowo gram na harmonijce i co oni na to, żebym wieczorem pograł z nimi w klubie. Jeden z muzyków pyta się mnie co najbardziej lubię grać i kiedy mówię, że hymn narodowy jemu aż opada szczeka.

— Nieważne — wtrąca się szybko Jenny. — Zobaczycie, będzie świetny, jak tylko się z nami osłucha.

No więc wieczorem zagrałem z nimi w klubie. Chłopakom spodobało się to moje granie, a mnie spodobało się, że jestem z Jenny i mogę z bliska patrzeć jak skacze po scenie i śpiewa.

W poniedziałek postanowiłem iść na zajęcia profesora Ouackenbusha. Sam temat — „Rola idioty w literaturze światowej” — sprawia, że czuję się ważny.

— Mamy dziś gościa — mówi profesor do studentów — który od czasu do czasu będzie tu wpadał na zasadzie wolnego słuchacza. Przedstawiam wam Forresta Gumpa.

Wszyscy odwracają się i wlepiają we mnie gały. Macham nieśmiało na powitanie i po chwili zaczyna się lekcja.

— Idiota od dawna odgrywa ważną rolę zarówno w historii, jak i w literaturze — mówi profesor Quackenbush. — Spotykamy w książkach wiejskiego przygłupa, człowieka umysłowo upośledzonego, żyjącego w małej wiosce, który jest obiektem drwin i do którego inni odnoszą się z pogardą. Spotykamy błazna, którego zgodnie z ówczesnym zwyczajem zatrudniano na dworach, by bawił i rozweselał panujących. Czasem błaznem był autentyczny kretyń czy idiota, czasem zawodowy trefniś lub komediant...

Przez jakiś czas profesor gada w tym stylu i powoli zaczynam kapować, że idioci wcale nie są tacy beużyteczni jak by się zdawało. Przypominam sobie co mi kiedyś mówił Dan, że wszystko w życiu ma jakiś cel, no i okazuje się, że celem idioty jest rozśmieszanie innych. To już coś.

— Większość pisarzy — ciągnie dalej profesor Quackenbush — wprowadza postać błazna nie tylko dla wywołania śmiechu. Bo zadaniem błazna jest się zbłaźnić, a jednocześnie uświadomić czytelnikom absurd i bezsens danej sytuacji. Niekiedy wielcy dramaturdzy, tacy jak Szekspir, pozwalają, żeby błazen ośmieszył jedną z głównych postaci, a tym samym dokonał komicznej degradacji tego, co sobą reprezentuje.

W tym miejscu zaczyna mi się wszystko mieszać we łbie, ale to normalka. Profesor Quackenbush mówi, że lepiej zrozumiemy o co chodzi jak zagramy scenę ze sztuki pod tytułem *Król Lir* w scenie tej — mówi nam — występuje i błazen i facet przebrany za wariata i król, który jest szaleńcem. Następnie wskazuje na chłopaka, który się nazywa Elmer Harrington III i mówi, żeby zagrał rolę wariata Tomka, potem na dziewczynę, która się nazywa Lucille, żeby zagrała rolę Błazna i na chłopaka, który się nazywa Horace coś tam, żeby zagrał szalonego króla Lira. Potem patrzy na mnie.

— A ty, Forrest, będziesz hrabią Gloucester — mówi.

Mówi też, że pójdzie na wydział teatralny i pożyczycy trochę dekoracji, ale kostiumy mamy sobie skombinować sami, żeby przedstawienie wypadło „realistycznie”. Dumam i dumam, ale za cholerę nie mogę wydumać jak się w to wpakowałem.

Tymczasem dzieje się mnóstwo różnych rzeczy. Z Nowego Jorku przyleciał taki jeden gość, który posłuchał jak Zbite Jaja grają i powiedział, że chce nas zabrać do studia nagrań i nagrać taśmę z naszą muzyką. Wszyscy są strasznie podnieceni, chłopaki, Jenny i oczywiście ja. Facet z Nowego Jorku nazywa się pan Feeblestein. Mówi, że jak wszystko dobrze pójdzie zrobimy większą furorę niż minispódniczki. Musimy tylko podpisać jakiś papierek, a potem możemy zacząć się bogacić.

George, który gra na klawiszach, uczy mnie jak to się robi, a Mose, nasz perkusista, uczy mnie walić w gary. Podoba mi się ta nauka na różnych instrumentach. Codziennie sobie ćwiczę, a wieczorami gram z zespołem w Klubie Hodaddy.

Któregoś popołudnia wracam po zajęciach do domu, a Jenny siedzi sama jedna na kanapie. Pytam się jej gdzie jest Rudolph, a ona mówi że się wyniósł. Pytam się jej dlaczego się wyniósł, a ona mówi:

— Bo jest takim samym sukinsynem jak wszyscy inni.

Więc ja na to:

- Może chodźmy gdzieś na kolację i pogadamy?

Oczywiście wcale nie gadamy tylko ona gada, a ta jej gadanina składa się z samych narzekań na facetów. Mówi, że jesteśmy „bandą leniwych, nieodpowiedzialnych, samolubnych bydlaków”. Narzeka i narzeka, a potem nagle wybucha płaczem.

— Och, Jenny, nie płacz — mówię. — Nie warto. On i tak całymi dniami nic nie robił tylko siedział na podłodze. To nie był facet dla ciebie!

— Pewnie masz rację, Forrest. Chodźmy do domu.

Po przyjeździe do domu Jenny zaczyna się rozbierać. Ściąga wszystko po kolei aż zostaje w samych majtkach. Siedzę na kanapie i staram się na nią nie patrzeć, ale ona podchodzi do mnie i mówi:

— Forrest, wyruchaj mnie. Proszę cię. Ze zdziwienia szczęka prawie mi spadła na kolana! Gapię się na Jenny wybałuszonymi gałami, a ona siada koło mnie, rozpina mi portki, po chwili ściąga mi koszulę, zaczyna mnie tulić, całować i w ogóle. Z początku czułem się trochę, no wiecie, skremowany. Oczywiście całe życie marzyłem o czymś takim, ale nigdy nie myślałem, że te moje marzenia się spełnią. A potem — potem coś we mnie wstąpiło i nieważne już było co wcześniej myślałem, bo tarzaliśmy się po kanapie prawie zupełnie goli. W którymś momencie Jenny ściągnęła mi gatki i nagle jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

— Rany, co tu mamy! — zawołała.

Po czym zaczęła wyczyniać takie same brewerie jak kiedyś przed laty panna French tyle że nie mówiła, że bym zamknął oczy, więc ich nie zamknęłam.

Tego popołudnia wyprawialiśmy rzeczy o jakich nawet nie śniłem. Ale Jenny miała niesamowite pomysły! Pokazywała mi różne pozycje co to bym sam na nie nigdy nie wpadł — bokiem, na krzyż, do góry nogami, do góry tyłkami, wzdłuż, wszerek, na klęczący, na stojący, na siedzący, na pochyło, na pieska, do środka i na zewnątrz. Jedyna pozycja jakiej nie próbowaliśmy to na odległość! Tarzaliśmy się po całym pokoju, po kuchni, odpychaliśmy meble, strącali z brzękiem różne przedmioty, ściągliśmy zasłony, zrolowali dywan, nawet niechcący włączyli telepuddło. Pod koniec robiliśmy to w kuchennym zlewie, tylko się nie pytajcie jak. Wreszcie skończyliśmy i Jenny leży chwilę bez ruchu, potem patrzy na mnie i mówi:

— Jejku, Forrest, gdzieś ty był przez całe moje życie? Ja na to:

— W pobliżu.

Oczywiście od tej pory sprawy między mną i Jenny wyglądają inaczej. Po pierwsze śpimy razem w jednym łóżku. Na początku było mi nie za wygodnie, ale szybko przywykłem. Po drugie jak gramy w klubie i Jenny przechodzi obok mnie, to zawsze czochra mi lekko włosy albo głaszcze mnie z tyłu po szyi. Wszystko się nagle zmieniło, zupełnie jakbym się od nowa

urodził. Jestem najszczęśliwym facetem na świecie.

11

No i nadszedł dzień kiedy mamy zagrać tę scenę ze sztuki na lekcji profesora Quackenbusha. Jest to scena, w której król Lir chodzi z błaznem po wrzosowisku; wrzosowisko to taka dzika okolica, coś jakby moczary albo puste pola. Zrywa się straszna burza i wszyscy chowają się do czegoś zwanego „lepianką”.

W tej lepiance siedzi facet co sam siebie nazywa biednym Tomkiem, a w rzeczywistości jest to Edgar, który przebrał się za wariata bo go brat-łajdak okantował. Król ze smutku już całkiem oszalał, Edgar udaje wariata, błazen też. Ja gram hrabiego Gloucester, który jest ojcem Edgara i w porównaniu z tamtymi trzema jest zupełnie normalny.

Profesor Quackenbush rozwiesił na czymś jakąś starą szmatę czy koc i zrobił z tego lepiankę, a obok postawił duży eklektryczny wiatrak, do którego przyczepił spinaczami kilka pasków papieru. Kiedy wiatrak się obracał paski trzepotały niby liście w czasie burzy.

No i dobra. Horace, ten co ma robić za Lira, ubrał się w gruby worek a na łeb nasadził sobie cedzak. Dziewczyna skombinowała skądś prawdziwy strój błazna, czapkę z dzwonekami i buty z podkreślonymi nosami jakie noszą Arabcy. Chłopak, który będzie strugał wariata, ma perukę bitelsowską, jakieś ciuchy ze śmietnika i pomazał sobie czymś całą głowę. Wszyscy strasznie poważnie traktują tę zabawę w teatr.

Aleja i tak wyglądam najlepiej. Jenny uszyła mi kostium z prześcieradła, obrusa i podeszwy na poduszkę. Jeden kawałek materiału mam wsunięty między nogi jak pieluchę, a na plecach taką plererynę jaką nosi Superman.

Profesor włącza burzę czyli wiatrak i każe nam zacząć na stronie dwunastej. Pierwszy mówi Edgar, co to udaje wariata Tomka.

— Dajcie wspomóżenie biednemu Tomkowi, któremu zły duch dokucza.

— Czy go do nędzy tej córki przywiodły? Nie ocaliłeś nic? Wszystkoż im dałeś? — pyta się go król Lir. Królowi odpowiada błazen.

— Owszem, zachował sobie płachtę; inaczej byśmy wstydzili się musieli za niego. Tak sobie przez chwilę gadają, a potem błazen mówi:

— Ta noc wy kieruje nas wszystkich na błaznów i na wariatów.

Całkiem niegłupio to sobie wykombinował.

Teraz ja się pojawiaję z pochodnią co ją profesor Quackenbush pożyczył z wydziału teatralnego.

— Patrzcie, oto się zbliża chodzący ogień! — woła błazen.

Profesor zapala moją pochodnię. Przechodzę przez salę i wchodzę do lepianki.

— To zły wróg, Flibertygibet — mówi wariat.

— Kto to jest? — pyta się król.

A ja na to:

— Kto wy jesteście? Jak wasze miana?

Wariat Tomek odpowiada mi, że on jest „biedny Tomek, co jada żaby, ropuchy, kijanki, jaszczurki”. Coś tam jeszcze plecie, a jak kończy ja nagle rozpoznaję króla i pytam się go:

— O panie, także twoje towarzystwo? Na co wariat Tomek mówi:

— Książę ciemności jest szlachcicem: nazywa się Modo i Mahu.

Wiatrak co udaje burzę strasznie mocno wieje, a ja ciągle trącam pochodnią w sufit, bo profesor Quackenbush chyba zapomniał że mam prawie dwa metry wzrostu i zmontował za niską lepiankę.

Nagle zamiast powiedzieć „Tomkowi zimno” wariat Tomek krzyczy:

— Uważaj na ogień!

Patrę do książki, ale nigdzie nie widzę tych słów.

— Uważaj, idioto, z tym ogniem! — woła Elmer Harrington III. A ja mu na to:

— Raz w życiu nie ja jestem idiota, tylko ty! I wtem sufit lepianki zapala się od pochodni, koc spada na perukę wariata Tomka i ona też zaczyna się palić. Ktoś wrzeszczy:

— Kurwa, wyłączcie ten cholerny wiatrak!

Ale już jest za późno. Wszystko się pali!

Wariat Tomek krzyczy i wyje, król Lir ściąga z głowy cedzak i wsadza go wariatowi na łeb, żeby ugasić mu perukę. Wszyscy miotają się to tu to tam, krztuszą się i kaszlą i przeklinają. Dziewczyna grająca błażna wpada w histerię i piszczy na całe gardło:

— Zginiemy! O Boże, zginiemy!

I przez chwilę rzeczywiście na to wygląda.

Kiedy się odwracam widzę, kurde Balas, że moja plereryna płonie, więc otwieram okno, obłapiam błażna i wyskakujemy razem. Nie był to groźny wyskok, tylko z pierwszego piętra i krzaki w dole złagodziły upadek. Ale akurat była pora obiadowa i setki ludzi pałętały się dookoła, a myśmy się tlili i dymili, więc od razu zrobiło się zbiegowisko.

Czarne kłęby wałą przez otwarte okno i nagle w tym oknie pojawia się profesor Quackenbush, wychyla się na zewnątrz i wymachuje pięściami, a twarz ma czarną od sadzy.

— Gump, ty idioto! Ty bęcwale! — ryczy. — Zapłacisz mi za to!

Błażen czyli dziewczyna czołga się po ziemi, beczy i załamuje ręce, trochę jest osmalona, ale nic poza tym, więc zostawiam ją i daję dyla. Biegnę aż się kurzy, a raczej dymi, bo plereryna wciąż mi płonie, ale biegnę i biegnę aż dobiegam do domu. Kiedy wchodzi do środka Jenny pyta się jak było.

— Założę się, że wspaniale wypadłeś! — A potem marszczy lekko nos i pyta się: — Hej, czujesz swąd spalenizny? Co się pali?

— Oj, to długa historia — mówię jej.

W każdym razie po przygodzie z teatrem nie wracam więcej na zajęcia o idiotach w literaturze, bo mam ich dość. Za to codziennie wieczorem gram w klubie ze Zbitymi Jajami, a w ciągu dnia kochamy się z Jenny, chodzimy na spacer, siadamy nad brzegiem rzeki Charles i jemy przyniesione z domu kanapki, słowem czuję się jak w raj. Jenny napisała ładną romantyczną piosenkę pod tytułem „Mocniej, kochany, szybciej, kochany” w czasie której gram długą solówkę na harmonijce. To była wspaniała wiosna i wspaniałe lato. Pojechaliśmy do Nowego Jorku, nagraliśmy taśmę dla pana Feebiesteina, a kilka tygodni później zadzwonił powiedzieć, że będziemy mieli płytę. Niedługo potem telefon się zarywa, dzwonią do nas różni z różnych miast, zapraszają na koncerty, więc za forszę co ją dostaliśmy od pana Feeblesteina kupujemy taki duży autobus z łózkami, kibelem i wszystkim i ruszamy w trasę.

Przyznam wam się, że w tym okresie wydarzyło się jeszcze coś co miało wpływ na moje życie. A było to tak: któregoś wieczora po zagranii kilku kawałków w Hodaddy mamy krótką przerwę. Podchodzi do mnie Mose, nasz bębniarz, odciąga mnie na bok i powiada:

- Forrest, wiem, że z ciebie porządny i przyzwoity facet, ale chciałbym, żebyś coś spróbował. Zobaczysz, będziesz po tym jeszcze lepiej zasował na tej swojej harmonijce.

Kiedy się go pytam co mam spróbować, wciska mi do łapy papierosa. Mówię mu dzięki, ale nie palę, a Mose na to:

— Forrest, to nie jest zwykła fajka. To jest coś, co poszerzy twoje horyzonty.

Nie jestem pewien czy chcę mieć szersze horyzonty, ale Mose jest uparty jak wół.

— Przynajmniej spróbuj — mówi.

No więc chwilę nad tym podumałem i doszedłem do wniosku, że jeden papieros mi nie zaszkodzi.

Jedno wam powiem: horyzonty mi się poszerzyły jak cholera.

Wszystko się jakby spowolniło i nabrało dziwnej ostrości. Po przerwie znów wyszliśmy na scenę i chyba nigdy w życiu tak dobrze nie grałem. Każda nuta brzęczała mi ze sto razy w uszach. Po występie Mose powiada:

— Ale dałeś czadu! Spróbuj przed ruchawką, mózg wtedy staje!

Spróbowałem — i Mose znów miał rację. Nazajutrz kupiłem sobie trochę tego świństwa i wkrótce nie było dnia, żebym nie popalał. Był tylko jeden kłopot: po jakimś czasie zrobiłem się jeszcze głupszy niż przedtem. Budziłem się rano, wypalałam skręta — tak się mówiło na te pety — leżałem do wieczora, a potem zwlekałem się z łóżka i szłem grać. Z początku Jenny nic nie mówiła, bo sama też czasem brała macha, ale któregoś dnia spytała się:

— Forrest, nie sądzisz, że za dużo ćpasz?

— Nie wiem — odparłem. — A ile to za dużo? A ona na to:

— Tyle ile teraz ćpasz.

Ale nie chciałem przestać. Jak paliłem to znikwały wszystkie problemy, chociaż w tym okresie akurat nie miałem żadnych. Wieczorami wychodziłem w przerwie z klubu, siadałem sobie na schodach przed tylnym wyjściem i patrzyłem na gwiazdy. Jak ich nie było to patrzyłem na niebo.

Któregoś razu Jenny wychodzi na zewnątrz, a ja siedzę i gapię się na deszcz.

— Forrest, to się musi skończyć — mówi mi. — Martwię się o ciebie. Całymi dniami nic nie robisz tylko leżysz i grasz. To niezdrowo. Może powinieneś na trochę zmienić otoczenie? Słuchaj, jutro mamy ostatni występ w Province town... Co ty na to, żebyśmy razem gdzieś wyjechali? Może połazili po górach?

Kiwam łepetyną. Ale nawet nie jestem pewien co Jenny mówi.

No dobra, nazajutrz w czasie przerwy znów wychodzę na dwór i zapalam skręta. Siedzę sobie na schodach, pilnuję własnego nosa kiedy nagle stają przede mną dwie obce dziewczyny i jedna się pyta:

— Hej, czy to nie ty grasz ze Zbitymi Jajami? Na organkach?

Przytakuję że ja, a wtedy ona ładuje mi się na kolana. Jej kumpelka tak piszczy z radości, że mało się nie posika, a potem zdejmuje bluzkę. Ta na moich kolanach rozpina mi portki, podwija sobie spódnice, a ja nic nie robię tylko siedzę ululany. Wtem drzwi się otwierają i Jenny woła:

— Forrest, zaraz zaczy... — Urywa, a po chwili krzyczy: — A niech cię cholera! — I trzaska drzwiami.

Podrywam się ze schodów, dziewczyna co mi się władowała na kolana spada na ziemię, ta druga wścieka się i przeklina, ale co mnie obchodzą? Wbiegam do budynku, patrzę, a Jenny stoi oparta o ścianę i beczy. Podchodzę do niej, a ona w krzyk:

— Nie dotykaj mnie, bydlaku! Wszyscy jesteście tacy sami! Tylko jedno wam w głowie! Nie macie za grosz szacunku dla innych!

Czułem się tak źle jak nigdy w życiu. Coś tam jeszcze po przerwie graliśmy, ale nic z tego nie pamiętam. W drodze do domu Jenny usiadła z przodu autobusu i w ogóle nie chciała ze mną gadać. W nocy spała na kanapie, a rano powiedziała, że chyba czas bym sobie znalazł własną metę. Więc spakowałem manatki i się wyniosłem. Z łbem spuszczonego nisko jak pies. Jenny nie dała mi się wytłumaczyć ani nic. Pokazała mi drzwi i do widzenia.

A potem sama gdzieś wyjechała. Rozpytywałem się o nią dookoła, ale nikt nic nie wiedział. Mose zaproponował, żebym się do niego wprowadził póki sobie czegoś nie znajdę, więc się wprowadzam, ale bez Jenny czuję się strasznie samotnie. Akurat w tym czasie nigdzie nie gramy, jest nudno jak flaki z olejem i myślę sobie, że może czas wracać do domu zobaczyć się z mamą i zacząć hodowlę krewetków gdzie kiedyś mieszkał Bubba. Może, myślę sobie, nie nadaję się na gwiazdę rock and roila. W końcu jestem tylko zwykły idiota.

Któregoś dnia Mose wraca do domu i mówi, że był w barze na rogu, oglądał wiadomości i kogo nagle zobaczył w telepudle? Jenny Curran we własnej osobie!

Okazuje się, że Jenny jest w Waszyngtonie. Pokazali ją jak maszeruje w dużej demonstracji przeciw wojnie w Wietnamie. Mose nie może się nadziwić co jej strzeliło do

łba, żeby zajmować się jakąś pieprzoną wojną zamiast śpiewać i zarabiać szmal.

Muszę się z nią zobaczyć. Wspominam o tym Mose'owi, a on na to:

— W porządku, stary. I postaraj się ją ściągnąć z powrotem.

Mose nawet się domyśla gdzie Jenny mogła się zatrzymać — u takich ludzi z Bostonu, którym też odbiła szajba i wyjechali do Waszyngtonu protestować przeciwko wojnie. Podał mi ich adres.

Ponownie spakowałem cały swój majdan, podziękowałem Mose'owi i ruszyłem w drogę. Nie wiedziałem czy kiedykolwiek wrócę.

W całym Waszyngtonie się kotłuje. Zupełnie jakby wybuchł jakiś bunt czy co. Na ulicach pełno glin, ludzie krzyczą, coś rzucają. Gliniarze walą ich pałkami po głowach, oni krzyczą jeszcze głośniejszym głosem i sytuacja tylko się coraz mocniej napina.

Znajduję adres co mi go Mose dał, pukam i pukam, ale nikt nie odpowiada. Cały dzień czekam na schodach przed domem. Wreszcie gdzieś tak koło dziewiątej wieczorem podjeżdża samochód i wysiada z niego kilka osób między nimi Jenny.

Wstaję ze schodów i ruszam w jej stronę, ale ona odwraca się i biegnie z powrotem do samochodu. Ci ludzie co z nią przyjechali, dwaj faceci i dziewczyna, nie wiedzą kim jestem i czego chcę.

— Słuchaj, stary — mówi do mnie jeden z nich — lepiej zostaw dziś Jenny w spokoju. Nie jest w najlepszej formie.

Pytam się go dlaczego, co się stało, więc on bierze mnie na bok i tłumaczy.

Że Jenny właśnie wyszła z paki. Że aresztowano ją wczoraj i spędziła noc w żeńskim pierdłu, a dziś rano — zanim udało się ją wyciągnąć — ktoś w tym pierdłu powiedział, że jak Jenny ma tak długie włosy to musi mieć wszy albo inne paskuctwa i trzeba ją ogolić. I ogolili na łysą pałę.

Pomyślałem sobie, że pewno przycupła nisko w samochodzie, bo nie chce mi się pokazać łysa. Więc opadłem na czworaka, żeby nic nie widzieć przez szybę i przyczołgałem się do wozu.

— Jenny — mówię. — To ja, Forrest. Ona nic. Więc zaczynam ją przeproszać za to co się stało na schodach za klubem. Już więcej nie będę palił żadnego świństwa, mówię jej, i już nigdy nie będę grał w żadnym zespole, żeby mnie przypadkiem znów co złego nie podkusiło. Mówię jej jak bardzo mi przykro z powodu jej włosów. Potem czołgam się z powrotem do schodów przed domem gdzie zostawiłem swoje manele, wyciągam z torby starą wojskową czapkę, wracam do samochodu, nasadzam ją na patyk i wtykam przez okno. Jenny bierze czapkę, wkłada na głowę i wreszcie wysiada.

— Wstawaj, ty wielki ośle — powiada. — Idziemy do domu.

Weszliśmy do środka, siedzieliśmy i gadaliśmy, tamci palili skręty i pili piwo, ale ja nie. Potem wszyscy zaczęli rozmawiać o planach na jutro: przed Kapitołem miała się odbyć duża demonstracja, na której grupa chłopaków co walczyli w Wietnamie miała zerwać ze swoich mundurów medale i inne takie i rzucić je na schody Kapitola.

— A wiecie — powiedziała nagle Jenny — że Forrest dostał order z rąk prezydenta?

Wszyscy ucichli jak makiem zasiał, spojrzeli na mnie, potem na siebie i jeden z chłopaków zawołał:

— Anioły nam go zesłały!

Rano Jenny wchodzi do salonu i staje obok kanapy na której śpię.

— Forrest — mówi. — Chcę, żebyś włożył mundur i wybrał się dziś z nami.

Pytam się jej po co, a ona na to:

— Bo może dzięki takim jak my zakończy się ta rzeź w Wietnamie.

Więc wciągam na siebie mundur, a po chwili Jenny wraca z pękiem łańcuchów specjalnie kupionych w sklepie.

— Obwiąż się nimi, Forrest — mówi. Znów pytam się jej po co.

— Po prostu obwiąż się, później ci wszystko wyjaśnię. Zrób to dla mnie, dobrze? Więc się obwiązałem i ruszyliśmy na tę protestację, ja

w mundurze i łańcuchach, Jenny, tamtych dwóch chłopaków i dziewczyna. Dzień jest ładny, pogodny. Przed Kapitołem zebrał się dziki tłum, pełno wokół kamer telewizyjnych, zjechały się też chyba wszystkie gliny jakie są na świecie. Ludzie śpiewają, krzyczą, pokazują glinom co o nich myślą. Widzę facetów w mundurach wojskowych; stoją razem w kupce. Po jakimś czasie jeden po drugim podchodzą do schodów przed Kapitołem, zrywają z piersi ordery i medale i rzucają na ziemię. Niektórzy podchodzą sami, inni podjeżdżają na wózkach dla kalek, część kuśtyka, część nie ma rąk albo nóg. Niektórzy odpinają ordery i po prostu upuszczają je na schody, ale są tacy co je ciskają ze złością. Wtem ktoś kładzie rękę na moim ramieniu i mówi, że teraz moja kolej. Patrzę na Jenny, ona kiwa głową, więc ja też zbliżam się do schodów.

Robi się cicho. Nagle ktoś ogłasza przez megafon moje nazwisko i mówi, że na znak protestu przeciwko wojnie w Wietnamie wyrzucę order wręczony mi osobiście przez prezydenta. Wszyscy klaszczą i wiwatują. Na schodach leży już pełno różnych odznaczeń. Wyżej pod arkadami stoi nieduża grupka ludzi, paru gliniarzy i paru facetów w garniturach. Patrzę na nich i myślę sobie, no dobra, Forrest, musisz się postarać. Więc odpinam order, chwilę mu się przyglądam, myślę o Bubbie, o Danie i innych chłopakach i sam nie wiem, ale nagle coś mnie nachodzi, jakaś taka złość, i biorę wielki zamach i z całej siły ciskam ten kawał żelastwa. Po kilku sekundach jeden z facetów w garniturze opada na kolana. Okazuje się, że rzuciłem order za daleko i rąbłem faceta w baniak.

Wybucho istna pandemonia. Policja naciera na tłum, ludzie krzyczą, wrzeszczą, w powietrzu czuć gaz łzawiący. Mnie dopada pięciu czy sześciu gliniarzy i zaczynają walić pałkami. Po chwili jest już ich cała chmara i nim się skapowałem zakuli mnie w kajdanki, wepchli do swojego furgona i zawieźli do paki.

Przesiedziałem tam całą noc, a rano zabrali mnie do sądu i postawili przed nosem sędziego. Po raz drugi w życiu miałem być sądzony.

Ktoś mówi sędziemu, że jestem oskarżony „o napaść z użyciem groźnej broni — orderu — i o stawianie oporu podczas zatrzymania” i inne takie bzdury, po czym wręcza mi jakąś kartkę papieru.

— Panie Gump, czy zdaje pan sobie sprawę, że rzucając order zranił pan w głowę sekretarza senatu Stanów Zjednoczonych? — pyta się mnie sędzia.

Na wszelki wypadek trzymam język na kłódkę, ale wygląda na to że tym razem wdepłem w gówno po kolana.

— Panie Gump — ciągnie dalej sędzia — doprawdy nie potrafię zrozumieć, co tak prawy człowiek jak pan, człowiek, który z takim poświęceniem służył ojczyźnie, może mieć wspólnego z tą hałastrą, która wczoraj wyrzucała odznaczenia. Dlatego też kieruję pana na trzydziestodniową obserwację psychiatryczną. Może lekarze zdołają znaleźć odpowiedź na pytanie, co pchnęło pana do tak idiotycznego czynu.

Dwaj gliniarze odprowadzili mnie z powrotem do celi. Po jakimś czasie wsadzono mnie do furgona i zawieziono do szpitala dla czubków.

No i wreszcie stało się to przed czym mama mnie ostrzegiała: zostałem „zamknięty”.

12

Ten szpital — to dopiero dom wariatów! Dają mnie do pokoju z jakimś Fredem, który przebywa tu prawie od roku. Fred z miejsca mnie informuje z jakimi świrami będę się stykał. A więc jest tu facet co otruł sześć osób, jest inny co rzucił się z toporem na swoją mamę, są tacy co kogoś zabili, zgwałcili albo jeszcze gorzej i tacy co myślą, że są królem Hiszpanii albo Napoleonem. Pytam się Freda za co jego zamkli. Za to, mówi, że zarąbał kogoś siekierą, ale wychodzi już za tydzień czy koło tego.

Drugiego dnia mówią mi, że mój psychiatra nazywa się doktor Walton i czeka na mnie w swoim gabinecie. Kiedy tam idę okazuje się, że doktor Walton to kobieta. Najpierw — mówi — zrobi mi taki mały test, a potem mnie zbada. No dobra. Siadam przy stole, a ona, ta doktor Walton, pokazuje mi kartki z kleksami i ciągle się mnie pyta co widzę. Więc jej odpowiadam że kleksa, kleksa, kleksa, aż wpada w złość i każe mi powiedzieć coś innego. Skoro jej na tym tak zależy to wymyślam jakieś banialuki. Potem doktor Walton daje mi kartkę, na której jest pełno pytań i mówi, żebym napisał odpowiedzi. Kiedy kończę każe mi się rozebrać.

Zawsze jak się rozbieram — no może z jednym czy dwoma wyjątkami — dzieje się coś złego, więc mówię, że wolałbym tego nie robić. Doktor Walton bazgrze sobie coś w notesie i mówi mi, że jak sam się nie rozbiore to zawoła pielęgniarzy i oni mi pomogą. I pyta się co wolę.

To proste, wolę rozebrać się sam. Kiedy stoję nagi jak mnie mamusia urodziła, doktor Walton wraca z powrotem do gabinetu, ogląda mnie wzdłuż i wszerz i mówi:

— No, no, ale z pana dorodny mężczyzna!

Potem wali mnie w kolano takim samym gumowym młotkiem jak lekarz na uniwersytecie, maca i dźga to tu to tam. Ale nie każe mi się pochylać jak ci w wojsku za co jestem jej wdzięczny. Wreszcie mówi, żebym się ubrał i wrócił do swojego pokoju. Idę i po drodze mijam salę ze szklanymi drzwiami. W środku widzę pełno dzieciaków: siedzą, leżą, ślinią się, dygotają pazmatycznie, tłuką pięściami o podłogę. Przez chwilę stoję z nosem przy drzwiach. Strasznie mi żal tych dzieciaków, bo kiedy na nie patrzę przypomina mi się szkoła dla bzików.

Kilka dni później znów mam się zgłosić do gabinetu psychiatry. Kiedy wchodzę do środka widzę, że oprócz doktor Walton są tam jacyś dwaj faceci też ubrani po medycznemu. Doktor Walton mówi mi, że jeden z nich to doktor Duke, a drugi to doktor Earl z Narodowego Instytutu Zdrowia Psychicznego i że obaj są bardzo zainteresowani moim przypadkiem.

Doktor Duke i doktor Earl każą mi usiąść, po czym zadają mi pełno pytań na różne tematy i obaj na zmianę walą mnie młotkiem w kolano. Wreszcie doktor Duke mówi:

— Słuchaj, Forrest. Otrzymaliśmy wyniki twoich testów. To niesamowite, że tak świetnie poradziłeś sobie z częścią dotyczącą matematyki. Ale w związku z tym chcielibyśmy przeprowadzić parę dodatkowych testów.

No i przeprowadzają. Te dodatkowe testy są znacznie trudniejsze od pierwszego, ale i tak wypadam całkiem nieźle.

Kurde balas, gdybym wiedział co mnie za to czeka udawałbym głaba.

— Forrest — powiada doktor Earl — to wprost nie do wiary. Po prostu masz w głowie komputer. Nie wiem, w jakim stopniu potrafisz się nim posługiwać, chyba w nie za dużym, skoro tu jesteś, ale muszę przyznać, że po raz pierwszy w życiu spotykam się z takim zjawiskiem.

— Masz rację, George — mówi do doktora Earla doktor Duke. — To rzeczywiście

unikalne zjawisko. Słuchaj, jakiś czas temu współpracowałem z NASA. Sądzę, że powinniśmy wysłać Forresta do centrum kosmicznego w Houston. Niech go sobie przebadają. Myślę, że szukają właśnie kogoś takiego.

Cała trójka wlepia we mnie gały i kiwa głowami, potem znów mnie wałą po kolanach młotkiem i coś mi się zdaje, że nie spędzę w szpitalu tych trzydziestu dni.

Lecimy do Houston w Teksasie. Poza mną i doktorem Duke w samolocie nie ma nikogo, ani jednego pasażera, ale to nie szkodzi bo podróż jest miła, tylko nie kapuję dlaczego muszę siedzieć z nogą i ręką przykutą łańcuchem do fotela.

— Słuchaj, Forrest — mówi doktor Duke. — Sprawy się mają następująco. Bardzo sobie nabruździłeś, kiedy rzuciłeś tym orderem w sekretarza senatu. Może ci za to grozić dziesięć lat więzienia. Ale jeśli pójdziesz na rękę ludziom z NASA, to osobiście dopilnuję, żeby nikt cię nie wsadził za kratki. Zgodna?

Kiwam łbem że tak. Nie chcę iść za kratki. Chcę odnaleźć Jenny. Strasznie mi za nią tęskno.

Siedzę w tym ich centrum NASA miesiąc czy koło tego. Przez ten miesiąc badają mnie i testują i przepytują zupełnie jakby szykowali mnie do występu w programie Johnny Carsona.

Ale to nie gwiazdę telewizyjną chcą ze mnie zrobić.

Któregoś dnia idziemy do takiej wielkiej sali i tam mi wreszcie tłumaczą o co chodzi.

— Gump — mówią — chcemy cię wysłać w kosmos. Doktor Duke słusznie zauważył, że masz w głowie komputer, w dodatku doskonały komputer. Jeśli odpowiednio cię zaprogramujemy, możesz w znacznym stopniu przyczynić się do rozwoju amerykańskiego programu badań kosmicznych. Co ty na to?

Przez chwilę dumam nad odpowiedzią, potem mówię że muszę się najpierw spytać mamy, a wtedy oni dają mi dużo lepszy powód dlaczego powinienem lecieć w kosmos. Jak nie polecę, mówią, to trafię na dziesięć lat za kratki.

No więc się zgadzam, a ilekroć się na coś zgadzam to zawsze wdeptuję w gówno.

Pomysł jest taki, że wsadzą mnie w statek kosmiczny i wystrzelą w przestrzeń, żebym obkręcał ziemię. Trasa ma liczyć z półtora miliona kilometrów. Wystrzeliliwali już ludzi na księżyc, ale się okazało, że tym księżycem nie warto sobie głowy zawracać bo nic tam ciekawego nie ma, więc teraz planują wizytę na Marsa. Na szczęście nie ja mam lecieć z tą wizytą. Moja podróż w kosmos to ćwiczebny lot, który im pomoże się zorientować kto się najlepiej nadaje do podróży na Marsa.

Poza mną ma lecieć kobieta i małpa.

Kobieta nazywa się major Janet Fritch i wygląda jakby miała muchy w nosie. Podobno jest pierwszą amerykańską kosmolotką tyle że nikt o niej nie wie, bo całą naszą wyprawę okrywa szczelna tajemnica. Major jest niską kobietą z taką fryzurą jakby jej kto nasadził rondel na głowę i obciął to co spod niego wystawało. Na mnie i na małpę nie zwraca żadnej uwagi.

W przeciwieństwie do major małpa, wielka orangutka co na imię ma Zuzia, jest całkiem sympatyczna. Złapano ją w dżungli w Sumatrze czy czymś takim. Zresztą mają tu w Houston całe tabuny małp, które od dawna wystrzeliwują w kosmos. Dla nas wybrano Zuzię z dwóch powodów: bo jest samicą a samice są łagodniejsze od samców i dlatego, że już dwa razy była w kosmosie. Kiedy mi to mówią myślę sobie: jedyny doświadczony członek załogi to małpa! No pięknie, nie?

Ale dobra. Ćwiczą nas i szkolą, wsadzają do jakiegoś cyklotrona co nami wiruje, do komórki bez grawitacji i tak dalej i tak dalej. Od rana do wieczora nabijają mi głowę jakimiś

bdzurami i każą je pamiętać. Na przykład uczą mnie takich specjalnych równań, żebym umiał obliczać odległość między tym gdzie jest statek a tym gdzie oni chcą żeby był, a potem żebym umiał znaleźć drogę z powrotem na ziemię. Uczą mnie geometrii nieeuklidesowej, rachunku różniczkowego, trygonometrii sferycznej, geometrii Boole'a, antylogarytmów, równań Fouriera, rachunku tensorowego i macierzowego. Mówią mi, że jak nawali pierwszy komputer to obliczenia będzie robił drugi zapasowy, a jak nawali zapasowy wtedy mam zakosić rękawy i brać się do roboty.

Napisałem do Jenny kupę listów, ale wszystkie wróciły ze stemplem „Adresat nieznany”. Napisałem też do mamy o mojej wyprawie w kosmos i dostałem od niej długi list co by go można streścić mniej więcej tak: synku, jak możesz zrobić coś takiego biednej starej matce, która mieszka w przytułku i ma tylko ciebie jednego na świecie?

Nie miałem odwagi przyznać się jej, że jak nie kosmos to ciupa, więc odpisałem, żeby się nie gnębiła, bo mamy bardzo doświadczoną załogę.

Wreszcie nadchodzi ten wielki dzień i jeśli myślicie, że się po prostu boję to się grubo mylicie. Ja się trzęsę ze strachu jak meduza na wybojach! Chociaż nasza wyprawa w kosmos miała niby być tajemnicą, jakoś do prasy przeciekły przecieki i okazuje się, że będzie nas filmować telewizja.

Rano ktoś nam pokazuje gazety, żebyśmy zobaczyli jacy już jesteśmy sławni. A oto kilka z tych gazetowych tytułów:

WYBRAŃCY NASA — KOBIEȚA, MAŁPA I IDIOTA.

ODLOTOWA TRÓJKA! CO POMYŚLA O NAS MIESZKAŃCY INNYCH PLANET?

BABA Z MAŁPĄ I CZUBEM — NA START!

„Washington Post” tak o nas pisze:

DZIŚ LECA! KTO TU MĄDRY?

Jedynie tytuł nagłówek w „New York Times” nie brzmi złośliwie:

NOWA SONDA KOSMICZNA: CIEKAWY EKSPERYMENT ZAŁOGOWY

Od chwili kiedy wstajemy rano z łózek panuje potworne zamieszanie. Normalka. Idziemy na przykład na śniadanie, a tu ktoś krzyczy, że w dniu startu załodze nie wolno jeść śniadania.

— Właśnie że wolno! — woła ktoś inny.

— Właśnie że nie wolno! — wtrąca ktoś trzeci.

I kłócą się tak ze sobą, a my stoimy i czekamy aż nam w końcu odchodzi ochota na jedzenie.

Potem wsadzają nas do kombinezonów, Zuzię do klatki i wiozą autobusem do wyrzutni gdzie stoi nasz statek. Wysoki jest na jakieś sto piętrów, a poza tym dyszy i sapie i pieni się i bucha parą i wygląda tak jakby chciał nas pożreć żywcem! Ale nic. Jedziemy windą do kapsuły, w której mamy odbyć podróż, przypinają nas do foteli, potem ładują do środka Zuzię. I czekamy.

I czekamy.

I czekamy.

I czekamy.

A przez cały czas statek syczy i dudni i warczy i się pieni. Ktoś mówił, że sto milionów ludzi będzie nas oglądać w telewizji. Oni pewno też czekają.

Wreszcie koło południa ktoś puka do drzwi i mówi, że lot jest na razie odwołany, bo trzeba zreperować statek.

Więc zjeżdżamy na dół windą, ja i Zuzia i major Fritch. Ona jedna się złości i wścieka, bo ja i Zuzia jesteśmy całkiem zadowoleni z tego obrotu.

Nasza radość nie trwa długo. Mniej więcej po godzinie — akurat jak siadamy do obiadu — ktoś wpada do pokoju i woła:

— Szybko! Wkładajcie natychmiast kombinezony! Zaraz leciecie!

Wszyscy biegają wkoło, krzyczą, denerwują się. Myślę sobie: pewno jacyś telewidze się wkurzyli, zadzwonili z pretensją, więc ci z tego NASA postanowili nie zwlekać, nic nie reperować, tylko nas czym prędzej wystrzelić w powietrze. W każdym razie to już teraz nie ma znaczenia.

Znów nas wiozą autobusem do wyrzutni, znów wsiadamy do windy, jedziemy na górę i nagle w połowie drogi...

— Chryste, zapomnieliśmy zabrać małpę! — wrzeszczy facet, który jedzie z nami i drze się na całe gardło do tych na ziemi, żeby wracali po Zuzię.

Siedzimy przypięci do fotelów, ja i major Fritch, trwa odliczanie od stu do zera, kiedy wreszcie drzwi się otwierają i ktoś wprowadza Zuzię. Przypina ją, wychodzi, odliczanie trwa, słyszę „jedenaście... dziesięć”, a potem za sobą słyszę jakieś dziwne powarkiwanie, więc odwracam się i kurde Balas, własnym oczom nie wierzę, bo to wcale nie Zuzia siedzi z tyłu na fotelu tylko jakiś wielki stary małpiszon, który szczyrzy zęby i szamota pasami jakby za chwilę miał je zerwać!

Wołam major Fritch, ona ogląda się za siebie, „O mój Boże!” krzyczy przerażona i chwyta za radio, żeby się połączyć z tymi w wieży kontrolnej na ziemi.

— Słuchajcie — mówi do nich. — Mamy problem. Ktoś się pomylił i przyprowadził nam samca zamiast Zuzi. Trzeba przerwać odliczanie!

Nagle rozlega się straszny ryk i cały statek zaczyna się trząść.

— Za późno, siostró. Teraz to tylko i wyłącznie twój problem — mówi głos przez radio. I w tym momencie odrywamy się od ziemi.

13

Mam wrażenie, że coś mnie gniecie — jak te banany tatkę kiedy na niego spadły. Pewno bym krzyknął, ale nie mogę wydobyć głosu. Ani nawet kiwnąć palcem. Na szczęście na razie mamy tylko siedzieć i basta. Patrzę w luminator i widzę niebo. Wystartowaliśmy.

Po jakimś czasie statek chyba trochę zwolnił, bo już mnie tak nie wciska w fotel. Major Fritch mówi, że możemy odpiąć pasy i brać się do roboty. I dodaje, że lecimy z prędkością dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Zerkam w dół przez luminator i widzę, że faktycznie ziemia jest tycia jak na zdjęciach robionych z kosmosu. A potem oglądam się za siebie i widzę oranguta. Siedzi nadęty, zły i świdruje gniewnie to major Fritch, to mnie. Major Fritch mówi, że może jest głodny, więc żebym polazł na tył i dał mu banana zanim bydlak się wścieknie i zacznie rozrabiać.

Zapakowali dla małpy całe mnóstwo żarcia: banany, otręby, suszone jagody, liście i inne takie. Więc otwieram worek i grzebię, bo może rzeczywiście jak coś wrąbie, to się uspokoi. Tymczasem major Fritch łączy się z kontrolą naziemną w Houston.

— Słuchajcie — powiada — trzeba coś zrobić z tą małpą. To nie Zuzia, tylko wielki samiec i na moje oko wcale się nie cieszy. że leci w kosmos. Co będzie jak zacznie szaleć?

Trwało dobrą chwilę zanim jej słowa dotarły na dół, a potem odpowiedź z dołu doszła do nas, ale w końcu usłyszeliśmy: .

— Bzdura! Ta małpa czy inna, co za różnica!

— Dobra, dobra! — Major Fritch na to. — Inaczej byś pan gadał, gdybyś sam siedział z bydlakiem w tej maleńkiej kabince!

Znów minęła z minuta zanim zaskrzypiał głośnik.

— Macie rozkaz nie pisać o tym ani słowa, bo cały świat będzie się z nas nabijał. Małpison to Zuzia i koniec, a co ma między nogami, to jego sprawa.

Major Fritch spojrzała na mnie i pokiwała niechętnie głową.

— Rozkaz to rozkaz — mówi — ale póki ja tu jestem, skubaniec siedzi przywiązany pasami do fotela, jasne? Odpowiedź kontroli naziemnej była krótka:

— Taa.

Trudno w to uwierzyć, ale jak się człowiek już trochę przyzwyczai, to ten kosmos jest całkiem fajny. Nie ma żadnej grawitacji, można więc sobie fruwać po statku, a widoki za oknem są pierwsza klasa: księżyc, słońce, gwiazdy, ziemia... Ciekawe gdzie tam w dole podziewa się Jenny i co porabia.

Ale nic, kręcimy się w kółko. Dzień i noc zmieniają się jak rękawiczki, mniej więcej co godzina, a to mi daje zupełnie inną perspektywę na różne tam sprawy. No bo teraz jestem tu i latam, ale co mam robić jak wrócę — to znaczy jeśli wrócę? *Założyć* hodowlę kreweteków? Odnaleźć Jenny? Znów występować ze Zbitymi Jajami? Wyciągnąć jakoś mamę z przytułka? Wszystko to jest bardzo dziwne.

Major Fritch co rusz ucina sobie drzemki, a jak nie kima to stroi fochy. Drze się na małpę, wymyśla od jełopów tym z kontroli naziemnej, wścieka się że nie ma gdzie zrobić

makilażu, a mnie osobacza jak coś podjadam nie czekając na porę obiadu czy kolacji. Kurde flaki, przecież i tak jedyne co mamy do żarcia to czekoladowe batony! Nie lubię się skarżyć, ale mogli mi dać jakąś ładniejszą major albo chociaż taką, która nie pieni się o byle co jak kostka mydła!

I jeszcze coś wam powiem: ten orangut to też niezły agregat.

Dałem mu banana, no nie? Wziął i nawet go obrał, ale potem odłożył na bok. Banan zaraz odfrunął, więc chwyciłem go i znów dałem małpie. A ona co? Zaczęła międlić go w paluchach i ciskać kawałki po całej kabincie. Porządnie się nauganiałem zanim je wszystkie wyłapałem. Ciągle się trzeba zajmować bydlakiem. Jak tylko człowiek weźmie się za co

innego małpizjon natychmiast kłapie zębiskami, a robi przy tym tyle hałasu jakby miał nakręcane szczęki. Zglupieć można.

W końcu wyjąłem harmonijkę i zaczęłem grać „Home on the Range” albo coś w tym stylu. Orangut z miejsca się uspokoił, więc zagrałem mu jeszcze parę kawałków — „The Yellow Rose of Texas”, „I Dream of Jeannie with the Light Brown Hair” i inne takie. Leżał i gapił się na mnie grzeczny jak bałwanek. Zapomniałem, że w kabinie jest kamera telewizyjna, która przekazuje wszystko na ziemię. Rano budzę się, a ktoś na dole w Houston podsuwa gazetę pod kamerę. I czytam nagłówek: NOWOŚCI Z KOSMOSU — MUZYKA IDIOTY KOI MAŁPĘ. Czasami to aż ręce człowiekowi odpadają!

W sumie idzie nam całkiem nieźle tyle że Zuzia jakoś tak dziwnie spogląda na major Fritch. Ile razy major Fritch zbliża się do niego, orangut obraca się i wyciąga łapę jakby chciał ją złapać albo co, a wtedy major rozpuszcza jadaczkę:

— Nie dotykaj mnie, ty bydlaku! Łapska przy sobie!

Ale cwaniak wyraźnie coś kombinuje. Nie ma dwóch zdań.

Wkrótce dowiaduję się co. Poszłem właśnie za przepirzenie, żeby się spokojnie odlać do butelki, kiedy nagle słyszę wrzask. Wysuwam łepetynę i co widzę? Zuzia ucałował major Fritch i wetknął łapę za dekolt jej kombinezona. Major wrzeszczy jakby ją kto żywcem ze skóry obdzierał i okłada Zuzię po łbie mikrofonem.

Wreszcie skapowałem się w czym. rzecz. Krążymy po tym kosmosie prawie dwie doby a biedna małpa cały czas siedzi przywiązana do fotela — nawet nie miała okazji się wysikać! Kurde, dobrze wiem jak to jest; sam nieraz byłem w takiej sytuacji. Człowiek wstrzymuje i wstrzymuje, aż myśli że mu pęcherz pęknie jak balon! No więc podleciałem do major Fritch, która cały czas wrzeszczała: „Puszczaj mnie, świntuchu!” i zaczęłem odciągać ją od Zuzi. Kiedy ją oswobodziłem pognęła na przód kabiny, ukryła twarz w dłoniach i się rozbeczała. No a ja uwolniłem Zuzię z pasów i zaprowadziłem za przepirzenie.

Dałem małpie pustą butelkę. Zuzia nasikał do niej, a jakże. Ale potem jak nie smyrgnie jej w światelka migoczące na tablicy rozdzielczej! Butelka się stłukła na kawałki, siki zaczęły dryfować po kabinie. Co za cholera, myślę sobie. Łapię małpę i prowadzę w stronę fotela. Nagle widzę jak wielka gula sików leci prosto na major Fritch. Jeszcze chwila a będą ją w tył głowy, więc chwytam taką siatkę na motyle co nam dali specjalnie po to, żebyśmy łowili w nią przedmioty dryfujące po statku. I już, już mam złapać gulę, kiedy major Fritch nagle się obraca i siki trafiają ją prosto w nos.

Jak się nie rozedrze! A Zuzia tymczasem wrywa kable z tablicy rozdzielczej. Major Fritch krzyczy: „Powstrzymaj go! Powstrzymaj!”, ale co ja mogę? Iskry idą po całej kabinie a Zuzia skacze po ścianach i wrywa co popadnie.

— Co u licha się tam dzieje? — pyta głos przez radio, ale już po herbacie.

Statek zaczyna się kolebać i fikać koziołki, a ja, Zuzia i major Fritch kotłujemy się w nim jak ciuchy w pralce. Nie ma jak się czego chwycić, jak co wyłączyć, jak ustać czy usiedzieć.

— Stwierdzamy, że macie drobne problemy ze stabilnością pojazdu — oznajmia głos z ziemi. — Forrest, proszę manualnie wprowadzić program D6 do komputera z prawej burty.

Kurde, facet chyba sobie jaja ze mnie robi! Mało że wiruję jak para starych gaci, to jeszcze orangut skacze po całym statku jakby dostał małpiego rozumu. A major Fritch drze się tak, że prędzej można ogłuchnąć niż skupić się na robocie. Chodzi jej o to, że zaraz się rozbijemy i spalimy. Zerkłem przez okno i muszę przyznać, że sprawy faktycznie nie wyglądają wesoło. Ziemia coś się bardzo spieszy w naszą stronę.

Jakoś udało mi się dopelzać do tego komputera z prawej burty. Jedną ręką chwyciłem się tablicy rozdzielczej, a drugą wsunąłem w otwór program D6. Jego zadaniem jest wodować statek na Oceanie Indiańskim gdyby były jakieś kłopoty. A są.

Major Fritch i Zuzia trzymają się kurczowo przyrządów jak dwa rzepy uczezione psiego ogona, tyle że Zuzia milczy, a major Fritch wciąż się wydziera.

— Co robisz?! — woła. No to jej wyjaśniłem.

— Matole jeden, już dawno minęliśmy Ocean Indyjski! Poczekaj na następne okrążenie i siadaj na południowym Pacyfiku!

Nie dacie wiary jak szybko obkręza się świat w statku kosmicznym. Major Fritch złapała mikrofon i krzyczy do kontroli naziemnej, że zwalimy się do Oceanu Spokojnego, więc niech zawiadomią okręty i inne takie. Ja wciskam guziki jak szalony, a ziemia rośnie w oczach. Przelatujemy nad czymś co zdaniem major Fritch jest Ameryką Południową, potem znów mamy pod sobą tylko wodę. Biegun południowy jest gdzieś po lewej, a przed nami Australia.

Nagle robi się gorąco jak w piecu i z zewnątrz zaczynają dochodzić dziwne trzaski. Statek trzęsie się jak epileptyk w febrze, a w luminatorze pojawia się ląd.

— Pociągnij dźwignię! Otwórz spadochron! — woła major Fritch.

Jednak mnie wcisło w fotel, a ją rozplaszczyło na suficie, więc wygląda na to że jedną nogą jesteśmy już na tamtym świecie — tym bardziej że spadamy piętnaście tysięcy kilometrów na godzinę, a celujemy nie w ocean tylko w zielony skrawek lądu otoczony wodą. Jak rąbnjemy w ziemię z taką prędkością ze statku nie zostanie nawet tłusta plama.

Ale nagle rozlega się głośnie „pyk” i kapsuła zwalnia. Przekręcam głowę. Kurde, nie wierzę własnym oczom! Okazuje się, że Zuzia szarpnął dźwignię i uratował nam tyłki. Przysięgam sobie, że jak tylko się z tego wykaraskamy zaraz dam małpie banana.

Kapsuła kołysze się na spadochronie, w prawo, w lewo, i opada w stronę zielonego lądu. Niby jest byczo, ale nie do końca, bo mieliśmy spaść w morze skąd wyłowilyby nas statki. Ale od samego początku cały ten lot idzie jak po grudzie, więc dlaczego teraz miałyby być z górki?

Major Fritch znów dorwała się do mikrofonu.

— Lądujemy gdzieś na północ od Australii, ale nie wiem gdzie — skarży się tym z Houston. Odpowiadają po kilku sekundach.

— Jak nie wiesz, ty głupia ruro, to wyjrzyj przez okno! Major odkłada mikrofon i podchodzi do luminatora.

— Jezu! — woła. — To chyba Borneo!

Wraca do mikrofonu żeby powtórzyć to samo kontroli z Houston, ale okazuje się że straciliśmy łączność.

Dyndamy pod spadochronem i opadamy coraz niżej. Pod nami widać tylko dżunglę i góry i niewielkie brunatne jeziorko. Coś tam się dzieje na brzegu, ale nie bardzo widać co. Cała nasza trójka — ja, major Fritch i Zuzia — przyklepiła nosy do szyby i gapi się w dół.

— O w pizdę, to nie Borneo! — wrzeszczy nagle major Fritch. — To Nowa Gwinea, a te bambusy w dole wyznają chyba kult cargo!

Zuzia i ja wytężamy gały i wreszcie widzimy, że na brzegu jeziorka stoi z tysiąc dzikusów i wszyscy wyciągają ręce do góry. Ubrani są w takie kuse spódniczki z trawy, włosy sterczą im dęba, a niektórzy mają tarcze i dzidy.

— Co wyznają? — pytam się.

— Kult cargo — powtarza major Fritch. — Podczas drugiej wojny światowej rzucaliśmy Papuasom torby cukierków i takie tam duperele, żeby przekabacić ich na naszą stronę. A oni myśleli, że to Bóg albo Bóg wie kto zsyła im podarki i wciąż czekają na dalsze. Nawet pobudowali sobie prymitywne pasy startowe. Widzisz te okrągłe czarne znaczki? To właśnie ma być lotnisko.

— Wyglądają jak kotły — mówię.

— Tak, rzeczywiście... — przyznaje major Fritch, ale głos jakby się jej łamie.

— Czy to nie tu mieszkają ludożercy? — pytam się.

— Wkrótce się przekonamy.

Kapsuła kołysze się łagodnie i opada w stronę jeziora. Tuż zanim uderza w wodę dzikusy zaczynają bić w bębny i energicznie poruszać ustami. Żadne odgłosy z zewnątrz nie docierają do nas, za to nasza wyobraźnia pracuje na pełny regulator.

14

Lądowanie w jeziorku nawet nie poszło najgorzej. Coś chlupło, plaskło i jesteśmy z powrotem na ziemi. Nic nie mówimy tylko wszyscy troje łypimy przez luminator.

Trzy metry dalej stoi na brzegu całe plemię Papuasów i gapi się na nas. Jeszcze nigdy nie widziałem tak przerażających typów — marszczą gniewnie czoła i pochylają się nisko, żeby się nam lepiej przyjrzeć. Major Fritch mówi, że może są źli, bośmy im nic nie rzucili ze statku. I dodaje, że musi usiąść i podumać: skoro udało nam się wylądować, nie chce teraz zrobić jakiegoś głupiego kroku. W międzyczasie ośmiu najroślejszych tubylców wskakuje do wody i zaczyna pchać kapsułę do brzegu.

Major Fritch wciąż siedzi i duma kiedy nagle rozlega się głośnie pukanie do naszych drzwi. Wszyscy troje spoglądamy po sobie.

— Nie reagujemy — mówi major Fritch.

— Mogą się wnerwić, że ich nie wpuszczamy — ja na to.

— Cicho! — syczy major. — Może pomyślą, że nikogo nie ma i pójda sobie.

Więc siedzimy cicho jak trusie pod miotłą, ale po jakimś czasie znów rozlega się pukanie.

— Niegrzecznie jest nie otwierać — mówię.

— Zamknij się, durna pało! — szepcze gniewnie major Fritch. — Nie widzisz, jacy oni są groźni?

Nagle Zuzia podchodzi do drzwi i je rozsuwa. Na zewnątrz stoi największy czarnuch jakiego widziałem na oczy odkąd graliśmy z tymi palantami z Nebraski na Orange Bowl.

W nosie ma kość, na biodrach spódniczkę z trawy, na szyi kilka sznurów koralików, a włosy sterczą mu na wszystkie strony tak jak temu chłopakowi w peruce bitelsowskiej co grał wariata w *Lirze*.

Kurde Balas, ale się gość zdumiał na widok Zuzi! Tak się zdumiał, że wziął i zemdłał. Major Fritch i ja kikujemy przez okno. Inne dzikusy, jak zobaczyły że ich kumpel się przewraca, czmychły i schowały się w krzakach. Myślę sobie: pewno czekają co będzie dalej.

— Stój! Nic nie rób! — woła major Fritch, ale na próżno bo Zuzia złapał jakąś butelkę, wyskoczył z kapsuły i dawaj polewać dzikusa, żeby go ocucić.

Po chwili facet siada, krztusi się, kaszle, pluje, kręci łbem z boku na bok. Nie da się ukryć, Zuzia dopiął swego, tyle że butelka co ją chwycił to była ta, do której się wcześniej odlałem. Nagle dzikus otwiera oczy i kiedy znów widzi przed sobą Zuzię, podnosi łapy, pada na pysk i zaczyna bić pokłony jak rozmodlony Arab.

Z krzaków wychodzą pozostali i zbliżają się wokio na trzęsących nogach. Oczy mają wielkie jak spodki. Wystarczyłoby tupnąć, żeby rzucili dzidy i znów dali drapaka. Facet na ziemi przestaje na moment bić pokłony i podnosi łeb, po czym krzyczy coś do swoich kumpli, a wtedy oni kładą dzidy na ziemi i podchodzą jeszcze bliżej.

— Wyglądają całkiem przyjaźnie — mówi do mnie major Fritch. — Lepiej wyjdźmy i się przedstawmy. Ekipa z NASA powinna zjawić się za parę minut.

Jak się okazało, była to największa bzdura jaką w życiu słyszałem.

Ale dobra, odklejamy nosy od szyby i wylazimy ze statku. Dzicy zaczynają achąć i ochać. Gość co leży na ziemi patrzy na nas jakby ze zdziwieniem, po czym wstaje i wyciąga łapę.

— Cześć — mówi. — Ja przyjaciel. A wy kto? Ściskam mu grabę, a major Fritch tłumaczy cośmy za jedni.

— Jesteśmy uczestnikami kosmicznego wieloorbitalnego preplanetarnego subgrawitacyjnego lotu treningowego NASA.

Facet gapi się na nią jakby spadła z księżyca.

— Jesteśmy Amerykany — wyjaśniam. Dzikusowi oczy zaświeciły radością.
— Amerykanie? Doprawdy? Cóż za wspaniała niespodzianka!
— Mówi pan po angielsku? — dziwi się major Fritch.
— Jasne — odpowiada dzikus. — Byłem w Ameryce. Podczas wojny. Zostałem zwerbowany przez Urząd Służb Strategicznych. Nauczyli mnie języka, a potem odesłali z powrotem, żebym założył partyzantkę i walczył z Japończykami.

Zuzia aż wybałuszył gały jak to usłyszał. Mnie też zdumiało, że w samym środku dżungli spotykamy dzikusa co mówi po naszymu jak rodak.

— A gdzie pana uczyli? — pytam się go. — W jakiejś szkole?

— Studiowałem na Yale... Uwielbiałem kibicować naszej drużynie. Chodziłem na wszystkie mecze i darłem się „Gola, gola!”

Jak tylko powiedział „gola, gola” wszystkie bambusy od razu podjęły okrzyk i zaczęły walić w bębny. Facet dał im ręką znać, żeby się uciszyły.

— Na imię mi Sam — powiada. — Przynajmniej tak mnie nazywano na Yale, bo nikt nie był w stanie wymówić mojego prawdziwego imienia. Cieszę się, żeście do nas wpadli. Może macie ochotę na filiżankę herbaty?

Spojrzałem na major Fritch. Widać tak ją zamurowało, że dzikus był w Ameryce, że nie może wydusić z siebie słowa.

— Pewno, czemu nie? — odpowiadam za nas oboje. Dopiero po jakimś czasie major odzyskuje głos.

— Czy jest tu może telefon, z którego moglibyśmy skorzystać? — pyta jakoś tak piskliwie.

Duży Sam skrzywił się tylko i machnął ręką. Znów zadudniły bębny. Dzikusy zaczęły nas prowadzić w głąb dżungli pokrzykując „gola, gola”.

Mają w tej dżungli wioskę taką jak na filmach, z chatami lepionymi z gliny i krytymi trzcina i w ogóle. Chata Dużego Sama jest największa. Stoi przed nią — bo ja wiem? — krzesło albo tron czy co, a wokół kręci się z pięć półnagusek, znaczy się babek gołych od pasa w górę. Duży Sam mówi im, żeby przyniosły herbatę a nam, czyli major Fritch i mnie, wskazuje dwa kamienie żebyśmy sobie klapli. Zuzi, który całą drogę trzymał się mnie za rękę, wskazuje żeby usiadł na ziemi.

— Dorodny okaz, ta wasza małpa — mówi. — Skąd ją macie?

— Pracuje dla NASA — wyjaśnia major Fritch. Widzę po jej minie, że ta cała sytuacja wcale jej nie zachwyca.

— Naprawdę? Jest na pensji?

— Pewno chętnie by coś zjadł — wtrącam. Więc Duży Sam mówi coś do jednej z kobiet i ta przynosi Zuzi banana.

— Zdaje się, że jeszcze nie spytałem was, jak się nazywacie...

— Major Janet Fritch z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Numer identyfikacyjny 04534573. Nic więcej nie powiem.

— Ależ moja droga! — oburza się Duży Sam. — Nikt pani tu nie więzi. Jesteśmy tylko bandą biednych, zacofanych dzikusów. Niektórzy uważają, że wciąż żyjemy na poziomie epoki kamienia łupanego. Nie zamierzamy was skrzywdzić.

— Nie powiem ani słowa więcej, dopóki nie pozwolicie mi skorzystać z telefonu.

— No dobra. A jak ty się nazywasz, młody człowieku?

— Forrest — mówię.

— Naprawdę? Czyżby na cześć waszego sławnego generała z wojny secesyjnej, Nathana Bedforda Forresta?

— Tak — przytakuje.

— Bardzo ciekawe. A na jakiej uczelni studiowałeś?

Już miałem na końcu języka, że przez rok na uniwersytecie stanowym Alabamy. Ale potem pomyślałem sobie, że jeszcze mnie uzna za wsioka i powiedziałem, że na Harvardzie. Co tylko częściowo było kłamstwem.

— Aha, Harvard. Znam, znam. Świetna buda. Chodzi tam kupa całkiem fajnych facetów... którym nie udało się dostać do Yale. — Nagle zaczyna głośno rechotać. — Prawdę mówiąc, nawet wyglądasz na harvardczyka.

Nie wiem dlaczego — może sprawił to jego ton? — ale pomyślałem sobie, że czekają nas kłopoty.

Późnym popołudniem Duży Sam powiedział dwóm tubylkom, żeby nam pokazały gdzie będziemy mieszkać. Zaprowadziły nas do krytej trzciną chaty z klepiskiem i takim małym otworem zamiast drzwi; od razu przypomniała mi się ta lepianka z *Lira*. Dwóch drągali z dzidami stanęło na straży przy wejściu.

Przez cały wieczór plemię wali w bębny i woła „gola, gola”. Widzimy przez otwór, że przytachali wielki kocioł i rozpalili pod nim ogień. Ja i major Fritch nie wiemy co o tym sądzić, ale Zuzia chyba wie, bo siedzi samotnie w kącie z gębą na kwintę.

Mija dziewiąta, dziesiąta, wciąż nam nic nie dają do żarcia, więc major Fritch mówi, żebym poszedł do Dużego Sama i poprosił go o jakąś kolację. Ruszam do wyjścia, ale dwa Papuasy zasłaniają mi drogę dzidami. No dobra, myślę sobie i cofam się z powrotem do środka. Siadam i nagle zaczynam kapować dlaczego trzymają nas o głodnym pysku — bo to my mamy być kolacją! Ponura prospektywa.

Wreszcie bębny milkną, cichną krzyki „gola, gola”. Słyszemy jak ktoś na zewnątrz coś szwargota po ichniemu, a drugi mu odpowiada. Ten drugi to Duży Sam. Rozmowa zamienia się w sprzeczkę. Wrzeszczą coraz głośniejsze, a kiedy już głośniejsze nie można rozlega się „trach!” jakby ktoś oberwał w łeb deską czy czymś. Przez chwilę panuje cisza, a potem bambusy znów zaczynają dudnić w bębny i skaldować „gola, gola”.

Nazajutrz rano siedzimy w lepiance kiedy pojawia się Duży Sam.

— Dzień dobry. Dobrze wam się spało?

— Do dupy — odpowiada major Fritch. — Jak się miało dobrze spać, skoro hałasowaliście całą noc? Duży Sam posmutniał na pysku.

— Ogromnie mi przykro — mówi. — Ale wiecie... kiedy moi ludzie ujrzeli wasz pojazd spadający z nieba, spodziewali się... hm... prezentów. Od czterdziestego piątego roku wciąż czekamy na prezenty z nieba. Kiedy moi ludzie zobaczyli, że nic dla nich nie macie, pomyśleli, że to wy jesteście prezentem. I gdybym nie przekonał ich, że tak nie jest, ugotowaliby was i zjedli.

— Wciskasz kit, stary — mówi major Fritch.

— Bynajmniej. Widzi pani, moi ludzie nie są cywilizowani, przynajmniej jeśli stosować do nich wasze kryteria. I bardzo lubią ludzkie mięso. Szczególnie białe mięso.

— Czy mam rozumieć, że twoi ludzie to kanibale? — pyta się major Fritch. Duży Sam wzruszył ramionami.

— Nie da się ukryć.

— To obrzydliwe! — woła major. — Słuchaj, masz dopilnować, żeby nie stała nam się żadna krzywda! Chcemy cali i zdrowi wrócić do domu. Zresztą lada moment zjawi się po nas ekipa z NASA. Żądam, żebyście traktowali nas z takim samym szacunkiem jak przedstawicieli każdego innego zaprzyjaźnionego narodu.

— Właśnie tak was wczoraj zamierzaliśmy potraktować.

— Słuchaj, cwaniaku! — major Fritch na to. — Masz nas natychmiast uwolnić i wskazać nam drogę do najbliższego miasta lub osady, w której znajduje się telefon.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. Nawet gdybym pozwolił wam odejść, sto metrów dalej załatwiliby was Pigmeje.

— Pigmeje? — dziwi się major Fritch.
— Od wielu pokoleń prowadzimy z nimi wojnę. Zaczęło się od tego, że ktoś komuś ukradł świnie. Nie wiadomo kto, komu i kiedy, bo legendy milczą na ten temat. Ale jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni przez Pigmejów i tak jest od niepamiętnych czasów.
— Cholera — mówi major Fritch. — Ale wolę już Pigmejów od pierdolonych ludożerców. Pigmeje chyba nie żrą ludzi, co?
— Nie, proszę pani — odpowiada Duży Sam. — To łowcy głów.
— No pięknie — burczy pod nosem major.
— Wczoraj udało mi się uratować was od garnka, ale nie wiem, jak długo zdołam powstrzymać moich ludzi. Chcieliby mieć jakiś pożytek z waszego przybycia.
— Doprawdy? — pyta się major Fritch. — A niby jaki?
— Skoro nie mogą was zjeść, to chcieliby zjeść chociaż małą.
— Ta mała jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych! — oburza się major Fritch.
— Mimo wszystko oddanie im mały byłoby dyplomatycznym posunięciem.
Stary Zuzia marszczy czoło, kiwa wolno łbem i gapi się smętnie w kierunku wejścia.
— A poza tym — kontynentuje Duży Sam — póki tu jesteście, moglibyście coś dla nas zrobić.
— Tak? Co? — pyta podejrzliwie major Fritch.
— Chodzi o prace rolnicze — wyjaśnia Duży Sam. — Od wielu lat staram się wyprowadzić mój lud z ciemnoty. Niedawno wpadłem na pewien pomysł. Gdyby udało się zastosować zachodnie nowinki agronomiczne, to wykorzystując tutejszą żyzną glebę, może zdołalibyśmy się wyciągnąć z obskurantyzmu i nawet zdobyć światowe rynki zbytu? Krótko mówiąc, chciałbym zerwać z zacofaną i prymitywną gospodarką i wkroczyć na drogę postępu.
— Jakie prace rolnicze? — dopytuje się major Fritch.
— Mam na myśli hodowlę bawełny, droga pani, hodowlę bawełny! Królowej roślin uprawnych, dzięki której nie tak dawno temu i wasz kraj stanął na nogi!
— Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż będę zasuwać przy uprawie bawełny! — zirytowała się major Fritch.
— A właśnie, że będziesz, kochana — powiedział Duży Sam. — Nie masz wyboru.

15

No więc sadzimy bawełnę. Hektory i hektory bawełny. Stąd do wieczności. Jedno wiem na pewno: że jeśli uda nam się wziąć dupy w troki i spieprzyć od tych Papuasów to nigdy w życiu nie zostanę rolnikiem.

Od tego dnia cośmy wylądowali w dżungli i spotkali Dużego Sama i jego kumpli kamibali zdarzyło się kilka ważnych rzeczy. Po pierwsze major Fritch i ja przekonaliśmy Dużego Sama, żeby zostawił biednego Zuzię w spokoju. Wyjaśniliśmy mu, że więcej będzie miał użytku z małpy jak zagoni ją do sadzenia bawełny niż jak ją plemię spałaszuje. Tak więc Zuzia haruje razem z nami. W wielkim słomkowym kapeluszu i z workiem na plecach sadi po polu i sadi bawełnę.

Po drugie — gdzieś tak po trzech tygodniach Duży Sam zajrzał do naszej lepianki i pyta:

— Słuchaj no, Forrest, nie grasz przypadkiem w szachy?

— Nie — odpowiadam.

— Ale jako harwardczyk bez trudu się nauczysz.

Kiwam łepetyną. No i zacznam się uczyć.

Każdego wieczora jak wracam z pola Duży Sam wyciąga szachownicę, siadamy przy ognisku i gramy do późna w nocy. Najpierw pokazał mi wszystkie ruchy, potem kilka dni uczył strategii, a potem szybko przestał, bo zobaczył że go ogrywam.

Z czasem partie stawały się coraz dłuższe. Niektóre trwały i po kilka dni, bo Duży Sam nijak nie mógł się zdecydować na żaden ruch. Siedział, wpatrywał się w figury, wreszcie którąś przestawiał a ja i tak wygrywałem. Czasami tak się na siebie wściekał po przegraniu, że walił się kijem w nogę albo tłukł łbem w skałę.

— Jak na harwardczyka, grasz całkiem niezłe — mówił. A czasami pytał się:

— Słuchaj no, Forrest, dlaczego zrobiłeś ten ruch? Ja nic tylko wzruszałem ramionami, a wtedy on wściekał się jeszcze bardziej. Pewnego dnia mówi:

— Wiesz, Forrest, cieszę się, że tu jesteś, bo mam z kim grać w szachy. Bardzo dobrze, że uratowałem cię od garnka. Ale mam jedno pragnienie: chciałbym choć raz z tobą wygrać!

I zaczyna się oblizywać. Kurde, nawet idiota by się domyślił, że jak się spełni to jego pragnienie zaraz każe mnie ugotować sobie na kolację. Sami rozumiecie, że odtąd bardziej się przykładałem do gry.

Tymczasem major Fritch przydarzyło się coś bardzo dziwnego.

Pewnego dnia wracaliśmy wszyscy z pola kiedy nagle z kępy krzaków wysunęło się wielkie czarne łapsko i skinęło na majora. Major podeszła do krzaków, a ja i Zuzia stanęliśmy z boku.

— O co chodzi? — pyta się major.

Wtem łapa wysunęła się jeszcze bardziej, capła major Fritch za rękę i wciągnęła w krzaki. Zuzia i ja spojrzeliśmy po sobie i rzucili się biegiem do kępy. Zuzia dobiegł pierwszy, ja tuż za nim, ale kiedy chciałem wskoczyć za major w krzaki powstrzymał mnie. Zaczął potrząsać łbem i dawać znaki, żebym się cofnął. W końcu obaj odeszliśmy parę kroków. Z krzaków dochodziły jakieś dziwne jęki, a cała kępa trzęsła się jak w krześle elektrycznym. Wreszcie skapowałem w czym rzecz. Sądząc po głosie major Fritch nie była w żadnym niebezpieczeństwie ani nic, więc ją zostawiliśmy i sami wrócili do wioski.

Gdzieś po godzinie nadchodzi major Fritch; prowadzi za rękę wielkiego kamibala co szczerzy się od ucha do ucha. Wchodzą do lepianki i major Fritch mówi:

— Forrest, chcę ci przedstawić Gurka. — I popycha go do przodu.

— Cześć — mówię. Widywałem go już w wiosce. Gruk szczerzy się jeszcze szczerzej i kiwa łbem, więc ja też kiwam. A Zuzia drapie się po jajach.

— Grurk poprosił, żebym wprowadziła się do niego — oznajmia major Fritch. — I chyba tak zrobię, bo w tej chacie trochę ciasno nam w trójkę, prawda?

Znów kiwam głową.

— Forrest, nie powiesz o tym nikomu, prawda? — pyta major Fritch.

A komu u licha mogę powiedzieć? Za głupka mnie ma czy co? Ale nic nie mówię tylko potrząsam łepetyną. Major Fritch zabiera swoje bety i idzie z Grurkiem do jego chaty. I odtąd mieszka u niego.

Mijają dni, miesiące, lata, a ja, Zuzia i major Fritch codziennie zasuwały na plantacji bawełny. Powoli zaczynam się czuć jak jaki niewolnik sprzed wojny sukcesyjnej. A wieczorami, kiedy już sprawię manto w szachy Dużemu Samowi, wchodzę do lepianki i gadam z Zuzią. Bo doszło do tego, że nauczyliśmy się z sobą dogadywać za pomocą chrząknięć, min i gestów. Po pewnym czasie udaje mi się nawet sklecić do kupy historię jego życia. Okazuje się, że biednemu Zuzi wiodło się w życiu jeszcze gorzej niż mnie.

Kiedyś jak był całkiem malutkim małpiszczonem, jego mama i tata szli sobie spokojnie dżunglą. Nagle kilku facetów narzuciło na nich sieć i porwało ich diabli wiedzą dokąd.

Zuzią zaopiekowali się ciotka z wujkiem, ale po jakimś czasie kazali mu się wynosić bo za dużo żarł. No i odtąd musiał radzić sobie sam.

I radził sobie całkiem nieźle: kołysał się na drzewach, opychał bananami. Jednego dnia ciekawość wzięła górę i postanowił zbadać co się dzieje dalej na świecie. Przeskakiwał z gałęzi na gałąź aż dotarł na skraj dżungli gdzie znajdowała się wioska. Chciało mu się pić, więc przysiadł nad strumieniem i nagle patrzy, a tu jakiś facet płynie czółnem. Nigdy dotąd nie widział czółna, więc siedział i się gapił. Facet podpłynął bliżej. Zuzia myślał, że może facet weźmie go na przejażdżkę albo co, ale nic z tego. Facet zdzielił Zuzię wiosłem w łeb, potem związał jak prosiaka i sprzedał innemu gościowi. Ten drugi gość zabrał z kolei Zuzię do Paryża i zaczął pokazywać publiczności.

Pokazywał go razem z drugim orangutem, a raczej orangutką imieniem Doris, najładniejszą małpą jaką Zuzia kiedykolwiek widział na oczy. Po jakimś czasie zakochali się w sobie. Facet od pokazów woził ich po całym świecie, bo stanowili gwóźdź jego programu. A gwóźdź polegał na tym, że facet pakował Zuzię z Doris razem do klatki, żeby się pieprzyli; ludziom się to strasznie podobało — przychodziły tłumy i płaciły. Trochę się Zuzia wstydził robić to na oczach publiczności, ale innej okazji z Doris nie mieli.

A potem jednego razu jak byli w Japonii do faceta od pokazów podszedł inny facet i powiedział, że chce kupić Doris. No i kupił. Odtąd Zuzia był sam.

Brak Doris spowodował diametrową zmianę w jego zachowaniu. Coraz bardziej burmuszył się na cały świat, a kiedy pokazywano go publiczności warczał, wył, a nawet zaczął walić kupy i ciskać nimi w tych co bulili forszę, żeby zobaczyć oranguta na żywo.

W końcu facet od pokazów miał go po dziurki uszu. Któregoś dnia sprzedał Zuzię ludziom z NASA, no i tak biedny Zuzia wylądował ze mną w dżungli. Żał mi go, bo wiem co czuje kiedy wzdycha za Doris. Ja też wzdycham tyle że za Jenny Curran. Nie ma dnia, żebym o niej nie myślał. A tymczasem obaj tkwimy na tym zadupiu.

Ten pomysł Dużego Sama z bawełną przebił wszystkie oczekiwania. Sialiśmy ją, zbierali, potem wiązali w bele, a bele upychali do wielkich szałasów stojących na palach. Pewnego dnia Duży Sam mówi nam, że jego ludzie zbudują łódź — taką dużą barkę — i jak będzie gotowa załadujemy bawełnę, przepłyniemy jakoś przez kraj Pigmejów, opchniemy towar i będziemy bogaci.

— Wszystko sobie obmyśliłem — powiada. — Sprzedamy na aukcji bawełnę, a za forszę kupimy różne rzeczy potrzebne mojemu ludowi.

Pytam się go jakie.

— No wiesz, drogi chłopcze, koraliki, paciorki, parę lusterek, może radio na baterie, pudełko dobrych kubańskich cygar i ze dwie skrzynki whisky.

Więc po to tak harujemy.

Ale nic, miesiące mijają i wreszcie zbieramy ostatnie zbiory. Duży Sam zbudował barcę, na której mamy przepłynąć krainę Pigmejów i dotrzeć do miasta, więc w noc przed wyprawą dzikusy urządzają wielki jubel, żeby odpędzić złe duchy i uczcić przyszłe bogactwa.

Całe plemię koczuje przy ognisku, wali w bębny i wyje „gola; gola”. Wyciągu nawet ten wielki kocioł, napełnili go wodą i postawili na ogniu, ale Duży Sam tłumaczy, że to ma tylko „znaczenie symboliczne”.

Siedzimy i gramy w szachy, ale jestem tak podniecony że aż cały w środku chodzę. Niech no tylko dotrzemy do jakiegoś miasta, myślę sobie, a natychmiast się zmywam. Stary Zuzia chyba czyta mi w głowie, bo pysk ma rozdziawiony od ucha do ucha i łaskocze się pod pachami.

Rozegraliśmy dwie partie i właśnie gramy trzecią kiedy nagle patrzę na szachownicę i widzę, że Duży Sam mnie szachuje. Jest tak ciemno, że w mroku widać tylko zęby, które szczerzy z radości. Muszę, kurde flaki, brać się do roboty i jakoś ratować króla.

Ale kłopot w tym że nie mam jak. Taki byłem zajęty dzieleniem skóry na niedźwiedziu, że dałem się wmanerować w sytuację bez wyjścia. Przegrałem i już.

Blask ogniska odbija się od zębów Dużego Sama i oświetla szachownicę. Gapię się w nią, zagryzam wargi, myślę i myślę, ale nic mi nie przychodzi do łepetyny.

— Chce mi się siku — mówię w końcu.

Duży Sam kiwa makową i szczerzy się jak kto głupi, a ja myślę sobie: może po raz pierwszy w życiu to co powiedziałem nie narobi mi kłopotów tylko z nich wyciągnie.

Poszedłem za lepiankę i się odlałem, ale zamiast wracać do gry zawołałem Zuzię i wyjaśniłem mu co w trawie piszczy. A potem podkradłem się do chaty Grurka, wywołałem szeptem major Fritch i powiedziałem jej, że musimy brać tyłki w garść i zmykać, bo inaczej zrobią z nas potrawkę.

Wiejemy w czwórkę, bo Grurk jest tak zakochany w major Fritch — czy jak to tam po swojemu ujął — że ucieka z nami. Doczołgaliśmy się skrycie do brzegu rzeki i już mamy wsiąść do kamibalskiego czółna kiedy nagle podnoszę głowę i co widzę? Dużego Sama, a za nim z tysiąc tubylców. Mordy mają gniewne i pełne pretensji.

— Czyżbyś naprawdę myślał, drogi chłopcze, że zdołasz przechytrzyć takiego starego chytrusa jak ja? — pyta się mnie Duży Sam.

— Myśmy się tylko chcieli przejechać w świetle księżyca — odpowiadam. — To chyba jasne, nie?

— No pewnie — mówi.

Ale nie dał się skurczybyk nabrać, bo w następnej chwili Papuasy chwyciły nas pod pachy i pod strażą zaciągnęły

z powrotem do wioski. I przywiązały do wbitych w ziemię słupów.

Z kotła buchają wielkie kłęby pary, a woda bulgocze jakby jej kto słono za to płacił. Nasza przyszłość nie małuje się zbyt różowo.

— Przykro mi, chłopcze, że sprawy przybrały tak nieprzyjemny obrót — powiada Duży Sam. — Ale pociesz się tym, że przynajmniej nakarmisz głodnego. Coś ci jeszcze powiem — może to poprawi twój nastrój — jesteś najlepszym szachistą, jakiego kiedykolwiek spotkałem, a wiem o czym mówię, bo przez trzy z czterech lat spędzonych na Yale byłem szachowym mistrzem uczelni.

Następnie zwraca się do major Fritch.

— Bardzo żałuję, szanowna pani, że muszę położyć kres pani małej *affaire d'amour* ze starym Grurkiem, ale pani wie, jak to jest...

— A właśnie, że nie wiem, ty nikczemny dzikusie! — wrzeszczy major Fritch. — Jak ci nie wstyd, bezczelna gnido!

— Możemy przynajmniej podać panią i Grurka na tym samym półmisku — mówi Duży Sam i rechocze zadowolony. — Jasne mięsko obok ciemnego, pięknie się będzie komponować! Osobiście mam ochotę na udko albo na pierś.

— Rakarz!

— Wymyślaj mi, wymyślaj. Ale ucztę czas zacząć!

Kilku kamibali odwiązało nas od słupów i zaczęło ciągnąć w stronę kotła. Najpierw unieśli do góry Zuzię, bo Duży Sam powiedział, że będzie z małpy dobry rosół. Wisi Zuzia nad kotłem i już mają go wrzucać do środka kiedy ni stąd ni stamtąd, po prostu nie wiadomo skąd, nadlatuje strzała i trafia jednego z dzikusów trzymających Zuzię. Dzikus zwała się na ziemię, a Zuzia na niego. A potem od strony dzungli nadlatuje cały grad strzał i wszyscy wpadają w panikę.

— To Pigmeje! — ryczy Duży Sam. — Do broni!

No i wszystkie Papuasy pognały po dzidy i noże.

A my, znaczy się major Fritch, ja, Zuzia i Grurk nie mamy żadnych dzid ani noży, więc rzucamy się pędem w stronę rzeki. Ale nie ubiegliśmy nawet trzech metrów kiedy wpadliśmy w jakieś wnyki przywiązane do gałęzi i zadyndali w powietrzu.

No dobra, wisimy głowami w dół jak nietopierze albo co i krew uderza nam do łbów, a tu z poszycia wyłazi jakiś kurdupel i zaśmiewa się po pachy. Od strony wioski dolatują dzikie wrzaski, potem milkną i robi się cisza. A wtedy zjawia się pod drzewem gromadka Pigmejów, odcinają nas, wiążą nam łapy i prowadzą do papuaskiej wioski.

Ale jaja! Kurduple złapały Dużego Sama i resztę kamibali i powięzały wszystkich jak baleron. Wygląda, że zaraz Papuasy wylądują w kotle.

— Udało ci się, mój chłopcze! — woła Duży Sam. — Jeszcze chwila a byłoby po tobie!

Kiwam głową, choć nie jestem pewien czy nie trafiam z deszczu pod rynną.

— Zdaje się, że ja i moi ludzie nie zdołamy się uratować, ale ty masz szansę wyjść cało z opresji. Król Pigmejów ma bzika na punkcie amerykańskich szlagierów, więc zagraj mu coś na harmonijce.

— Dzięki za radę — mówię.

— Drobiazg, chłopcze.

Pigmeje podnoszą Sama wysoko do góry. Już trzymają go nad kotłem z wrzącą wodą a on nagle woła: — Skoczek na c3, wieża na e7 i mat! Wygrałem!

Po chwili rozlega się głośny plusk i wszyscy powięzani w baleron kamibale zaczynają skaldować „gola, gola”. Oj biada nam, biada, myślę sobie.

16

Kiedy plemię Dużego Sama było ugotowane a ich głowy pokurczone, Pigmeje zawiesili nas sobie na drągach jak zwierzynę, zarzucili drągi na ramiona i ruszyli w dżunglę.

— Jak myślisz, co z nami zrobią? — woła do mnie major Fritch.

— Nie wiem i gównu mnie to obchodzi! — odkrzykuję zgodnie z prawdą. Mam już tego wszystkiego po czubek nosa. W końcu ile można cierpliwie znosić?

W każdym razie gdzieś tak po dniu marszu docieramy do wioski Pigmejów i jak się można było spodziewać, wioska składa się z gromady tycich chatek na polanie w dżungli. Zanoszą nas na drągach do tej na środku. Dookoła czeka tłum niedorostków. Wszyscy stoją poza jednym starym gościem bez zębów i z długą siwą brodą, który siedzi na wysokim krzeselku jak dla niemowlaków. Od razu się kapłem, że to ich król.

Ciśli nas na ziemię aż mi wszystko jękło, a potem rozwiązali. Wstaliśmy więc, otrzepali się z kurzu i nagle jak ten ich król nie zacznie jazgotać po ichniemu! Po chwili złazi z krzeselka, podchodzi do Zuzi i kopie go w jaja.

— Dlaczego to zrobił? — pytam się Grurka, którego major Fritch nauczyła trochę mówić po naszemu.

— Żeby się przekonać, czy małpa to chłopczyk, czy dziewczynka — odpowiada Grurk.

Myślę sobie: mógł się przekonać w przyjaźniejszy sposób, ale trzymam język na kłódkę.

Potem król podchodzi do mnie i znów coś szwargota po pigmaliońsku czy jak się tam się u nich gada, więc myślę sobie: pewno mnie też zaraz kopnie w jaja. Ale nie.

— Pyta się, dlaczego mieszkaliście u tych obrzydliwych ludożerców — tłumaczy Grurk.

— Powiedz mu, że to nie był nasz pomysł — mówi szybko major Fritch.

— I że jesteśmy amerykańskimi muzykami — dodają. Grurk tłumaczy wszystko królowi. Ten przygląda się uważnie, po czym znów coś jazgocze do Grurka.

— Co powiedział? — pyta się go major Fritch.

— Chce wiedzieć, na czym gra małpa — tłumaczy Grurk.

— Powiedz, że na dzidach — mówię.

Grurk powtarza moje słowa pigmejowemu królowi, a on na to że chce usłyszeć jak gramy. Więc wyciągam harmonijkę i gram „Camptown Races”. Król słucha, słucha, a potem zaczyna klaskać i hopsasać wkoło.

Kiedy skończyłem pyta się na czym gra major Fritch i Grurk, więc mówię Grurkowi by powiedział, że major Fritch na nożach, a on sam na niczym bo jest naszym empresariem.

Król Pigmejów robi głupią minę i mówi, że jeszcze nie słyszał, żeby ktoś grał na nożach albo dzidach. Ale każe tym swoim przykurczom dać Zuzi kilka dzid a major Fritch kilka noży, bo go ciekawość zżera.

Jak tylko przynieśli nam dzidy i noże wrzasłem: „Teraz!” Zuzia walnęła pigmejowego króla dzidą w łeb, major Fritch pogroziła nożami kilku jego skubańcom i daliśmy dyla do dżungli. Pigmeje rzuciły się w pościg.

Ciskają w nas kamienie i inne takie, strzelają z łuków i dmuchawek. Nagle dżungla się kończy i nie mamy gdzie uciekać, bo przed nami rzeka. A Pigmeje depczą nam po piętach. Już chcemy skakać do wody kiedy z drugiego brzegu rozlega się strzał.

Pigmeje rzucają się na nas, a wtedy rozlega się drugi strzał. Kurduple w te pędy zawracają i chodu do dżungli. Wyteżamy gały, żeby dopatrzeć się kto strzelał i nagle widzimy dwóch facetów w zielonych koszulach i hełmach tropikalnych, takich jak na filmie *Człowiek małpa*. Wsiadają do łodzi i wiosłują w naszą stronę. Jak podpływają bliżej widzę, że jeden ma na hełmie napis NASA. No wreszcie, myślę sobie.

Kiedy łódź dobiła facet z NASA na hermie wyskoczył na brzeg, podszedł do nas, stanął dokładnie na wprost Zuzi i wyciągnął na powitanie grabę.

— Pan Gump, jeśli się nie mylę? — mówi. A wtedy jak major Fritch nie ryknie:

— Gdzieście się podziewali, do kurwy nędzy?! Siedzimy w tej pierdolonej dżungli prawie cztery pierdalone lata!

— Przykro mi, proszę pani, ale mieliśmy na głowie pilniejsze sprawy — wyjaśnia facet.

Niech mu będzie. Przynajmniej on i jego kumpel wyratowali nas od czegoś co pewno było gorsze od śmierci.

Dobra, pomagają nam wsiąść do łodzi i po chwili wiosłujemy w dół rzeki.

— Cywilizacja czeka tuż za rogiem — mówi jeden z nich. — Sprzedacie swoją opowieść brukowcom i zarobicie kupę szmalu.

— Zatrzymać łódź! — wrzeszczy nagle major Fritch. Faceci patrzą zdziwieni po sobie, ale posłusznie podpływają do brzegu.

— Podjęłam decyzję — oznajmia major. — Po raz pierwszy w życiu trafiłam na faceta, który mnie naprawdę rozumie. Blisko cztery lata żyłam z Grurkiem w dżungli i było nam ze sobą dobrze. Więc dlaczego mam wyjeżdżać? Zostanę tu z nim, zbudujemy sobie nową chałupę, założymy rodzinę i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

— Przecież to ludożerca! — woła facet z NASA. A major Fritch na to:

— Wypchaj się, gnojku.

Więc wysiedli z łodzi, major i Grurk, i odeszli trzymając się za ręce. Zanim znikli w dżungli major Fritch odwróciła się i pomachała do mnie i Zuzi.

Patrzę na Zuzię i widzę, że biedaczysko wyłamuje sobie palec.

— Poczekajcie — mówię do facetów. Idę na koniec łodzi, siadam koło małpy i pytam się: — Co ci?

Zuzia nic nie mówi, ale widzę że łezki kręcą mu się w oku. Domyślam się co zaraz zrobi. I rzeczywiście: chwycił mnie małpiszon za szyję, uścisnął, po czym wyskoczył na brzeg i wdrapał się na drzewo. Złapał się liany i tyleśmy go widzieli.

Facet z NASA potrząsnął tylko głową.

— No a ty co, mądralo? — pyta się mnie. — Zostajesz z kumplami w tym małpim gaju czy wracasz? Chwilę patrzyłem śladem major i Zuzi.

— Wracam — mrukiem i usiadłem w łódce.

Faceci znów zaczęli wiosłować. Nie myślcie, że mnie nie kusiło zostanie. Ale nie mogłem. Miałem do upieczenia własną pieczeń.

Wsiedliśmy w samolot do Ameryki; po drodze ci dwaj mówili mi jakie to mnie czeka w kraju wspaniałe powitanie, ale ja już słyszałem taką gadkę, więc myślę sobie: tere-fer!

Ale nie. Kiedyśmy wylądowali w Waszyngtonie, na lotnisku było chyba z milion luda i wszyscy wrzeszczeli i klaskali jakby naprawdę się cieszyli na mój widok. Dobra. Faceci z NASA wsadzają mnie do wielkiej czarnej limuzyny i mówią, że jedziemy do Białego Domu na spotkanie z prezydentem. Też mi coś! Już tam raz byłem.

Myślałem, że spotkam tego samego gościa, z którym jadłem kiedyś śniadanie i oglądałem *Rodzinę z Beverly Hills*, ale okazało się, że już tam nie mieszka. Jego miejsce zajął nowy prezydent — zaczesany gładko do tyłu, z takimi pucowatymi polikami i nosem jak Pinokio.

— Miał pan przyjemną podróż? — pyta się mnie. Jakiś facet w garniturze co stał obok nachylił się i coś mu szepnął do ucha.

— Aha, aha — mruknął prezydent. — To znaczy cieszę się, że wreszcie wrócił pan do domu po tych strasznych przejściach w dżungli.

Facet w garniturze znów mu coś szepnął do ucha.

— Aha. A co właściwie się stało z pana towarzyszem?

— Z Zuzią?

— Z Zuzią? — zdziwił się prezydent i zerknął do kartki. — Napisali, że był z panem niejaki major J. Fritch, którego w ostatniej chwili porwali kanibale.

— Gdzie tak napisali? — pytam się.

— Tu — odpowiada.

— To nieprawda — mówię.

— Co, nazywasz mnie kłamcą?

— Nie, tylko mówię, że to nieprawda.

— Za kogo mnie masz?! — oburzył się prezydent. — Jestem zwierzchnikiem sił zbrojnych! Ja nie kłamię!

— Bardzo przepraszam, ale ta informacja o major Fritch to bzdura — mówię. — A w ogóle to było nas troje. I tak-śmy...

— Taśmy?! — woła prezydent.

— Nie, nie. Powiedział „takśmy”, a nie „taśmy” — wyjaśnia facet w garniturze.

— Teraz ty powiedziałaś TAŚMY! — ryczy prezydent. — A mówiłem, że nie chcę więcej słyszeć tego słowa! Jesteście wszyscy bandą zdrajców, komunistycznych wieprzy! — Z wściekłości aż wali się piąchą w kolano. — Nic nie rozumiecie! Ja nic nie wiem i koniec! O niczym nie słyszałem! A jeśli słyszałem, to albo zapomniałem, albo wszystko jest tak tajne, że nic nie mogę wyjawiać!

— Ależ, panie prezydencie, on nic takiego nie powiedział — mówi facet w garniturze.

— Powiedział tylko, że...

— Co, ty też nazywasz mnie kłamcą?! Czuj się odwołany!

— Nie może mnie pan odwołać — sprzeciwia się facet w garniturze. — Jestem wiceprezydentem.

— Tak? To uważaj, bo nigdy nie awansujesz na prezydenta, jak będziesz nazywał swojego zwierzchnika kłamcą — mówi prezydent.

— To prawda. Ma pan rację — mówi wice. — W takim razie serdecznie pana przepraszam, panie prezydencie.

— Nie, to ja przepraszam — oznajmia prezydent.

— No dobra — mówi wice i gmera coś przy rozporku. — A teraz wybaczcie panowie, ale muszę iść się wysikać.

— To najrozsądniejsze słowa, jakie dzisiaj słyszałem — ocenia prezydent, a potem zwraca się do mnie: — Hej, przypadkiem nie jesteś tym gościem, który grał w ping-ponga i wyciągnął z rzeki starego Mao?

— Aha — przyznaję.

— Na cholereż żeś go wyciągał?

— Bo się topił.

— Trzeba było przytrzymać mu łeb pod wodą — mówi prezydent. — Ale teraz to i tak nie ma znaczenia, bo skurwieli wykitował, kiedy byłeś w dżungli.

— Ma pan telewizor? — pytam się. Spojrzał na mnie jakoś tak dziwnie.

— Mam, ale rzadko go włączam — mówi. — Puszczają same złe wiadomości.

— A zna pan *Rodzinkę z Beverly Hills*?

— Tak, ale nie leci o tej porze — mówi. — A co leci?

— *Prawda i tylko prawda*, ale nie warto tego oglądać.

Chwała! — Potem mówi: — Niestety, muszę iść na zebranie, więc odprowadzę cię do wyjścia. Kiedy byliśmy na werandzie nagle zniżył głos i pyta:

— Słuchaj, nie chcesz kupić zegarka?

— He?

Podszedł bliżej i podciągnął rękaw marynarki. Patrzą, a na łapie ma ze dwadzieścia czy trzydzieści tykawk!

— Nie mam forsy — mówię.

Opuścił rękaw i poklepał mnie po ramieniu.

— Jak ci wpadnie trochę szmalu, to wróć, na pewno się dogadamy — powiedział.

Uściskał mi grabę. Natychmiast podbiegła gromadka fotografów i zaczęła nas pstrykać. Chwilę postąłem, a potem się wyniosłem. Wiecie co? Ten prezydent to całkiem równy gość.

Ciekawy byłem co teraz ze mną zrobią, ale nie musiałem sobie długo łamać głowy. Dwa dni później cały ten rejwach już przycichł. Do hotelu w którym mnie zakwaterowali przyszło dwóch facetów i mówią:

— Słuchaj, Gump, darmocho się skończyła. Rząd nie będzie dłużej za ciebie bulił. Radź sobie sam.

— W porządku — mówię — ale dajcie mi chociaż na bilet do domu. Jestem bez grosza.

— Nic z tego, Gump. I tak masz szczęście, że nie siedzisz w pudle za tego sekretarza senatu. Wtedy ci pomogliśmy, ale więcej nie będziemy się troszczyć o twój brudny tyłek. Umywamy ręce.

No i musiałem się wynieść z hotelu. Nie miałem żadnych rzeczy ani nic, więc po prostu wstałem i wyszedłem. Chodzę ulicami, chodzę i akurat mijam Biały Dom, a przed nim wielki tłum ludzi z kukłą prezydenta i różnymi transparentami. No, no, myślę sobie, pewno się facet cieszy, że taki jest popularny.

17

Powiedzieli, że nie dadzą forsy i nie dali, ale jeden z facetów pożyczył mi dolara. Dobre i to. Przy pierwszej okazji dzwonię do przytułka, w którym jest mama bo nie chcę żeby się o mnie gnębiła.

— Pani Gump już tu nie mieszka — mówi zakonnica co odebrała telefon. Więc pytam się gdzie mieszka.

— Nie wiem — mówi zakonnica. — Uciekła z jednym protestantem.

Podziękowałem jej i odwiesiłem słuchawkę. W sumie poczułem ulgę, że mama z kimś związała i już nie mieszka w żadnych przytułkach. Powinno ją odnaleźć, wiem, wiem, ale wcale się nie rwę. Bo na mur beton będzie beczeć i krzyczeć, że ją tak długo zostawiłem samą. Jest to tak pewne jak to, że zaraz spadnie deszcz.

I spadł. Lało jak z sikawki, więc pomknę pod markizę, ale po chwili ze sklepu wyszedł jakiś gość i mnie przepędził. Byłem przemoczony do suchych nitek i miałem z zimna dygotki. Nagle widzę, że przed jednym z rządowych budynków leży na środku chodnika duży plastikowy worek na śmieci. Kiedy podchodzę bliżej worek zaczyna się ruszać jakby coś w nim siedziało!

Stałem i kopłem go lekko nogą. Worek odskoczył z metr do tyłu i jakiś głos zawołał:

— Spierdalaj stąd!

— Kto tam? — pytam.

— To mój wentylator — odpowiada głos. — Znajdź sobie własny!

— Co mam sobie znaleźć?

— Wentylator! — woła głos. — A z mojego spierdalaj!

— Jaki wentylator?

Nagle worek unosi się i wychyla się spod niego łeb. Właściciel łba patrzy na mnie jak na idiotę.

— Nowy jesteś czy co? — pyta się.

— Tak jakby — mówię. — I chcę się schować przed deszczem.

Facet pod workiem wygląda jak ostatnie nieszczęście. Pół głowy ma łyse, oczy czerwone, przekrwione, nie golił się od miesiący i brak mu większości zębów.

— No... no dobra, od biedy możesz tu chwilę posiedzieć. — Podaje mi złożoną plastikową torbę.

— Co mam z tym robić? — pytam.

— Rozłożyć i wciągnąć na siebie, durniu. Mówiłeś, że chcesz się schować przed deszczem. — I z powrotem wsuwa łeb pod worek.

Zrobiłem jak kazał i rzeczywiście nie było to głupie. Z wentylatora nad stacją metra wiało gorące powietrze, więc w worku było ciepło i przyjemnie, a w dodatku woda nie lała się na łepetynę. Przez jakiś czas kucaliśmy obok siebie bez słowa, a potem gość się pyta:

— Jak ci na imię?

— Forrest — mówię.

— Tak? Znałem kiedyś jednego Forresta. Dawno temu.

— A ty jak się nazywasz?

— Dan — odpowiada.

— Dan? DAN?! Chwileczkę! — wołani. Zrzucam swój worek, ściągam worek z niego i okazuje się, że to faktycznie Dan! Nie ma nóg, siedzi na deskorolce, postarzał się ze dwadzieścia lat więc go trudno poznać, ale to on! Porucznik Dan!

Po wyjściu ze szpitala wojskowego Dan pojechał do Connecticut. Chciał wrócić do swojej dawnej pracy i uczyć historii. Ale nie było miejsca dla belfra od historii, więc kazali mu uczyć matematyki. Dan nienawidził matmy, w dodatku lekcje odbywały się na pierszym

piętrze a jemu bez nóg ciężko się było wspinać. Poza tym żona uciekła od niego z producentem telewizyjnym z Nowego Jorku i wystąpiła o rozwód. Jako powód podała „niezgodność charakterów”.

Dan zapijaczył się, stracił pracę i przestał w ogóle cokolwiek robić. Złodzieje okradli mu dom, więc został bez niczego. Sztuczne nogi co mu je dali w szpitalu kombatantów były nie tego rozmiaru co trzeba. Po kilku latach, jak powiedział, dał wreszcie za wygraną i został włóczęgą. Każdego miesiąca dostawał trochę grosza, taką rentę inwalidzką czy co, ale zwykle rozdawał wszystko innym włóczęgom.

— Sam nie wiem, Forrest, chyba po prostu czekam na śmierć.

Dał mi kilka dolców i kazał, żebym poszedł na róg i kupił dwie butelki sikacza. Ale wzięłem tylko jedną butelkę; za resztę kupiłem sobie kanapkę, bo cały dzień nic nie miałem w pysku.

— A teraz, stary druhu, opowiedz mi, co żeś porabiał, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni — poprosił kiedy obciągnął już pół flaszki.

Więc opowiedziałem. Opowiedziałem mu o tym jak pojechałem do Chin i grałem w ping-ponga, jak odnalazłem Jenny Curran i grałem ze Zbitymi Jajami i jak na pokojowej demonstracji wyrzuciłem order i wylądowałem w pace.

— Tak, pamiętam tę demonstrację — przerwał mi. — Byłem wtedy jeszcze w szpitalu. Też miałem ochotę się na nią wybrać, ale chyba bym nie wyrzucił swoich odznaczeń. Spójrz.

Rozpiął kurtkę i zobaczyłem, że do koszuli ma przypięte wszystkie swoje ordery: Purple Heart, Silver Star i inne. Było ich z dziesięć czy dwanaście.

— Noszę je, bo mi o czymś przypominają. Sam nie bardzo wiem o czym. Oczywiście o wojnie, ale nie tylko. Straciłem coś znacznie cenniejszego niż nogi, Forrest. Straciłem duszę. Czuję wewnątrz pustkę. Mam ordery zamiast duszy.

— No a co z „prawami naturalnymi” które wszystkim rządzą? — pytam się go. — Co z „porządkiem rzeczy” w którym każdy musi znaleźć swoje miejsce?

— Pierdołę taki porządek — mówi. — Całą filozofię tylko o kant dupy potłuc.

— Jak to? Odkąd mi powiedziałeś o tych prawach staram się nimi kierować w życiu! Daję się nieść „prądowi” i za bardzo nie podskakuję. Staram się, żeby było dobrze.

— Może w twoim wypadku to się sprawdza, Forrest. Kiedyś sądziłem, że w moim też się sprawdza, ale spójrz na mnie. Tylko spójrz na mnie! Kim ja jestem? Beznogim włóczęgą. Pijakiem. Trzydziestopięcioletnim śmieciem!

— Mogło być gorzej — mówię.

— Czyżby? — pyta się. — Jak?

Pomyślałem sobie, że ma prawo wiedzieć, więc opowiedziałem mu do końca swoją historię — o tym jak wsadzili mnie do czubków, jak wystrzelili w rakiecie i jak wylądowałem u kamibali razem ze starym Zuzią i major Fritch.

— Cholera, chłopie, miałeś przygód od groma! No a jak to się stało, że teraz siedzisz ze mną pod workiem na śmieci?

— Nie wiem — mówię. — Ale na pewno nie spędzę tu reszty życia.

— Co będziesz robił?

— Jak tylko przestanie padać podrywam tyłek i jadę do Jenny Curran.

— A gdzie ona się podziewa?

— Nie wiem — mówię. — Ale się dowiem.

— Zdaje się, przyjacielu, że przydałaby ci się pomoc.

Patrząc na Dana i widząc, że oczy mu się świecą. Coś mi mówi, że to jemu przydałaby się pomoc, ale dobra, niech mu będzie.

Wciąż lało i lało, więc noc spędziliśmy w domu noclegowym dla bezdomnych. Dan zapłacił po pół dolara od łebka za kolację i jeszcze pół za dwa łóżka. Mogliśmy się nażreć za darmo, ale wtedy musielibyśmy wysłuchiwać kazania, a Dan powiedział, że woli spać w

deszczu niż słuchać dyrdymałów jakiegoś nawiedzonego kaznodzieja.

Rano Dan pożyczył mi dolca, więc poszedłem do budki i zadzwoniłem do Bostonu do starego Mose'a, który był perkusistą w Zbitych Jajach. Okazało się, że mieszka tam gdzie mieszkał i cholernie się zdziwił jak usłyszał mój głos.

— Forrest, nie mogę uwierzyć, że to ty! — zawołał. — Już dawno położyliśmy na tobie lachę!

Powiedział, że Zbite Jaja się rozpadły. Cała forsa obiecana przez pana Feeblesteina poszła na koszty produkcji czy coś tam, a po drugiej płycie nikt im nie zaproponował nowego kontraktu. Ludzie słuchają teraz takich kapel jak Bycze Boje i Grejprut Zgred, więc chłopaki ze Zbitych Jaj musiały poszukać sobie innej roboty.

A o Jenny nie słyszał od dawna. Po tej wyprawie do Waszyngtonu na demonstrację pokojową, na której mnie aresztowali, wróciła do Zbitych Jaj i śpiewała z nimi przez kilka miesięcy, ale coś z nią było nie tak. Raz nawet rozbeczała się na scenie i musieli grać bez wokalu. A potem zaczęła pić wódkę i spóźniać się na imprezy i właśnie chcieli z nią o tym pogadać kiedy nagle sama zrezygnowała.

Osobiście Mose uważał, że jej zachowanie miało związek ze mną, ale ona nie chciała nic o tym mówić. Kilka tygodni później wyjechała z Bostonu. Zamierzała przenieść się do Chicago. Więcej o niej nie słyszał, a minęło prawie pięć lat.

Spytalem się go czy nie wie jak się z nią skontaktować. A on na to, że chyba jeszcze ma numer co mu dała przed wyjazdem i żebym poczekał. Odszedł od telefonu, ale zaraz wrócił i mi podyktował.

— Więcej nic o niej nie wiem — dodał. Powiedziałem mu, żeby się trzymał i że go odwiedzę jakbym był w Bostonie.

— Wciąż grywasz na harmonijce? — spytał się.

— Tak, czasami.

Pożyczyłem jeszcze jednego dolara od Dana i wykręciłem numer w Chicago.

— Jenny Curran? Jenny? — zdziwił się męski głos. — Ach tak, już sobie przypominam. Fajna dupa. Ale to już kopa lat.

— Nie wie pan gdzie jest teraz?

— Nie. Ale kiedy wyjeżdżała, mówiła, że jedzie do Indianapolis. Miała pracować u Temperera.

— U kogo?

— W Zakładach Temperera. Tych od opon samochodowych.

Podziękowałem, wróciłem do Dana i powiedziałem mu czego się dowiedziałem.

— Nigdy nie byłem w Indianapolis — powiada Dan. — Podobno jesienią jest tam bardzo ładnie.

Chcieliśmy odbyć trasę autostopem, ale nie mieliśmy szczęścia. Jeden facet podwiózł nas kawałek za miasto w skrzyni ciężarówki, a potem sterczeliśmy na poboczu i nic. Pewno wyglądaliśmy dziwnie we dwóch — Dan na swojej deskorolce, a ja ze swoją wielką dupą na wysokości jego łba. W końcu Dan powiedział, że trudno, jedziemy autobusem, ma forszę na bilety. Głupio mi było brać od niego pieniądze, ale po pierwsze sam chciał jechać, a po drugie pomyślałem sobie, że może wyjazd z Waszyngtonu dobrze mu zrobi.

Więc wsiadamy do autobusu. Siedzimy Dana obok siebie, a deskorolkę wpycham na półkę w górze. Przez całą drogę Dan popija sikacza i powtarza, że świat jest do dupy. Może ma rację. Nie wiem. W końcu jestem tylko idiota.

Autobus wysadził nas w centrum miasta. Stoimy i dumamy co dalej robić kiedy podchodzi do nas gliniarz.

— Jazda stąd, włóczęgi — mówi.

Skoro jazda to jazda, więc się wynieśliśmy. Dan spytał jakiegoś przechodnia o Zakłady Temperera. Okazało się, że są poza miastem. Ruszyliśmy na piechotę, to znaczy ja na nogach, on na desce. Po jakimś czasie chodniki się skończyły a Dan nie bardzo mógł zasuwać po nierównym poboczu, więc wzięłem go pod jedną pachę, deskorolkę pod drugą i tak wędrowaliśmy dalej.

Mniej więcej w południe ujrzeliśmy napis ZAKŁADY TEMPERERA. Byliśmy na miejscu. Dan powiedział, żebym sam wszedł, on zaczeka na zewnątrz. Dobra, wchodzę i mówię kobiecie za biurkiem, że chcę się widzieć z Jenny Curran. Ona sprawdza coś na liście i odpowiada, że Jenny pracuje w dziale renowacji opon, ale nikt poza pracownikami nie ma wstępu na teren zakładów. Więc stoję i myślę co tu robić, a wtedy ona radzi mi po dobroci:

— Słuchaj, kochasiu, za chwilę będą mieć przerwę na drugie śniadanie. Zaczekaj sobie przy bocznych drzwiach. Pewnie ta twoja Jenny wyjdzie.

Więc poszedłem gdzie mi radziła. I faktycznie z budynku zaczął się wysypywać całkiem spory tłum ludzi. Nagle w tym tłumie zobaczyłem Jenny. Wyszła sama, usiadła pod drzewem i wyjęła z torby kanapkę. Podkradłem się na palcach i stanąłem za jej plecami.

— Kanapka że piętę lizać — mówię. Nawet się nie obejrzała, tylko rzekła:

— Forrest, to możesz być tylko ty.

18

Wiercie mi, to było najszcześniejsze spotkanie po latach w moim życiu. Jenny płacze i mnie obściskuje, ja ją też, a ci wszyscy od renowowania opon gapią się na nas i nie wiedzą co jest grane. Jenny mówi, że kończy robotę za trzy godziny, więc żebyśmy poszli z Danem do knajpki po drugiej stronie ulicy, wypili po piwie albo co i zaczekali na nią. Jak skończy, zabierze nas do siebie.

Weszliśmy do knajpki i Dan zamówił najtańsze wino. I zaraz mówi, że ma o niebo lepszy „bukiet” od tego sikacza co go pijał w Waszyngtonie.

W sali jest gromada gości — rzucają strzałkami do tarczy, piją i siłują się na rękę. Jeden rosły facet rozkłada wszystkich i co jakiś czas inni podchodzą, żeby się z nim zmierzyć, ale nikt nie daje mu rady. Więc bulą pięć doliców, bo o tyle się siłują i wracają na miejsca.

— Forrest, myślisz, że pokonałbyś tamtego wielkoluda? — pyta się mnie szeptem Dan. Mówię, że nie wiem, a Dan na to:

— Masz tu pięć doliców, idź i spróbuj. Wierzę w ciebie. Więc podchodzę do faceta.

— Mogę się zmierzyć? — pytam. Spogląda na mnie z uśmiechem.

— Jak masz forszę, czemu nie — mówi.

No dobra, siadam naprzeciwko niego, bierzemy się za ręce, ktoś woła „Start!” i zaczynamy. Facet sapie i stęka jak pies próbujący wysrać pestkę brzoskwini, ale nie mija dziesięć sekund i — bach! — jego łapa dotyka blatu. Załatwiłem gościa bez trudu. Wszyscy zebrali się dookoła stolika, achają i ochają, a Dan aż wyje z radości.

Widzę, że facet nie ma szczęśliwej miny, ale nic, daje mi piątaka i wstaje od stolika.

— Łokieć mi się ześliznął — powiada. — Ale wpadnij jeszcze kiedyś, to znów się zmierzmy.

Kiwam makową że dobra, wpadnę, wracam do Dana i oddaję mu forszę.

— Forrest, chyba odkryliśmy łatwy sposób zarabiania szmalu — mówi.

Poprosiłem go o dwadzieścia pięć centów, bo chciałem sobie kupić zmarnowane jajo z wielkiego słoja na ladzie. Dał mi całego dolca.

— Kupuj co chcesz, przyjacielu — mówi. — Jesteś żyłą złota.

Jenny zajrzała do knajpki po pracy i zabrała nas do siebie. Mieszka w pobliżu Zakładów Temperera w małym mieszkanku co je sama urządziła. Pełno w nim różnych fajnych rzeczy jak pluszowane zwierzaki i zasłona z korolowych koralików w drzwiach sypialni. Poszliśmy do sklepu i kupili kurczaka, potem Jenny zrobiła nam kolację, a ja jej opowiedziałem co się ze mną działo odkądśmy się rozstali.

Najbardziej dopytywała się o major Fritch, ale kiedy usłyszała, że major Fritch została z kamibalem trochę się jakby uspokoiła. Powiedziała, że jej życie też nie było utkane różami przez te ostatnie lata.

Kiedy odeszła od Zbitych Jaj pojechała do Chicago z dziewczyną, którą poznała w jakimś ruchu pokoju czy gdzieś tam. Brały razem udział w demonstracjach ulicznych, kupę razy zamykano je w pace aż w końcu Jenny znudziło się to ciągnięcie po sądach; bała się, że będzie mieć kartotekę jak jaki recydywista.

Mieszkała w jednym domu z piętnastoma innymi, ale ci ludzie nie bardzo byli w jej guście. Pałętali się półgoli i nie spuszczaali po sobie w kiblu. Jenny i któryś z chłopaków postanowili się wynieść i zamieszkać razem, bo jemu też tam nie pasowało. No ale jakoś im to życie razem nie wyszło.

— Wiesz, Forrest, nawet chciałam się w nim zakochać, ale nie mogłam, bo wciąż myślałam o tobie.

Napisała do swojej mamy, żeby dowiedziała się od mojej mamy gdzie mnie trzymają,

ale mama odpisała jej, że nasz dom się spalił a moja mama trafiła do przytułka. Zanim jednak list doszedł do Jenny, moja mama uciekła z protestantem.

W każdym razie Jenny nie miała pieniędzy, więc kiedy usłyszała, że fabryka w Indianapolis szuka ludzi przyjechała tu i zatrudniła się przy oponach. Mniej więcej w tym czasie zobaczyła w telewizji, że mają mnie wystrzelić w kosmos, ale już nie zdążyłaby przyjechać do Houston. Mówi, że później „patrzyła ze zgrozą” jak mój statek spada i myślała, że zginąłem. Odtąd tylko bieżnikowała stare opony.

Objąłem ją i przytuliłem mocno i tak sobie siedzieliśmy. Potem Danowi zechciało się siku, więc poturlał się do łazienki. Kiedy zostaliśmy sami Jenny zatroskała się czy Dan sobie poradzi, czy może trzeba mu pomóc.

— Nie, nie — mówię. — Da sobie radę. Potrząsnęła głową i powiada:

— To straszne co z nami zrobiła ta wojna w Wietnamie.

Słusznie gada. Bo to naprawdę smutne, że człowiek bez nóg musi sikać do kapelusza, a potem wylewać zawartość do kibla.

Odtąd zamieszkaliśmy w trójkę. Jenny znalazła taki mały dziecięcy materacyk i zrobiła Danowi miejsce do spania w rogu większego pokoju, a w łazience postawiła słoik, żeby nie musiał lać do kapelusza. Co rano biegła do pracy w fabryce opon, a Dan i ja siedzieliśmy w domu, gadali, a po południu szliśmy do tej knajpki co pierwszego dnia i czekaliśmy na Jenny.

Za drugim czy trzecim razem trafiliśmy na tego faceta, którego pokonałem na ręce. Strasznie nalegał na rewanż. Skoro mu zależało... Potem próbował jeszcze parę razy, stracił w sumie dwadzieścia pięć dolców, no i wreszcie przestał się w knajpie pokazywać. Ale zawsze napatoczył się ktoś inny, kto też chciał próbować szczęścia. Po miesiącu czy dwóch zaczęli specjalnie przychodzić goście z innych dzielnic, a nawet przyjeżdżać z innych miast. Właściciel knajpki powiedział, że urządzi mistrzostwa kraju, ściągnie telewizję i w ogóle. Ale zanim do tego doszło stało się coś innego co zupełnie odmieniło moje życie.

Pewnego dnia zjawił się w knajpie gość w białym garniturze i hawajskiej koszuli i z szyją obwieszoną złotem. Poczekał przy barze aż rozłożę faceta, z którym akurat się siłowałem, a potem dosiadł się do naszego stolika.

— Nazywam się Mike — mówi — i słyszałem o tobie. Dan spytał się go co takiego o mnie słyszał.

— Że ten chłopak to najsilniejszy gość na świecie.

— I co z tego? — pyta się Dan.

— Mam pomysł jak może tarzać się w forsie. Bo tu zarabia gówniane grosze.

— Tak? A co miałby robić?

— Też się mocować, ale nie w tej nędznej budzie, tylko na oczach setek tysięcy widzów.

— Z kim?

— Z zawodowymi zapaśnikami — powiada Mike. — Takimi jak Fenomenalna Maska, Niewiarygodny Siłacz, Śliczny George, Brudny Wieprz. Najlepsi wyciągają sto, dwieście kawałków rocznie. Zaczęlibyśmy powoli. Nauczyli chłopaka różnych chwytów, trików i tak dalej. Jestem pewien, że szybko zostanie gwiazdą i wszystkim nam wpadnie kupa szmału. Dan spojrział na mnie.

— Co ty na to, Forrest? — pyta.

— Nie wiem — mówię. — Myślałem, że wrócę do domu i *zacznę* ten interes z krewetkami.

— Z krewetkami?! — oburzył się Mike. — Chłopie, zarobisz pięćdziesiąt razy więcej na macie niż na gównianych krewetkach! Poza tym nikt ci nie każe siłować się całe życie. Powystępujesz kilka lat, co nieco zarobisz, ulokujesz forszę w banku. Później będzie jak znalazł.

— Muszę spytać się Jenny.

— Słuchaj, to twoja życiowa szansa — przekonuje Mike. — Ale chcę mieć odpowiedź od razu. Jak ci nie pasuje, to się zmywam.

— Nie, poczekaj — mówi Dan i odwraca się do mnie. — Słuchaj, Forrest, to co ten gość gada wcale nie jest takie głupie. No bo skąd weźmiesz forszę na założenie hodowli krewetek?

— Wiesz co? — dodaje Mike — Jak chcesz, możesz zabrać z sobą swojego kumpla. Będzie twoim menażerem. A jak ci się znudzi ta zabawa, zawsze możesz zrezygnować. Więc jak?

Dumałem przez dłuższą chwilę. Pomysł nie był zły, ale jakoś mi to wszystko wyglądało za różowo. W końcu jednak otworzyłem tę swoją durną japę i mrukiem:

— Dobra

I tak zostałem zawodowym zapaśnikiem. Mike miał klub sportowy w samym centrum Indianapolis, więc jeździliśmy tam z Danem dzień w dzień, żebym uczył się zapasowania.

Mówiąc zwięźłowato: chodzi w tym wszystkim o to, żeby nikomu nie działa się krzywda, ale żeby ludzie myśleli, że się dzieje.

Uczyli mnie takich chwytów jak półnelson, wózek, śmigło, krab i różne klucze. A Dana uczyli drzeć mordę na sędziego, żeby był jak największy rwetes.

Jenny nie bardzo się cieszy, że mam być zapaśnikiem. Boi się, że coś mi się stanie. Więc jej mówię, że w tych zapasach nikt nikomu nic nie łamie, bo wszystko jest na niby.

— Więc jaki to ma w ogóle sens? — pyta.

Dobre pytanie. Też nie wiem, ale co tam! Chcę trochę powalczyć i zarobić nieco szmalu.

Pewnego dnia próbują mnie nauczyć takiej sztuczki co się nazywa samolotem. A polega na tym, że jeden facet wdrapuje się na słupek i skacze na drugiego, a tamten leży na deskach i dosłownie w ostatniej chwili odturluje się na bok. Ale coś mi nie wychodzi i parę razy ląduję na gościu zanim ten zdąży uciec. Wreszcie Mike gramoli się do nas na ring.

— Chryste, Forrest, jeszcze mu co zrobisz! — woła zagniewany. — Kretyn jesteś, czy co?

— Tak — potwierdzam.

— Słucham? — on na to.

Więc Dan bierze go na bok i mu tłumaczy.

— O rany! Nie zgrywasz się?

Dan potrząsa łbem. Mike patrzy na mnie, potem wzrusza ramionami.

— No cóż — powiada. — Nie trzeba być geniuszem, żeby się siłować.

Mniej więcej godzinę później pędzi ze swojego biura i woła:

— Mam! Mam!

— Co masz? — pyta się go Dan.

— Ksywkę dla Forresta. Każdy zawodnik ma ksywę. I właśnie wymyśliłem idealną dla Forresta.

— No? — pyta Dan.

— Osioł! Przyczepimy mu wielkie ośle uszy i ośli ogonek! Wierzcie mi, widzowie oszaleją z zachwyty. Dan zastanawia się chwilę.

— Bo ja wiem — mówi w końcu. — Nie bardzo mi się to podoba. Będzie wyglądał jak idiota.

— To tylko taki greps dla widzów — tłumaczy Mike. — Musi się im wyraźnie z czymś kojarzyć. Wszystkie gwiazdy mają ksywy i przebrania. A Osioł to świetne imię!

— Nie mógłby się nazywać Kosmonauta? — pyta Dan. — Bądź co bądź był w kosmosie. Mógłby nosić plastikowy hełm z antenkami.

— Już mamy jednego Kosmonautę — mówi Mike.

— Ten Osioł wciąż mi się nie podoba — mówi Dan. Patrzy na mnie i pyta: — Forrest, co ty na to?

— Mnie to wisi — mówię.

No i tak. Po kilku miesiącach treningu mam wreszcie zadebitować jako zapaśnik. Mike wpadł do klubu dzień przed moją walką i przyniósł pudło, a w tym pudle taką czapkę z wielkimi oślimi uszami i ogonek na gumce. Powiedział, żebyśmy jutro w południe stawili się w klubie to zawiezie nas do Muncie gdzie rozgrywam pierwszy mecz.

Tego wieczora, kiedy Jenny była już w domu, poszłem do łazienki, włożyłem czapkę z uszami, przyczepiłem sobie ogonek i wróciłem do pokoju. Dan siedzi na deskorolce i gapi się w telepudło, Jenny czyta książkę. Jak usłyszeli że wchodzę, oboje podnieśli głowy.

— Olaboga, Forrest, co to? — pyta się mnie Jenny.

— Jego kostium — wyjaśnia Dan.

— Wygląda w tym jak idiota.

— Nie szkodzi — mówi Dan. — Aktorzy też występują w kostiumach.

— Ale przecież wygląda jak idiota! — woła Jenny. — Jak mogłeś się zgodzić, żeby pokazywał się publicznie w czymś takim?!

— Tu chodzi o szmal, Jenny — mówi Dan. — Jest na przykład taki gość co się nazywa Warzywo. Ma przyczepioną do majtek nać rzepy, a na głowę wsadza wydrążony arbuz z wyciętymi na oczy dziurkami. Drugi, który nazywa się Wróżka, ma na plecach skrzydełka, a w rękę różdżkę, choć sukinsyn waży ze sto pięćdziesiąt kilo. Żałuj, że go nie widziałas.

— Nie obchodzi mnie co inni robią. Nie podoba mi się ten kostium i już. Idź się przebrać, Forrest.

Wróciłem do łazienki i włożyłem normalne ciuchy. Może Jenny ma rację, myślę sobie, ale trzeba jakoś zarabiać na życie. Zresztą i tak mam lepiej niż gość, z którym jutro walczę. Facet nazywa się Balas i występuje w trykocie pomalowanym tak żeby wyglądał jak kawał gówna. Byleby tylko nie śmierdział!

19

Umowa jest taka, że w Muncie mam się dać Balasowi rozłożyć na łopatki.

Mike mówi mi o tym dopiero w drodze na występ. Balas jest starym wyżeraczem, a ja żółtyndziobem czy czymś takim, więc pierwszą walkę mam przegrać. Mike uprzedza mnie o tym z góry, żeby potem nie było pretensji.

— Jak można nazywać się Balas?! — dziwi się Jenny.

— Może to prawdziwy gnój! — żartuje Dan.

— Tylko pamiętaj, Forrest — przypomina mi Mike — że wszystko jest na niby. Trzymaj nerwy na wodzy. Chodzi o to, żeby nikomu nie stała się krzywda. I żeby Balas wygrał.

No dobra, przyjeżdżamy do Muncie i wchodzimy do takiej wielkiej hali gdzie odbywają się walki. Pierwszą właśnie trwa: Warzywo siłuje się ze Zwierzem.

Zwierz jest włochaty jak małpa, na oczach ma czarną przepaskę i pierwszą rzecz co robi to zrywa Warzywie arbuz z łba i posyła kopniakiem do ostatnich rzędów. Potem chwyta Warzywo za kark i wali jego łbem w słupek. Potem gryzie go w rękę. Zaczęło mi być żal biedaka kiedy nagle okazało się, że on też zna parę niezłych sztuczek. Wsadził sobie łapę do przystrojonych rzepą gaci, wyciągnął jakąś ohydną maź i przejechał nią Zwierzowi po oczach.

Zwierz zaczął ryczeć; zataczał się i tarł gały, żeby pozbyć się mazi. Wtedy Warzywo zaszedł go od tyłca i kopnął w dupę. A potem pchnął na liny i tak w nie zamotał, że tamten nie mógł się ruszyć. I zaczął walić w niego jak w bęben. Widzowie gwizdali, obrzucali Warzywo papierowymi kubkami, aż się zezłościł i pokazał im na migi co o nich wszystkich myśli. Ciekawy byłem jak to się skończy, ale akurat podszedł do nas Mike i powiedział, że mam iść do szatni i się przebrać, bo następna walka to ja i Balas.

Ledwo wciągnęłam osłe uszy i przypiąłam ogon do majtek kiedy do drzwi rozległo się pukanie.

— Jest tam Osioł? — pyta ktoś.

— Tak! — woła Dan.

— No to wychodźcie, bo już pora.

Więc wyszliśmy i facet prowadzi nas na salę, a potem takim wąskim przejściem na ring. Idzie pierwszy, ja drugi, a za nami toczy się Dan. Balas już czekał. Biegał w kółko po ringu, wykrzywił się do publiczności i — jak Bożię kocham! — w tym swoim zasranym trykocie rzeczywiście wyglądał jak kawałek gówna. Kiedy wdrapałem się na ring sędzia woła nas do siebie.

— Dobra, chłopcy — mówi — macie walczyć czysto! Żadnego wpychania paluchów do oczu, uderzania poniżej pasa, drapania i szczypania. Zrozumiano?

— Aha — mrukłem i skinąłem łbem.

Balas nic nie powiedział tylko wlepił we mnie wściekły wzrok.

Rozległ się dzwonek i zaczęliśmy krążyć wokół siebie. Balas chciał mi podstawić nogę, ale mu nie wyszło, więc skorzystałem z okazji, chwyciłem go za ramię i popchłem na liny. Wysmarował się skurczybyk jakimś śliskim gównem, żeby trudniej go było przytrzymać. I było trudniej. Kiedy próbowałem złapać go wpół wysliznął mi się jak piskorz. Myślałem, że chociaż złapię go za rękę, ale gdzie tam! Zarechotał i zadowolony z siebie wyszczerzył paskudnie zęby.

Potem rozpedził się i chciał mnie walnąć z byka w brzuch, ale odskoczyłem w bok, a on wpadł między liny, przeleciał przez nie i wylądował w pierwszym rzędzie. Publiczność zaczęła gwizdać. Balas chwycił składane krzesło i wgramolił się z powrotem na ring. Patrzę kurde, a

on zamierza mnie tym krzesłem zdzielić. Nie miałem czym się zasłonić, więc zaczęłem siepnąć. Rzucił się za mną, dogonił i rąbnął krzesłem przez plecy. Bolało jak cholera. Chciałem mu wyrwać krzesło, ale walnął mnie nim w łeb, a że stałem w rogu nie bardzo miałem gdzie dać dyla. Potem drań kopnął mnie w kostkę, a jak się pochyliłem żeby rozetrzeć bolące miejsce, kopnął w drugą.

Dań siedzi na skraju ringu za linami i drze się na sędziego, żeby kazał Balasowi odłożyć krzesło, ale bez skutku. Skurczybyk uderzył mnie nim jeszcze ze cztery czy pięć razy, a jak upadłem przysiadł sobie na mnie, złapał za włosy i zaczął walić moją łepetyną w deski. Potem — jakby tego było mało — zaczął łamać mi palce. Spojrzałem na Dana i wołam:

— Kurde flaki, co on ze mną wyprawia?!

Dań próbuje przedostać się przez liny, ale Mike chwyta go za kołnierz i ciągnie z powrotem na miejsce. Wreszcie rozlega się dzwonek i wracam do narożnika.

— Słuchajcie — mówię — ten sukinsyn próbuje mnie zabić, wali moim łbem w deski i w ogóle. Muszę coś zrobić!

— Musisz przegrać i tyle — mówi Mike. — On nie chce ci zrobić krzywdy, po prostu stara się, żeby walka ciekawie wyglądała.

— Ja to widzę inaczej — powiadam.

— Wytrzymaj jeszcze parę minut, potem rozłoży cię na łopatki i będzie po krzyku. Pamiętaj, dostaniesz pięćset dolców, ale musisz przegrać!

— Jak mnie jeszcze raz zdzieli tym krzesłem, to za nic nie ręcę — mówię.

Spoglądam na Jenny. Siedzi na widowni, minę ma smutną i jakby zawstydzoną. Zaczynam myśleć, że może te zapasy to był zły pomysł.

W każdym razie rozlega się dzwonek i znów ruszam do walki. Balas wyciąga łapę, żeby mnie chwycić za włosy, a wtedy jak go nie palnę! Zakręcił się jak bąk i zwałił na liny. Złapałem go wpół i podniosłem do góry, ale wyśliznął mi się i spadł na dupę. Zaczął jęczeć, narzekać, rozcierać tyłek i zanim się pokapowałem co się dzieje, jego menażer podał mu przepychacz do zlewu. Balas poderwał się i zaczął mnie okładać po łepetynie. Wyrwałem mu z łapy przepychacz, złamałem na kolanie i już chciałem się rzucić na łobuza, ale widzę, że Mike potrząsa głową. No dobra, skoro mam przegrać pozwalam, żeby Balas wykręcił mi rękę.

O mało jej skurwiel nie złamał! Potem przewrócił mnie na deski i zaczął walić łokciem w mózgownicę. Widziałem jak Mike się przygląda i z zadowoleniem kiwa głową. Po chwili Balas wstał, parę razy kopnął mnie w żebra, w brzuch, znów chwycił krzesło i z dziesięć razy zdzielił mnie nim w łeb, a na koniec rąbnął kolaniem w nerkę. A ja to wszystko musiałem spokojnie znosić!

Leżałem nieruchomo, on usiadł mi na łbie, sędzia policzył do trzech i koniec — było po walce. Balas zlął i splunął mi w twarz. Serce mi się ścisło i nie wiedziałem co zrobić, więc w końcu się rozbeczałem.

Balas obkręzał dumnie ring. Dan podturlał się i wytarł mi ręcznikiem pysk, potem zjawiała się Jenny, zaczęła mnie obejmować i też beczeć, a tłum wył i krzyczał i rzucał na ring różne śmiecie.

— Chodźcie, spływamy stąd — powiedział Dan. Tymczasem Balas podleciał do nas, wywalił jęzor i zaczął stroić ohydne miny.

— To imię pasuje do ciebie jak ulał! — zawołała do niego Jenny. — Na sam twój widok robi się człowiekowi niedobrze!

Mógłbym powiedzieć to samo. Nigdy w życiu nie czułem się taki upokorzony.

Jazda do Indianapolis przebiega dość ponuro. Dan i Jenny nic nie mówią, a ja siedzę z tyłu obolały i potłuczony.

— To był wspaniały występ, Forrest — mówi Mike. — Ale najbardziej podobał się wszystkim ten numer na końcu, kiedy się rozplakałeś!

- To nie był żaden numer — wyjaśnia Dan.
- Psiakość... — mówi Mike. — Słuchaj, mały, ktoś zawsze musi przegrać. Ale wiesz, co? Następnym razem tak to ustawimy, że ty wygrasz. Dobra? Co wy na to, chłopaki?
- Myślę, że nie będzie żadnego następnego razu — mówi Jenny.
- Przecież zarobił dziś kawał szmalu, nie?
- Pięćset dolarów za to, że ktoś ci łamie kości, to nie taki złoty interes — mówi Jenny.
- To był dopiero jego pierwszy występ. Za drugi dostanie sześćset.
- Tysiąc dwieście — wtrąca Dan.
- Dziewięćset.
- I walczy bez tych idiotycznych uszu — mówi Jenny.
- Nie. Kibicom podobało się przebranie — mówi Mike.
- A ty jak byś się czuł w czymś takim? — pyta się Dan.
- Nie jestem idiotą — oburza się Mike.
- Lepiej się zamknij! — naskoczył na niego Dan.

Ale Mike dotrzymał słowa. Następnym razem walczyłem z gościem, który się nazywał Człowiek-Mucha. Na gębie miał maskę z wielkimi wylupiastymi ślepiami i z takim rykiem jak u muchy. Porzucałem sobie faceta po ringu, potem usiadłem mu na łbie i dostałem za to dziewięćset dolców. W dodatku widzowie klaskali i krzyczeli: „Brawo Osio! Brawo Osio!” Całkiem mi się podobało.

Następnie stoczyłem walkę z Wrózką i nawet mi pozwolili, żebym złamał mu na łbie tę jego różdżkę. Potem walczyłem jeszcze z kilkoma facetami i wkrótce zdołaliśmy, znaczy się Dan i ja, odłożyć pięć tysięcy dolców na ten interes z krewetkami. I wiecie co? Stałem się bardzo popularny. Baby pisały do mnie listy i wszyscy kupowali ośle uszy; szły jak gorące bułeczki. Czasem wchodzę na ring, patrzę, a na sali siedzi pięćdziesiąt albo i sto osób z oślimi uszami, biją mi brawo, drą się i krzyczą: „Osio! Osio!” Aż mi się ciepło robiło na sercu.

Z Jenny też układa mi się nieźle tylko te zapasy jej przeszkadzają. Wieczorem jak wraca do domu robimy sobie kolację, a potem siedzimy w trójkę i gadamy o hodowli krewetków. Wymyśliliśmy to sobie tak, że pojedziemy do Bayou La Batre skąd pochodził biedny Bubba i kupimy kawał bagna nad Zatoką Meksykańską. Potem kupimy drucianą siatkę i sieci i małą łódkę i żarcie dla krewetków i kupę innych rzeczy. Dan mówi, że musi nam również starczyć forsy na mieszkanie i jedzenie dla nas, bo przecież nie od razu będą zyski. No i na jakiś samochód czy coś, żeby przewozić krewetki do skupu. Uważa, że na pierwszy rok pięć tysięcy powinno wystarczyć, a potem jakoś sobie poradzimy.

Ale jest kłopot z Jenny. Jenny mówi, że skoro pięć tysięcy starczy a tyle mamy, to powinniśmy spakować manatki i ruszać w drogę. Niby ma rację, ale nie jestem całkiem gotów do wyjazdu.

Chodzi o to, że odkąd grałem z tymi palantami z Nebraski na stadionie Orange Bowl właściwie nie miałem poczucia, że coś w życiu naprawdę osiągnęłam. No, może jeszcze wtedy jak grałem w ping-ponga w Chinach, ale to trwało krótko — parę tygodni. A teraz w każdy sobotni wieczór wychodzę na ring i słyszę huragan braw. Ludzie mnie oklaskują i nic ich nie obchodzi, że jestem idiota.

Kurde, żebyście słyszeli te brawa, kiedy pokonałem Bankiera! Facet miał poprzyklejane do ciała studolarowe banknoty. Albo kiedy założyłem wózek na Pancernika i zdobyłem pas i tytuł mistrza Wschodniego Wybrzeża. Albo kiedy walczyłem z Herkulesem, który ważył dwieście kilo, ubrany był w lamparcią skórę i miał manczugę z masy papierowej.

Któregoś dnia Jenny wraca z pracy i mówi:

— Forrest, musimy poważnie porozmawiać. Wyszliśmy na spacer nad taki mały strumyk i usiedliśmy nad wodą.

— Forrest, chyba już czas najwyższy skończyć z zapasami.

— Dlaczego? — pytam się chociaż wiem co mi powie.

— Bo mamy prawie dziesięć tysięcy dolarów, dwa razy więcej niż potrzeba na rozkręcenie interesu. Nie rozumiem, dlaczego upierasz się, żeby walczyć co sobota i robić z siebie idiotę.

— Nie robię z siebie idioty — mówię. — A walczę, bo jestem to winien kibicom. Oni za mną szaleją. Nie mogę tak po prostu odejść.

— Gówno prawda — mówi Jenny. — Nikomu nic nie jesteś winien, a ci twoi kibice to banda pomyleńców! Tylko pomyleńcy płaciliby forszę za oglądanie takich głupot. Co to za pomysł, żeby dorośli faceci uganiali się po ringu w idiotycznych przebraniach i udawali, że łamią sobie gnaty! I żeby nazywali się Warzywo, Balas czy Osioł, tak jak ty?

— Co w tym złego? — pytam.

— Myślisz, że mi przyjemnie, że facet, którego kocham, jest powszechnie znany jako Osioł i w każdą sobotę publicznie robi z siebie pośmiewisko? I że w dodatku transmituje to telewizja?

— Ale telewizja mi płaci — mówię.

— Mam gdzieś ich forszę! — woła Jenny. — Po co nam więcej forsy!

— Jak to po co? Przecież każdy chce mieć więcej forsy.

— Ale nie jest nam do niczego potrzebna — mówi Jenny. — Chciałabym, żebyśmy mogli sobie żyć spokojnie, żebyś ty miał normalne zajęcie, takie jak choćby ta hodowla krewetek. Żebyśmy mieszkali w domku z ogródkiem, mieli psa, może dzieci... Trochę się otarłam o sławę, kiedy śpiewałam ze Zbitymi Jajami i coś ci powiem. Wcale nie byłam szczęśliwa. Psiakrew, Forrest, niedługo skończę trzydzieści pięć lat. Chcę się ustabilizować...

— Słuchaj — mówię — to ode mnie powinno zależeć kiedy mam rzucić zapasy, nie? Nie będę się przecież wiecznie siłował, ale chciałbym jeszcze trochę powalczyć.

A Jenny na to:

— W porządku, ale uprzedzam, że ja z kolei nie będę wiecznie na ciebie czekała. Nie wierzyłem, że mówi serio.

20

Po tej rozmowie stoczyłem dwie walki i oczywiście obie wygrałem, a potem któregoś dnia Mike wezwał mnie i Dana do swojego biura.

— Słuchaj, Forrest — mówi — w sobotę będziesz walczył z Profesorem.

— Co to za jeden? — pyta Dan.

— Z Kalifornii. Jest tam prawdziwą gwiazdą, zdobył tytuł mistrza Zachodniego Wybrzeża.

— W porządku — mówię. — Mogę z nim walczyć.

— Ale jest pewien haczyk — powiada Mike. — Tym razem, Forrest, musisz przegrać.

— Przegrać?

— Przegrać — powtarza Mike. — Słuchaj, wygrywasz co sobota od wielu miesięcy. Nie wiesz, że czasem trzeba przegrać, żeby nie stracić popularności?

— Jak to?

— Ludzie nie lubią, jak ktoś ciągle wygrywa. Proste jak drut. Następnym razem bardziej będą cię oklaskiwać.

— Nie podoba mi się — mówię.

— Ile dostanie? — pyta się Dan.

— Dwa tysiące zielonych.

— Nie podoba mi się — powtarzam.

— Dwa tysiące to kupa szmalu — mówi Dan.

— Ale i tak mi się nie podoba.

Jednak się zgodziłem.

Jenny dziwnie się ostatnio zachowuje, ale myślę, że to nerwy albo co. Pewnego dnia wraca do domu i mówi:

— Forrest, ja już nie daję rady. Proszę cię, nie walcz więcej, dobrze?

— Muszę. Umówiłem się na sobotę. Mam przegrać...

— Przegrać?

Więc jej wszystko tłumaczę, tak jak mi to tłumaczył Mike, a wtedy ona:

— Niech cię gęś kopnie, Forrest, tego już za wiele!

— To moje życie! — mówię chociaż sam dobrze nie wiem o co mi chodzi.

Dzień czy dwa później Dan wraca z miasta i mówi, że musimy o czymś pogadać.

Pytam się co jest grane.

— Myślę, że faktycznie czas się wycofać — mówi. — Po pierwsze Jenny się wścieka, a po drugie chyba już pora rozkręcić ten krewetkowy interes... W dodatku mam pomysł jak to zrobić, to znaczy wycofać się, a przy okazji nieco się obłowić.

— Jak?

— Rozmawiałem na mieście z takim jednym gościem. Facet jest bukmacherem. Wszyscy już wiedzą, że w tę sobotę przetrzujesz z Profesorem.

— No więc?

— No więc co by było, gdybyś wygrał?

— Wygrał?

— Rozłożył go na łopatki!

— To by było, że Mike byłby zły — mówię.

— Pieprz Mike'a! — Dan na to. — Słuchaj, pomysł jest taki. Bierzemy nasze dziesięć tysięcy dolców i stawiamy na ciebie, dwa do jednego. Jak złoisz tyłek Profesorkowi, będziemy mieli dwadzieścia patoli! Co ty na to?

— Ale wtedy Mike mnie się dobierze do tyłka..

— E tam! Weźmiemy forszę i w nogi. Zwiejemy z miasta — przekonuje mnie Dan. — Wiesz, co to znaczy dwadzieścia patoli?! Założymy interes z krewetkami i jeszcze nam zostanie kupa szmalu. Zresztą i tak już najwyższy czas, żebyś dał sobie z tym spokój.

Myślę sobie: Dan jest moim menażerem, Jenny też mówiła, że powinienem wycofać się z zapasów, w dodatku dwadzieścia patoli piechotą nie spaceruje.

— Więc jak?

— Zgoda — mówię. — Zgoda.

Nadchodzi wielki dzień. Walka z Profesorem ma się odbyć w Fort Wayne. Mike przyjechał po nas samochodem, jest na dole i trąbi, żebyśmy schodzili. Pytam się Jenny czy jest gotowa.

— Nie jadę. Obejrzę wszystko w telewizji.

— Musisz jechać — mówię i proszę Dana, żeby wyjawiał jej nasz plan.

Więc Dan wyjaśnia cośmy postanowili i tłumaczy jej, że musi jechać, bo inaczej kto nas odwiezie do Indianapolis jak rozłożę Profesorka?

— Żaden z nas nie prowadzi — mówi — a ktoś powinien czekać w wozie pod halą, żebyśmy mogli szybko wrócić po wygrany szmal, a potem dać dyla z miasta.

— Nie chcę mieć z tym nic wspólnego — powiada Jenny.

— Przecież to dwadzieścia patoli! — wołam.

— Tak, ale nieuczciwie zarobionych — mówi Jenny.

— A to, że zwycięstwa i porażki są z góry ukartowane, jest uczciwe? — pyta Dan.

— Nie jadę — powtarza Jenny.

Mike znów trąbi.

— Dobra — mówi Dan. — Zobaczymy się, kiedy będzie po wszystkim.

— Powinniście się wstydić! — woła za nami Jenny.

— Ciekawe, czy na widok dwudziestu patoli nadal będziesz zadzierać nosa? — odburkuje Dan. I ruszamy w drogę.

W czasie jazdy do Fort Wayne siedzę cicho jak trusia pod miotłą, bo mi łyso że zamierzamy okantować Mike'a. Nie tratował mnie źle, ale z drugiej strony — jak to zauważył Dan — zarobił na mnie kupę szmalu, więc w sumie wyjdziemy na remis.

Kiedy wchodzimy na salę piersza walka już trwa: Wróżka daje w kość Herkulesowi. Potem mają się napażać cztery karlice. Schodzimy do szatni i wkładam kostium. Dan tymczasem każe komuś zadzwonić i zamówić taksówkę, żeby czekała z włączonym silnikiem.

Walą w moje drzwi, że pora ruszać. Profesor i ja stanowimy główną atrakcję wieczora.

No dobra. Profesor, mały żyłasty facecik z brodą i w okularach, jest już na ringu. Ma czarną plererynę i płaską kwadratową czapkę. Myślę sobie: każę ci ją zeżreć zanim z tobą skończę. I włączę na ring.

— Panie i panowie — zaczyna konferensjer. Natychmiast rozlegają się krzyki i gwizdy. — Z prawdziwą przyjemnością zapowiadam główną atrakcję dzisiejszego wieczoru, walkę między Profesorem i Osłem o tytuł Mistrza Zawodowej Federacji Zapaśniczej Ameryki Północnej!

Ludzie wyją i krzyczą tak głośno, że nawet nie wiem czy się cieszą czy złością. Ale nie mam czasu nad tym dumać, bo dzwoni dzwonek i zaczyna się walka.

Profesor zdjął plererynę, okulary i czapkę, krąży wokół ringu i wygraża mi paluchem jak niegrzecznemu uczniowi albo co. Próbuje go złapać, ale odskakuje i dalej mi grozi.

Trwa to, nie wiem, minutę czy dwie i nagle Profesor robi błąd. Chciał mnie zająć od tyłu i kopnąć w tyłek, ale zanim zdążył chwyciłem go za ramię i popchłem na liny. Odbił się jak gumowa piłka. Wtedy podstawiłem mu nogę i — bach! — rozłożył się jak długi. Rzuciłem się na niego całym ciężarem, ale jakoś zdołał się odsunąć, poderwać i pobiec do

swojego rogu. Kiedy podniosłem głowę trzymał w łapie linijkę.

Walił się nią po otwartej dłoni jakby zaraz miał mi złoić skórę, ale kiedy podeszłem bliżej dźgnął mnie w oko jakby chciał je wydłubać. Bolało do stu diabłów i przez chwilę nic nie widziałem. Zanim skapowałem się co jest grane facet zaszedł mnie od tyłca i wrzucił mi coś do gaci. Wkrótce się przekonałem co: mrówki! Nie wiem skąd je wziął, ale małe cholery wgrzyły się we mnie jakby od miesiący nic nie żarły. Nie było mi wcale do śmiechu.

Dań krzyczy, żebym wykończył gościa, ale to nie takie łatwe jak ma się gacie pełne mrówek. Na szczęście rozległ się dzwonek, runda się skończyła i wróciłem do narożnika. Dan zaczął wydłubywać mrówy.

— To była podła sztuczka — mówię.

— Wykończ go czym prędzej — radzi mi Dan. — Nie możemy ryzykować!

Dobra, druga runda. Profesor krzywi się, robi głupie miny. Potem nieopatrznościowo podchodzi za blisko. Chwytam go, podnoszę do góry i wykonuję śmigło.

Zakręciłem nim z pięćdziesiąt razy aż mu wszystko wirowało w mózgownicy, po czym cisłem go nad linami prosto w widzów. Wylądował w piątym czy szóstym rzędzie na kolanach starszej paniusi co robiła sweter na drutach. Baba się wkurzyła i zaczęła okładać go po łbie parasolką.

Świetnie, myślę sobie, ale kłopot w tym że od tego śmigła mnie też zakręciło się w czubie. Wszystko wiruje mi przed oczami, ale zbytnio się nie przejmuję. Po pierwsze wiem, że zaraz przestanie, a po drugie załatwiłem Profesora tak, że mucha nie siada. Niestety okazało się, że siada.

Już prawie widzę wszystko normalnie kiedy nagle czuję jak coś mnie chwyta za kostki u nóg. Cholera jasna! Patrzę w dół i co widzę? Profesor wgramolił się z powrotem na deski, w dodatku buchnął paniusi kłębek wełny i teraz wiąże mi nogi.

Próbuję się uwolnić, ale on gania dookoła z tą wełną i oplata mnie jak mumię. Po chwili nie mogę się ruszyć ani nic. Profesorek zawiązał końce wełny na kokardkę, po czym stanął przede mną i uklonił się jak magik co wykonał sprytną sztuczkę.

Następnie pobiegł do swojego rogu skąd przytachał wielką książkę — nie wiem, encyclopedię czy co — i znów się skłonił. A potem jak nie walnął mnie tomiskiem w łeb! Nie mogłem się ruszać, a on walił mnie i walił, pewno z dziesięć razy, zanim wreszcie osunąłem się ring. Leżę i słyszę jak wszyscy wrzeszczą. Profesor przysiadł na mnie, przycisł moje ramiona do desek — i wygrał walkę.

Mike z Danem weszli na ring, odwiązali wełnę i pomogli mi wstać.

— Wspaniale! — woła Mike. — Po prostu wspaniale! Sam bym tego lepiej nie wyreżyserował!

— Och, zamknij się — mówi Dan i zwraca się do mnie: — Nie ma co, ładnie się spisałeś! Żeby dać się przechytrzyć pieprzonemu Profesorkowi...

Nic nie mówię. Czuję się jak zbity pies. Straciliśmy cały majątek i wiem, że już nigdy więcej nie będę walczył na ringu. Starczy.

Skoro sprawy potoczyły się tak a nie siak taksówka nie była nam potrzebna i wróciliśmy do Indianapolis wozem Mike'a. Przez całą drogę Mike gada jak nakręcony, cieszy się że tak kapitalnie przerznąłem walkę i obiecuje, że następnym razem znów wygrani i zarobimy góry szmalu.

Kiedy stajemy przed domem wręcza Danowi kopertę z dwoma tysiącami dolarów co je miałem obiecane.

— Nie bierz — mówię do Dana.

— Co? — dziwi się Mike.

— Słuchaj — mówię mu — chcę ci coś powiedzieć.

— Chce ci powiedzieć, że nie będzie więcej walczył — wtrąca szybko Dan.

— Chyba żartujesz? — pyta Mike.
— Nie, wcale nie żartuję — odpowiada Dan.
— Ale dlaczego? — dopytuje się Mike. — O co chodzi, Forrest?
Zanim zdążyłem otworzyć japę Dan już za mnie odpowiedział:
— On nie chce teraz o tym rozmawiać.

— W porządku — mówi Mike. — Pogadamy, jak się wyśpisz. Wpadnę do was z samego rana, dobra?

— Dobra — mówi Dan i wysiadamy.
— Trzeba było nie brać tej forszy — mówię do Dana jak Mike odjechał.
— Cholera, przecież to wszystko co nam zostało. Nic więcej nie mamy.

Dopiero kiedy weszliśmy na górę przekonałem się, że to szczerza prawda. Bo Jenny też nie było. Znikły wszystkie jej *rzeczy*, zostawiła nam tylko trochę pościeli, ręczników, parę talerzy, garków i innych takich. Na stole leżał list. Dan pierwszy go zobaczył i przeczytał na głos. A pisało tak:

Kochany Forrest!

Nie mogę tego dłużej znieść. Kilka razy próbowałam Ci powiedzieć, co czuję, ale zachowywałeś się tak, jakby moje uczucia nic Cię nie obchodziły. To, co zamierzasz dziś zrobić, jest złe i nieuczciwe, i dlatego odchodzę — niestety, miarka się przebrała.

Może to moja wina, przynajmniej częściowo, bo jestem w tym wieku, kiedy dziewczyna pragnie się ustatkować. Chcę mieć dom, rodzinę, chodzić do kościoła i żyć tak jak inni ludzie. Znamy się od pierwszej klasy, Forrest, już blisko trzydzieści lat. Na moich oczach wyrosłeś na wspaniałego, silnego mężczyznę, a kiedy przyjechałeś do mnie do Bostonu i zrozumiałam co do Ciebie czuję, byłam najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

Potem zacząłeś palić za dużo trawy, do tego doszły te małolaty w Provincetown... ale mimo to tęskniłam za Tobą i ucieszyłam się, kiedy przyjechałeś do Waszyngtonu, żeby się ze mną zobaczyć.

No a potem... potem wystrzelili Cię w kosmos i spędziłeś prawie cztery lata w dżungli. Sama nie wiem, ale chyba zmieniłam się przez ten czas. Nie mam już tak wielkich aspiracji jak kiedyś; teraz wystarczyłoby mi do szczęścia zwykłe, spokojne życie. Muszę je sobie zbudować.

Ty też się zmieniłeś, najdroższy. I trudno, nic na to nie poradzimy. Zawsze byłeś inny od wszystkich, ale teraz coraz rzadziej patrzymy na świat tak samo.

Płaczę, kiedy piszę te słowa, ale musimy się rozstać. Proszę Cię, nie szukaj mnie. Życzę Ci jak najlepiej, najdroższy. Żegnaj.

Całuję Cię bardzo mocno,
Jenny

Dan podał mi list, ale pozwoliłem, żeby upadł na podłogę. Stałem sztywno jak kołek i po raz pierwszy w życiu naprawdę czułem się jak idiota.

21

Było mi źle. Oj, jak źle!

Spędziliśmy te noc w mieszkaniu Jenny, ale nazajutrz rano spakowaliśmy manele, bo nie było po co tkwić dłużej w Indianapolis. Przed wyjściem Dan podchodzi do mnie i wpycha mi do łapy dwa tysiące dolarów, które dostał od Mike'a za moją walkę z Profesorem.

— Masz, Forrest, to twoje — mówi.

— Nie chcę.

— Weź, bo to wszystko, co mamy.

— Nie, ty zatrzymaj.

— To weź przynajmniej połowę. Forsa przyda ci się choćby na bilet. Inaczej nie dojedziesz tam, gdzie chcesz.

— A ty nie jedziesz ze mną? — pytam się go.

— Nie, Forrest — odpowiada. — Chyba już dość nabruździłem. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Myślałem o tym, jak namówiłem cię do postawienia całych oszczędności na tę jedną walkę i jak wciąż namawiałem cię do walczenia, mimo że Jenny odchodziła od zmysłów. To nie twoja wina, że przegrałeś z Profesorem. Robiłeś, co mogłeś. To wszystko moja wina. Jestem do niczego.

— Ech, nie gadaj bzdur. Gdyby woda sodowa nie uderzyła mi do łba i nie byłbym taki łasuch na oklaski nie bylibyśmy teraz w dołku.

— To już nie ma znaczenia — powiada Dan. — Ale wiem jedno: nie chcę być ci dłużej kłodą u nogi. Piecz własną pieczeń. Zapomnij o mnie. Jestem do niczego.

Gadaliśmy i gadaliśmy, ale nie dał się przekonać. W końcu zniosłem go na dół po schodach i patrzyłem jak oddala się ulicą na deskorolce trzymając na kolanach swoje ciuchy i inne bambetle.

Poszłem na dworzec autobusowy i kupiłem bilet do Mobile. Miałem jechać przez dwa dni i trzy noce, przez Louisville do Nashville, stamtąd do Birmingham i dalej do Mobile. I wsiadłem do autobusu, biedny nieszczęśliwy idiota.

Minęliśmy w nocy Louisville a w ciągu dnia dojechaliśmy do Nashville. Czekala mnie tu przesiadka, ale miałem jeszcze trzy godziny czasu, więc postanowiłem się przejść. Kupiłem kanapkę i szklankę mrożonej herbaty i idę sobie ulicą kiedy nagle widzę przed hotelem duży napis:

WITAMY UCZESTNIKÓW WIELKIEGO TURNIEJU SZACHOWEGO

Zaciekawiło mnie to, bo w dżungli ciągle grałem w szachy z Dużym Samem. No więc wchodzę, kurde, do środka. Turniej odbywa się w sali balowej, dookoła stoi tłum i się przygląda, ale wstęp kosztuje pięć dolców a mnie szkoda forsy. Chwilęostałem w drzwiach, a potem usiadłem sobie w holu.

Naprzeciw mnie siedział pomarszczony staruszek w czarnym garniturze, getrach, z muchą pod szyją. Przed sobą na stoliku miał szachownicę.

Raz na jakiś czas przesuwiał figury, więc w końcu się skapowałem, że gra w pojedynek. Miałem jeszcze godzinę do odjazdu autobusu, więc spytałem go czy nie chce rozegrać normalnej partii. Nic nie powiedział tylko łypnął na mnie gniewnie i znów wlepił gały w szachownicę.

Wpatrywał się w nią z pół godziny, po czym przestawił gońca białych. Już miał oderwać rękę kiedy nie wytrzymałem:

— Przepraszam...

Podskoczył jakby usiadł na pinesce i spiorunował mnie wzrokiem.

— Przepraszam — mówię — ale jak pan wykona ten ruch, straci pan skoczka a potem królową i znajdzie się w niezłych upałach!

Przeniósł oczy na szachownicę, ale nie oderwał ręki od gońca. Po chwili cofnął go na poprzednią pozycję.

— Chyba ma pan rację.

Znów zaczął dumać na ruchem, a ja pomyślałem sobie, że czas wracać na dworzec autobusowy. Zaczęłem się zbierać kiedy nagle staruszek powiada:

— Tak, przyznaję, to była bardzo wnikliwa uwaga. Kiwnąłem makową.

— Najwyraźniej umie pan grać w szachy... Może zechciałby pan dokończyć tę partię ze mną? Niech pan gra dalej białymi.

— Nie mogę — mówię, bo muszę zdążyć na autobus, no nie?

Staruszek skinął głową i pożegnał mnie ruchem dłoni.

Wróciłem na dworzec. Ale zanim doszedłem ten głupi autobus wziął i odjechał, a następny jest dopiero jutro. Kurde Balas, zmówiło się wszystko przeciw mnie czy co? Ale dobra, mam kupę czasu do zabicia, całe dwadzieścia cztery godziny, więc wędruję z powrotem do hotelu. Staruszek wciąż gra sam z sobą i najwyraźniej wygrywa. Kiedy podniósł wzrok i mnie zobaczył, dał znać żebym klapł naprzeciwko niego. Sytuacja białych była pożał się Boże — straciły połowę pionków, jednego gońca i obie wieże; tylko patrzeć jak im czarne załatwią hetmana.

Trwało prawie z godzinę zanim wykaraskałem się z tarapatów, no a potem krok po kroku zacząłem wygrywać. Staruszek mruczał i potrząsał głową. Wreszcie zastawiłem na niego pułapkę, a on dał się zwabić. Trzy ruchy i mat.

— A niech mnie kuje biją! — zawołał. — Kim pan jest? Więc mu się przedstawiłem.

— Nie, nie chodzi mi o pańskie nazwisko, tylko o to gdzie pan dotąd grywał. Bo chyba nigdy pana nie widziałem... Wyjaśniłem mu, że na Nowej Gwinei.

— Wielkie nieba! Nie grał pan nawet w turniejach regionalnych?

Potrząsałem głową.

— Jestem byłym międzynarodowym arcymistrzem... Pan zaczął grać białymi, które absolutnie nie miały szansy wygrać, a jednak rozniósł mnie pan w pył!

Spytałem się go dlaczego nie gra w sali balowej z innymi.

— Och, kiedyś grywałem — odparł. — Ale mam już prawie osiemdziesiąt lat i teraz grywam najwyżej w turnieju seniorów. Prawdziwa chwała przypada młodym. Mają sprawniejsze umysły.

Skinąłem głową, podziękowałem za partię i wstałem.

— Jadł pan kolację? — pyta nagle staruszek. Mówię że nie, ale kilka godzin temu jadłem kanapkę.

— To może zje pan ze mną? Niech mi będzie wolno przynajmniej w ten sposób zrewanżować się za wspaniałą partię.

Zgodziłem się i przeszliśmy do restauracji hotelowej. Staruszek okazał się całkiem sympatyczny. Nazywał się pan Tribble.

— Słuchaj, młodzieńcze — mówi pan Tribble podczas kolacji — musielibyśmy rozegrać kilka partii, żebyśmy się upewnił, czy dziś nie wygrałeś ze mną fuksem, ale jeśli nie, to jesteś największym nieznanym talentem szachowym, jaki może istnieć. Chciałbym wystawić cię w jednym czy w dwóch turniejach i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Mówię, że jadę do domu, bo chcę założyć hodowlę kreweteków.

— Ale to może być twoja życiowa szansa, Forrest — on na to. — Mógłbyś całkiem sporo zarobić jako szachista.

Dodał, żebyśmy się zastanowili przez noc i dał mu znać rano. Potem uściśliśmy sobie ręce

i wyszłem na ulicę.

Pochodziłem sobie trochę, ale w Nashville nie ma wiele do oglądania, więc w końcu klapłem na ławce w parku. Myślenie nie jest moją mocną stroną, ale chciałem się nad wszystkim dobrze zastanowić. Gównie dumałem o Jenny, gdzie się podziewa i w ogóle. Prosiła, żeby jej nie szukać, ale gdzieś tak w głębi czuję, że mnie całkiem nie skreśliła. Wiem, że zachowałem się jak idiota. Niby chciałem dobrze, ale zrobiłem źle. No i teraz nie wiem co dalej. Bo z jednej strony nie mam ani grosza a przecież golec nie otworzy żadnej hodowli krewetków, z drugiej strony pan Tribble mówi, że mógłbym zarobić trochę forsy na grze w szachy. Tyle że za każdym razem jak próbuję coś nowego zamiast po prostu wrócić do domu i rozkręcić ten mój interes, okazuje się że wpychani paluch między drzwi — a potem znów muszę główkować.

Główkowałem i główkowałem aż przyszedł policjant i pyta się co robię.

Mówię że nic, że siedzę i myślę, a on na to, że nie wolno po nocy siedzieć i myśleć w parku, mam się wynosić i już. Ruszyłem ulicą, a on za mną. Nie wiedziałem gdzie iść, więc po jakimś czasie wszedłem w boczną alejkę i znów sobie klapłem, bo od tego łożenia rozboleły mnie nogi. Nie zdążyłem nawet odpocząć jak napatoczył się ten policjant.

— Chodź tu — mówi. Dobra. Wstałem i podeszłem.

— Co robisz? — pyta się.

— Nic — odpowiadam.

— Właśnie tak myślałem — oświadczył i aresztował mnie za włóczęgostwo.

Zabrał mnie na komisariat, wpakował do celi, a rano powiedzieli mi, że mam prawo do jednej rozmowy telefonicznej. Oczywiście nie znałem tu nikogo poza panem Tribble, więc zadryndałem do niego. Zjawił się po półgodzinie i mnie stamtąd zabrał.

Potem zamówił dla mnie w hotelu ogromne śniadanie i mówi:

— Słuchaj. W przyszłym tygodniu odbędzie się w Los Angeles międzynarodowy turniej. Może byś wystartował, co? Główna nagroda wynosi dziesięć tysięcy dolarów. Chętnie zostanę twoim trenerem i doradcą. Pokryję wszystkie wydatki, a jeśli ci się powiedzie, podzielimy się wygraną. Wygląda na to, że przydałoby ci się trochę grosza, a dla mnie byłaby to przyjemna rozrywka. Co ty na to?

Wciąż miałem wątpliwości, ale pomyślałem sobie: co mi szkodzi spróbować? Więc powiedziałem dobra, jakiś czas mogę pograć. Póki nie zbiorę forsy na hodowlę krewetków. Znów uściśliśmy sobie ręce i zostali wspólnikami.

Los Angeles to było coś! Przyjechaliśmy kilka dni wcześniej; z początku pan Tribble myślał, że będzie ze mną grał od rana do wieczora, żeby mnie trochę podszkolić, ale potem pokiwał łepetyną i powiedział, że to bez sensu, no bo czego ma mnie uczyć jak ja mam wszystko w małym palcu. Więc zamiast grać poszliśmy w miasto.

Najpierw pan Tribble zabrał mnie do Disneylandu i dał mi pojeździć na karuzeli, kolejce górskiej i diabelskim młynie, a potem pojechaliśmy zwiedzić studio filmowe. Kręcą tu pełno różnych filmów i różni ludzie cały czas ganiają wkoło i krzyczą „ujęcie takie-albo-siakię!”, „cięcie!”, „kamera!” i tym podobne rzeczy. Akurat kręcili western, więc staliśmy sobie i patrzyli jak jednego gościa z dziesięć razy rzucali przez szybę wystawową aż wreszcie się nauczył ładnie ją tłuc.

Stoimy i się gapimy kiedy nagle podchodzi do nas jakiś facet i pyta:

— Przepraszam bardzo, czy panowie są aktorami?

— Eh? — mówię.

— Nie, szachistami — wyjaśnia pan Tribble.

— Szkoda — mówi facet — bo dla tego dryblasa miałbym rolę w swoim najnowszym filmie. — Zwrócił się do mnie, pomacał moje ramię i pyta: — No, no, silny z pana gość. Nigdy pan w niczym nie grał?

— Raz grałem — mówię.
— Naprawdę? W czym?
— W *Królu Lirze*.
— Wspaniale, kochasiu, po prostu wspaniale. Należysz do ZWAF-u?
— Do czego?
— Związku Zawodowego Aktorów Filmowych, ale nieważne, to się da załatwić —
mówi. — Jak to możliwe, że jeszcze nikt cię nie odkrył?! Ledwo mogę w to uwierzyć!
Wystarczy na ciebie spojrzeć: wspaniały, małomówny twardziel: drugi John Wayne!
— Jaki John Wayne! — obrusza się pan Tribble. — To szachista światowej klasy!
— Tym lepiej — mówi facet. — Inteligentny, wspaniały, małomówny twardziel.
Rzadka kombinacja.
— Nie jestem taki inteligentny na jakiego wyglądam — wyjaśniam uczciwie, ale facet
mówi że to bez znaczenia, bo aktorzy nie muszą być ani inteligentni ani uczciwi ani nic.
Muszą tylko umieć wygłaszać do kamery tekst.
— Nazywam się Felder i kręcę filmy — dodaje. — Przyjdź jutro na zdjęcia próbne.
— Jutro to on gra w międzynarodowym turnieju szachowym — tłumaczy pan Tribble.
— Nie ma czasu na granie w filmach i zdjęcia próbne.
— Może jednak znajdzie chwilkę? Kto wie, to może być jego życiowa szansa. Niech
pan też wpadnie, panie Tribble, panu również zrobimy zdjęcia próbne.
— No dobrze, spróbujemy — obiecuje pan Tribble. — Chodźmy, Forrest, musisz
jeszcze poćwiczyć.
— Pa, kochasiu — mówi pan Felder. — Tylko przyjdź na pewno, słyszysz?
Odchodzimy.

22

Nazajutrz rano w Beverly Hills Hotel rozpoczyna się turniej. Przychodzimy trochę wcześniej i pan Tribble zapisuje mnie na całą kupę meczów.

Ale nie szkodzi. Rozłożenie pierwszego przeciwnika zajęło mi siedem minut, a facet był mistrzem regionalnym i w dodatku profesorem uczelni. Ucieszyłem się jak ktoś głupi, no bo kurde flaki! Udało mi się w końcu pokonać jakiegoś profesora!

Potem grałem z siedemnastoletnim chłopakiem i załatwiłem go w niecałe pół godziny. Biedak wpadł w histerię, zaczął wrzeszczeć i beczeć, ale na szczęście była tam jego mama i odciągnęła go siłą.

Tego dnia i następnego grałem z najróżniejszymi ludźmi i ze wszystkimi radziłem sobie w trymigi. To było fajne, bo na przykład z Dużym Samem musiałem godzinami czekać aż on wykona ruch. Nie mogłem nawet pójść się odlać w krzaki ani nic, bo jak tylko wstawałem od szachownicy stary oszust natychmiast przestawiał figury.

W każdym razie zakwalifikowałem się do finału i miałem dzień przerwy. Wracaliśmy z panem Tribble do naszego hotelu, a tam czeka na nas wiadomość od pana Feldera, tego faceta od filmów: „Proszę zadzwonić do mojego biura i umówić się na jutro na zdjęcia próbne”. Niżej jest numer telefonu.

— Hm, sam nie wiem, Forrest — mówi pan Tribble. — A ty co myślisz?

— Też nie wiem — mówię choć tak z ręką na sercu to myślę, że fajnie byłoby zagrać w filmie i może poznać Raquel Welch albo inną gwiazdę.

— Właściwie nie widzę w tym nic złego — powiada po chwili pan Tribble. — Chyba zadzwonię i nas umówię.

Więc zadryndał do biura pana Feldera i słucha jak mu ktoś tłumaczy kiedy i gdzie mamy się stawić. A potem nagle zasłania dłonią słuchawkę i pyta się:

— Forrest, umiesz pływać?

— Jasne — odpowiadam.

— Tak, tak, umie — mówi do słuchawki.

Kiedy się rozłączył spytałem się go o co chodziło z tym pływaniem. Pan Tribble na to że nie wie, ale wkrótce się przekonamy.

Jest to inne studio filmowe niż to któreśmy zwiedzali. Przy bramie czeka strażnik, który prowadzi nas do hali gdzie odbywają się zdjęcia próbne. Pan Felder jest na miejscu i dysputuje z jakąś panią co to nawet przypomina z wyglądu Raquel Welch. Kiedy wchodzimy pan Felder szczerzy do nas wszystkie zęby.

— Cześć Forrest! Świetnie, że jesteś — mówi. — Idź do tamtego pokoju. — Wskazuje mi drzwi. — Dadzą ci kostium i zrobią charakteryzację. A potem wróć tu do mnie.

No dobra, idę gdzie mi kazał, wchodzę do pokoju, a tam są dwie baby i jedna z nich mówi:

— Rozbieraj się.

Masz ci babo placek, myślę sobie, znów to samo! Ale trudno. Ściągam ciuchy, a wtedy ta druga daje mi taki gumowy kostium z rybimi łuskami i do tego takie dziwne buty z płetwami i rękawiczki też z płetwami. I mówi, żebym to włożył. Męczyliśmy się w trójkę przez jaką godzinę zanim wbiły mnie w kostium. Ale to dopiero piersza część, bo teraz każą mi przejść do innego pokoju, do charakterowni. Dobra, siadam na krześle i zaczyna się: jakaś babka i facet wsadzają mi na łeb wielką gumową maskę, mocują ją do kostiumu i malują czymś złącza, żeby ich nie było widać. Kiedy kończą mówią, żebym wracał na plan.

Ledwo mogę iść w tych płetwach na nogach a otworzyć drzwi płetwą to też sztuka, ale jakoś sobie poradziłem i nagle znalazłem się nad wielkim bajorem. Wokół rosą banany i

inne takie tropiki. Pan Felder, jak mnie dostrzega, aż podskakuje z radości.

— Wspaniale, kochasiu! — woła. — Idealnie pasujesz do roli!

— A co to za rola? — pytam się go.

— Jak to, nie mówiłem ci? Kręcę nową wersję *Potwora z czarnej laguny*.

Nawet idiota by się domyślił jaką mam grać rolę. Pan Felder skinął na panią, z którą wcześniej dysputował.

— Forrest — mówi kiedy do nas podeszła. — Przedstawiam ci Raquel Welch.

Kurde, aż mi szczeka odpadła! Oto miałem przed sobą żywą Raquel Welch w sukni z wielkim dekoltem i wszystkim jak trzeba.

— Miło mi panią poznać — mówię przez maskę. Raquel Welch obraca się gwałtownie do pana Feldera, wściekła jakby ją użądliła osa.

— Co on powiedział?! — woła. — Coś o moich cymbałach, tak?!

— Nie, kochana, nie — mówi pan Felder. — Powiedział, że miło mu cię poznać. Przez tę maskę nie najlepiej go słyszeć.

Wyciągam pletwę, żeby uścisnąć jej rękę, ale odskoczyła jak oparzona.

— Faj! — woła. — Załatwmy to czym prędzej!

Więc pan Felder opisuje mi całą sytuację. Raquel Welch miota się w wodzie, potem mdleje i wtedy ja się wynurzam, biorę ją na ręce i wynoszę na ląd. Ona odzyskuje przytomność, widzi mnie i krzyczy przerażona: „Puść mnie! Ratunku! Gwałcą!” i tak dalej.

Ale, mówi pan Felder, ja mam jej nie puszczać tylko uciekać z nią w głąb dżungli, bo ścigają nas bandyci.

No więc gramy tę scenę i moim zdaniem całkiem niezłe nam wychodzi. Jezu, a jak miło trzymać w ramionach Raquel Welch, nawet jeśli cały czas drze się: „Puść mnie! Ratunku! Policja!”

Pan Felder jednak mówi, że mogłoby być lepiej i każe nam powtórzyć wszystko od początku. Za drugim razem też mu się nie podoba, za trzecim też nie, no i powtarzamy scenę z piętnaście razy. W przerwach Raquel Welch narzeka i psioczy i przeklina pana Feldera, ale on się nie przejmuje tylko mówi w kółko na okrągło: „Wspaniale, kochana, wspaniale!”

Tymczasem ja mam pewien kłopot. Tkwię w tym kostiumie od pięciu godzin, a nie ma w nim żadnego rozporoka ani otworu ani nic, któreśdy można by się wysikać. Czuję, że już dłużej nie wytrzymam, ale nic nie mówię, bo po raz pierwszy gram w filmie i nie chcę nikomu zawracać głowy.

Coś jednak muszę zrobić, bo inaczej pękne. Dobra, postanawiam, że odleję się w wodzie a siki po prostu spłyną nogawką i będzie po kłopotcie. Więc jak tylko pan Felder znów woła: „Kamera!” wskakuję do laguny i zaczynam lać. Raquel Welch miota się przy brzegu, potem mdleje, ja wynurzam się z wody, podnoszę ją i tacham na ląd.

Ona odzyskuje przytomność, wali mnie kulakami i wrzeszczy: „Pomocy! Mordują! Puszczaj!” Wtem przestaje się wydierać i pyta:

— Co tak zajeżdżał

— Stop! — woła pan Felder i wstaje. — Coś powiedziała, kochana? Tego nie ma w scenariuszu!

— W dupie mam scenariusz! — Raquel Welch na to. —

Coś tu śmierdzi! — A potem patrzy na mnie i mówi: — Hej ty, jak ci tam, zsikałeś się, co?

Tak mi wstyd, że nie wiem co robić. Więc nic nie robię, nic nie mówię, tylko stoję i trzymam ją w ramionach. W końcu potrząsam głową.

— Nie, skądby.

Skłamałem po raz pierwszy w życiu.

— Ktoś się jednak zsikał, bo zalatuje mi sikami! — mówi Raquel Welch. — I na pewno nie byłam to ja! A skoro nie byłam to ja, zsikałeś się ty! Jak śmiałeś mnie obszczać, ty

bydlaku!

Zaczęła mnie okładać pięściami i wydzierać się: „Puszczaj!”, „Zostaw mnie!” i dalej w tym stylu, więc pomyślałam sobie, że pewno chce odegrać scenę do końca. W porządku, skoro tak to tacham ją dalej do dżungli.

— Kamery! — ryczy pan Felder. I kamery znów poszły w ruch.

Raquel Welch wali mnie, drapie i wrzeszczy głośniejszym niż w poprzednich ujęciach.

— Świetnie! Wspaniale! Cudownie! — woła pan Felder.

Widzę pana Tribble. Siedzi na krześle, potrząsa smętnie makową i stara się patrzeć gdzieś w bok.

Dobra; wchodzę w dżunglę i oglądam się w tył czy pan Felder nie krzyknie „Stop!” tak jak za poprzednimi razy, ale on skacze jak dzikus przy ognisku i gestykuluje, żebym biegł dalej.

— Wspaniale! Właśnie o to mi chodzi! Gnaj w dżunglę!

— Puszczaj mnie, ty cuchnący bandyto! — krzyczy Raquel Welch, drapie mnie i bije, ale ja biegnę jak mi każe reżyser. Nagle ona jak nie wrzaśnie: — O rety! Moja kiecka!

Okazuje się, że kiecka zahaczyła się jej o jakąś gałąź i spruła do cna. Mam w ramionach Raquel Welch gołą jak święta turecka!

— Ojej! — mówię i staję.

Chcę ją odnieść z powrotem na plan, ale ona znów wrzeszczy:

— Nie, idioto! Nie mogę wrócić w takim stanie!

Spytałem się jej co mam zrobić, na co ona że najpierw musimy się gdzieś ukryć, a potem wymyśli co dalej. Więc niosę ją głębiej w dżunglę i nagle widzę, że coś wielkiego śmiga między drzewami na lianie. Wybałuszam gały. Kiedy to coś znów przelatuje obok widzę, że to małpa. Potem liana wraca i małpa zeskakuje na ziemię. O mało nie zemdlałem z wrażenia. Bo to kochany Zuzia we własnej osobie!

Raquel Welch drze się i wrzeszczy, a Zuzia podchodzi, obejmuje mnie za nogi i zaczyna się tulić. Nie mam pojęcia jak mnie poznał w tym gumowym kostiumie. Pewno po zapachu albo co.

— Znasz tego pieprzonego pawiana? — pyta się Raquel Welch.

— To nie pawian tylko orangut — wyjaśniam. — Na imię mu Zuzia.

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

— Mu? Skoro to on, a nie ona, to dlaczego nazywa się Zuzia?

— To długa historia — mówię.

Raquel Welch usiłuje się zasłonić rękami, ale Zuzia ma lepszy pomysł. Urywa dwa wielkie bananowe liście i daje jej, żeby się nimi zakryła.

Później dowiedziałem się od Zuzi, że niechący pobiegłem za daleko i trafiłem na inny plan filmowy gdzie kręcili film o Tarzanie; *Zuzia* robił za statystę. Wkrótce po tym jak wyratowano nas od Pigmejów biali łowcy schwytali Zuzię i wysłali biedaka treserowi zwierząt w Los Angeles. I od tej pory Zuzia grywał w filmach.

Ale na razie nie mamy czasu pogadać, bo Raquel Welch wciąż wścieka się i zrzędzi.

— Zaprowadźcie mnie gdzieś, do jasnej cholery, żebym mogła się ubrać! — woła.

Kurde Balas, nie wiem skąd w dżungli wziąć jakieś ciuchy, nawet jeśli ta dżungla to tylko dekoracja filmowa, więc idziemy przed siebie, bo może kiedyś w końcu na coś trafimy.

No i faktycznie. Trafiamy na taki wysoki płot. Myślę sobie, że pewno gdzieś po drugiej stronie znajdziemy jej jakąś nową kieckę. Zuzia pokazał mi, że jedna deska się rusza, więc odciągamy ją na bok i przechodzę przez otwór. Ale jak tylko przeszedłem poczułem, że nie mam gdzie nogi postawić. Chwilę potem Raquel i ja turlamy się łeb na szyję ze zbocza. Kiedyśmy się doturlali na dół, rozglądam się i widzę, że jesteśmy na poboczu szosy!

— O Boże! — drze się Raquel Welch. — To autostrada do Santa Monica!

Patrzę w górę, a po zboczach zbiega do nas Zuzia. Stoimy w trójkę. Raquel Welch wciąż wymachuje bananowymi liśćmi, żeby się zasłonić.

— I co teraz? — pytam się.

Samochody śmigają obok, ale nikt na nas ani popatrzy chociaż wyglądamy dość dziwnie.

— Muszę się ubrać! — wrzeszczy Raquel Welch. — Zaprowadźcie mnie gdzieś!

— Gdzie? — pytam się jej.

— Wszystko jedno! — woła, więc ruszamy wzdłuż autostrady.

Po jakimś czasie widzimy na szczycie wzgórza wielki napis HOLLYWOOD.

— Musimy zejść z tej cholernej autostrady i dostać się na Rodeo Drive; tam będą sklepy — mówi Raquel Welch.

Uwija się jak w ukropie, żeby nikt nie widział, że jest naga. Kiedy coś nadjeżdża z przodu zasłania sobie liśćmi przód, a kiedy z tyłu wtedy szybko zasłania sobie tyłek. A że ruch jest duży, wywija liśćmi to tu to tam jak striptizerka co robi numer z wachlarzami.

No dobrze, schodzimy z autostrady i idziemy przez pole.

— Czy ta pieprzona mała musi się wlec za nami? — pyta Raquel Welch. — I bez niej wyglądamy jakbyśmy się urwali z księżyca!

Nic nie mówię; oglądam się za siebie i widzę, że Zuzi zrobiło się przykro. Biedaczysko pewno też marzył o poznaniu Raquel Welch, a ona tak go traktuje!

Ale nic, idziemy i idziemy i wciąż nikt nie zwraca na nas uwagi. Wreszcie docieramy do całkiem ruchliwej ulicy.

— O Boże! To Sunset Boulevard! Mam się pokazać goła na Sunset Boulevard, w dodatku w biały dzień?! — woła Raquel Welch.

Nie dziwię się, że tak się zoładkuje. Sam cieszę się, że mam na sobie gumowy kostium, bo przynajmniej nikt mnie nie rozpozna — nawet jeśli jestem w towarzystwie Raquel Welch.

Stajemy na światłach. Kiedy się zmieniają wszyscy troje przechodzimy na drugą stronę. Raquel wywija liśćmi jakby nadawała sygnały, uśmiecha się do ludzi w samochodach i w ogóle zachowuje jakby była na scenie.

— Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak upokorzona! — syczy mi do ucha. — Chryste, najchętniej zapadłabym się pod ziemię! Odpowiesz mi za to, ty wyrośnięty idioto! Zobaczysz, dobiore ci się do tyłka!

Część ludzi czekających w samochodach na światłach zaczyna trąbić i machać do nas — myślę sobie: pewno rozpoznali Raquel — a kilka samochodów nawet wykręciło i jedzie za nami. Zanim doszliśmy do Wilshire Boulevard ciągliśmy za sobą całkiem spory ogon: ludzie wychodzili z domów, sklepów i szli za nami jak szczury za tym gościem co je wywiódł z miasta. Raquel Welch zrobiła się czerwona na gębie jak burak.

— Już nigdy nie znajdziesz pracy w tym mieście! — mówi do mnie przez zaciśnięte zęby, a jednocześnie uśmiecha się do tłumu.

Parę minut później słyszę:

— No, nareszcie, Rodeo Drive!

Patrzę i faktycznie, na rogu jest wystawa z damską odzieżą. Stukam Raquel Welch w ramię i pokazuję jej sklep.

— Faj, przecież to Popagallo! — oburza się. — Już dawno wyszedł z mody! Prędzej bym umarła, niż włożyła coś z jego kolekcji!

Dobra, idziemy dalej.

— O, jest Giani — mówi Raquel. — Miewają tam całkiem ładne ciuszki.

Wchodzimy do środka. Przy drzwiach stoi sprzedawca z krótkim przystrzyżonym wąsikiem. Ma na sobie biały garnitur, z kieszeni marynarki wystaje mu chusteczka. Facet patrzy na nas podejrzenie kiedy go mijamy.

— W czym mogę pani pomóc? — pyta.

— Chcę kupić sukienkę — odpowiada Raquel Welch.
— Czy w jakimś konkretnym fasonie? — pyta gość.
— W jakimkolwiek, ty ośle! Nie widzisz, że jestem naga?
Więc facet wskazuje jej kilka stojaków z kieckami i mówi, że na pewno znajdzie coś w swoim rozmiarze. Raquel Welch podchodzi tam i zaczyna je oglądać.
— A czy panom mogę w czymś pomóc? — sprzedawca pyta się mnie i Zuzię.
— Nie, my jesteśmy z nią — wyjaśniam.
Patrzę za siebie i widzę, że tłum wciąż stoi na ulicy, niektórzy nawet przykleili nosy do szyby i zagląдают do środka.
Raquel Welch znalazła osiem czy dziewięć sukienek i zabiera je do przymierzalni. Po chwili wychodzi i pyta:
— Jak wam się w tej podobam?
Ma na sobie brązową kieckę z mnóstwem pasków i szlufek i ogromnym dekoltem.
— Och, sam nie wiem, moja droga — mówi sprzedawca. — Chyba nie jest w pani stylu. Więc Raquel Welch wraca do przebieralni i wkłada inną.
— Och, cudownie! — woła sprzedawca. — Wygląda pani bosko, bosko!
— Biorę — mówi Raquel Welch.
— Świetnie — mówi sprzedawca. — Jak chce pani płacić?
— To znaczy? — pyta się go Raquel.
— Gotówką, czekiem czy kartą kredytową?
— Słuchaj, bęcwale jeden, nie widzisz, że nie mam z sobą torebki ani nic? Skąd, u diabła, miałabym nagle wyciągnąć szmal?
— Niech pani nie będzie wulgarna — mówi sprzedawca.
— Jestem Raquel Welch — mówi Raquel Welch. — Później przyślę tu kogoś z pieniędzmi.
— Bardzo mi przykro, proszę pani — nie ustępuje sprzedawca — ale u nas nie kupuje się bez płacenia.
— Przecież jestem RAQUEL WELCH!!! — drze się Raquel Welch. — Nie poznaje mnie pan?!
— Połowa kobiet, które tu przychodzą, podaje się za Raquel Welch, Farrah Fawcett albo Sophie Loren. Ma pani jakiś dowód tożsamości?
— Dowód tożsamości?! — wrzeszczy Raquel Welch. — A niby gdzie miałabym go sobie wetknąć, co?!
— Nie ma pani żadnych dokumentów, nie ma karty kredytowej, nie ma pieniędzy, to nie będzie pani miała sukienki — mówi sprzedawca.
— Cholera, zaraz panu udowodnię, kim jestem! — woła Raquel Welch i ściąga w dół górę sukienki. — Kto jeszcze ma takie cycki w tym gównianym mieście? No kto?!
Tłum na ulicy wali w okna i krzyczy z radości. A sprzedawca wciska taki mały guzik i po chwili podlatuje do nas barczysty gość — detektyw sklepowy, jak się okazało.
— Jesteście aresztowani — mówi. — Nie próbujcie stawiać oporu, bo tylko pogorszycie swoją sytuację.

23

No i znów wylądowałem w pace.

Ledwo się pojawił ten detektyw sklepowy a zaraz podjechały z wyciem dwa radiowozy. Jeden gliniarz podleciał do sprzedawcy i pyta:

— Co się dzieje?

— Ta tu twierdzi, że jest Raquel Welch — mówi sprzedawca. — Przyszła cała pozawijana w bananowe liście, a teraz nie chce zapłacić za sukienkę. Nie wiem, kim są ci dwaj, ale na moje oko wyglądają bardzo podejrzanie.

— Ja jestem Raquel Welch! — upiera się Raquel Welch.

— Pewnie, pewnie — mówi glina. — A ja jestem Clint Eastwood. Niech pani lepiej da się spokojnie wyprowadzić.

Skinął na dwóch swoich kumpli. Potem patrzy to na mnie, to na Zuzię.

— A wy dwaj co macie do powiedzenia? — pyta się nas.

— Graliśmy w filmie — mówię.

— Dlatego masz pan na sobie ten głupi kostium?

— Aha.

— A on? — Glina wskazuje Zuzię. — Jego kostium jest o klasę lepszy. Realistyczny.

— To nie kostium — wyjaśniam. — Zuzia to rasowy orangut.

— Czyżby? — pyta się glina. — Mam na komisariacie gościa, który robi fotki wszystkim kryminalistom. Was obu też chętnie uwieczni. Więc zabieram was na przejażdżkę. Tylko uprzedzam, żadnych gwałtownych ruchów!

Pan Tribble znów po mnie przyjechał. Pan Felder też się zjawił a z nim cały pluton prawników, żeby wyciągnąć Raquel Welch. Dostała ataku hysterii.

— Jeszcze mnie popamiętasz! — darła się do mnie kiedy ją wypuszczano. — Już ja dopilnuję, żebyś nie wystąpił w żadnym filmie, nawet jako halabardzista!

Chyba nie kłamała. Wygląda na to, że mogę się pożegnać z karierą filmową.

— Takie jest życie, kochasiu — mówi do mnie pan Felder. — Ale może kiedyś wybierzemy się razem na obiad, co? A jeśli chodzi o twój kostium... przysłemy kogoś po odbiór.

— Chodź, Forrest — mówi pan Tribble. — Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Po powrocie do hotelu pan Tribble, ja i Zuzia usiedliśmy w pokoju i odbywamy naradę.

— Będziemy mieli z Zuzią same kłopoty — mówi pan Tribble. — Ledwo nam się udało wprowadzić go chyłkiem do apartamentu. Niełatwo jest podróżować z orangutanem.

Więc wyjaśniam mu, że Zuzia jest mi bliższy niż własna koszula i opowiadam jak w dżungli nieraz ratował mój tyłek z opresji.

— Rozumiem, co czujesz. W porządku. Możemy zaryzykować. Ale musi być grzeczny, bo inaczej będą problemy.

— Nie ma obawy — mówię, a Zuzia kiwa głową i szczerzy się jak goryl.

Nazajutrz odbywa się wielki mecz szachowy między mną a międzynarodowym arcymistrzem Iwanem Petrokiwiczem zwanym Uczciwym Iwanem. Z samego rana pan Tribble prowadzi mnie do sklepu z odzieżą i wypożycza mi smoking, bo to ma być strasznie wielka gala z całą masą grubych ryb. Gówna nagrodą jest dziesięć tysięcy dolców. Połowa tej sumy wystarczy mi na otwarcie hodowli kreweteków, więc nie mogę pozwolić sobie na żaden błąd.

Wchodzimy do sali. Kręci się tu z tysiąc luda, a Uczciwy Iwan już siedzi przy stoliku i świdruje mnie gniewnie wzrokiem jak jaki Muhammad Ali.

Mój przeciwnik to kawał Ruska, czoło ma wysokie jak Frankenstein, a włosy długie i

kręcone niby skrzypek czy kto. No dobra, podeszłem do stolika i klapłem, Iwan mruknął coś pod nosem i po chwili ktoś zawołał:

— Uwaga, start!

Uczciwy Iwan ma białe, więc on zaczyna. Zdecydował się na debiut Ponzianiego.

Odpowiedziałem otwarciem Retiego i na razie wszystko idzie jak po maśle. Każdy z nas wykonał jeszcze po dwa ruchy, a potem Uczciwy Iwan spróbował zagrywki znanej jako gambit Falkbeera. Chciał poświęcić skoczka, żeby zabrać mi wieżę.

Ale przewidziałem co chytrus knuje. Zastosowałem kontr-gambit zwany potocznie pułapką Noego i zabrałem mu skoczka. Uczciwy Iwan nie był zadowolony, ale nie przejął się zbyt. Szybko posłużył się groźbą Tarrascha, żeby pozbawić mnie gońca.

Nie dałem się zastraszyć. Uciekłem się do obrony królewsko-indyjskiej zmuszając go do wariantu Schevenigena, na który odpowiedziałem kontrą Benoniego.

Uczciwy Iwan trochę się sfrustrował, zaczął wykręcać sobie paluchy i zagryzać dolną wargę aż w końcu zdecydował się na desperacki krok: atak Padaczki, na co ja pokrzyżowałem mu plany obroną Alekhine'a.

Już myślałem, że partia zakończy się patem, ale nie —

Uczciwy Iwan zastosował manewr Hoffmana, wymknął się z pułapki i znów ruszył do ataku. Spojrzałem w stronę pana Tribble. Uśmiechnął się lekko i poruszył bezgłośnie wargami jakby mówił: „Teraz”. Od razu się kapłem o co mu chodzi.

Bo jeszcze nie wiecie, ale kiedy byłem w dżungli Duży Sam nauczył mnie kilku zagrań, których nie ma w żadnych podręcznikach, no i teraz był najwyższy czas, żeby sięgnąć po jedno z nich: mianowicie po kokosowy wariant gambitu trzciniowego, kiedy to niby poświęca się hetmana, ale jak przeciwnik przyjmuje ofiarę, to w rezultacie sam traci i hetmana i skoczka.

Niestety nie do końca mi wyszło. Uczciwy Iwan przewidział co jest grane i zbił mi hetmana, ale czym innym niż myślałem i nagle tkwię po uszy w gównie! Dobra, spróbowałem groźby bawełnianej podstawiając do bicia drugą wieżę, ale Iwan nie dał się zastraszyć. Zbił wieżę, potem drugiego gońca i już się szykował, żeby dać mi mata Petrowa kiedy uznałem, że trudno, stawiam wszystko na jedną kartę i stosuję pułapkę pigmejską.

Pułapka pigmejską była jedną z ulubionych zagrywek Dużego Sama, więc miałem ją dobrze opanowaną. Ważny jest element zaskoczenia, a poza tym trzeba zaryzykować i poświęcić parę figur, ale jak się uda to nie ma mowy, żeby przeciwnik zdołał się wykaraskać. Zaczęłem się modlić, żeby się udało, bo nie miałem żadnych więcej pomysłów i się bałem, że umoczę partię.

Uczciwy Iwan chrząknął parę razy i podniósł skoczka, żeby go przestawić na pole c8 — myślę sobie: kurde, połasi się! Połasi na pigmejską przynętę! Jeszcze dwa ruchy, a potem go zaszachuję i już mi się nie wywinie!

Ale Iwan chyba zwęszył, że coś tu śmierdzi, bo z dziesięć razy przestawiał skoczka tam i z powrotem i ani razu nie odrywał od niego łapy — gdyby oderwał to by znaczyło, że już nie może cofnąć figury.

Widzowie wstrzymali oddechy; siedzą cicho jak trusie pod miotłą, a ja z kolei ledwo mogę usiedzieć na tyłku z podniecenia. Patrzę na pana Tribble, który wznosił oczy do nieba jakby się modlił. Patrzę na trenera Uczciwego Iwana, który zasepił się jak chmura gradowa i spoziera wilkiem dookoła. Uczciwy Iwan przestawia skoczka na c8 jeszcze parę razy, ale znów cofa na d6. W końcu wygląda na to, że zrobi jakiś zupełnie inny ruch, ale nie — znów podnosi skoczka i trzyma nad polem c8. Wstrzymuję oddech, na sali jest cicho jak w trumnie. Uczciwy Iwan trzyma skoczka w powietrzu, mnie serce wali jak młotek, nagle Rusek podnosi wzrok znad szachownicy i patrzy mi w oczy... Nie wiem jak to się stało, ale z tego podniecenia i nerwów puściłem takiego bąka, że aż się szyby zatrzęśły!

Ale się Uczciwy Iwan zdumiał! Rozdziawił gębę, upuścił skoczka, skrzywił się i

najpierw zaczął wymachiwać łapami przed nosem, a potem się za niego złapał. Ludzie stojący dookoła nas zaczęli się odsuwać, niektórzy wachlowali się i wyciągali chusteczki, a ja siedziałem bez ruchu z gębą czerwoną jak pomidor.

No dobra, kiedy wreszcie się wszyscy uspokoiли patrząc na szachownicę i widzę, kurde Balas, że Uczciwy Iwan upuścił skoczka na c8! Więc szybko zbiłem go własnym skoczkiem, potem zbiłem jeszcze dwa piony i hetmana i był mat! Wygrałem mecz i dziesięć tysięcy dolców!

Uczciwy Iwan zaczął krzyczeć i gestykulować jak przekupka; potem razem z trenerem popędził do głównego sędziego, żeby się poskarżyć i złożyć oficjalny protest. Sędzia kartkuje opasły regulamin aż dochodzi do miejsca gdzie pisze: „Podczas trwania meczu zawodnikowi nie wolno świadomie wykonywać żadnych czynności mogących rozproszyć uwagę przeciwnika”.

Pan Tribble też podszedł do sędziego.

— Chyba nie sądzicie, że Forrest zrobił to świadomie — mówi. — Była to, że tak powiem, wyższa konieczność.

Główny sędzia znów kartkuje regulamin i po chwili znów coś znajduje: „Zawodnikowi nie wolno się odzywać ani zachowywać w sposób nieuprzejmy bądź obraźliwy wobec przeciwnika”.

— Słuchajcie, czy żaden z was nigdy nie musiał puścić gazów? — pyta się pan Tribble. — Forrest naprawdę nie chciał nikogo obrazić. Ale przecież nie mógł po prostu wstać i odejść.

— Sam nie wiem... — mówi główny sędzia. — Wygląda na to, że chyba będę musiał go zdyskwalifikować.

— Niech mu pan da jeszcze jedną szansę — prosi pan Tribble. — Najlepiej niech powtórzą partię. Główny sędzia podrapał się w brodę.

— Jest to jakieś wyjście — mówi. — Ale niech pan powie podopiecznemu, żeby się kontrolował, bo nie możemy tolerować takiego zachowania!

Wygląda na to, że jednak zagramy od nowa, ale nagle na końcu sali robi się pandemonia, kobiety piszczą i krzyczą, więc podnoszę głowę i zapuszczam żurawia, a tam Zuzia buja się na żyrandolfie.

Jak tylko żyrandolf wychylił się w moją stronę Zuzia zeskoczył prosto na szachownicę — pionki i figury poleciały na wszystkie mańki. Uczciwy Iwan przewrócił się do tyłu razem z krzesłem, a kiedy padał niechcący zdarł pół sukienki z grubej baby, co to stała obok obwieszczona tyłoma świecidłami jakby była chodzącą reklamą sklepu jubilerskiego. Baba w krzyk! Wrzeszczy i wywija torebką aż trafia w nos głównego sędziego. Zuzia skacze w górę i w dół i jazgocze po swojemu jak nakręcony. Ale się zrobił rwetes! Ludzie wpadli w panikę, potykają się, przewracają, zderzają i krzyczą, żeby wezwać policję.

Pan Tribble chwycił mnie za ramię.

— Szybko, wynosimy się, Forrest — powiada. — Już miałeś dość kontaktów z policją w tym mieście! Trudno zaprzeczyć.

Kiedy wróciliśmy do hotelu pan Tribble powiedział, że znów musimy odbyć naradę.

— Forrest — zaczął — nie wierzę, że coś wyjdzie z naszej współpracy. Jesteś wspaniałym szachistą, ale... sam rozumiesz. Choćby to, co działo się dzisiajszego popołudnia: mówiąc łagodnie, było to dość oryginalne.

Pokiwałem głową, a Zuzia zrobił smętną minę.

— Powiem ci, co postanowiłem. Jesteś dobrym chłopcem, więc nie zostawię cię tu w Kalifornii bez środków do życia. Opłacę wam, tobie i Zuzi, przejazd do Alabamy czy dokąd tam chcesz. A ponieważ potrzebujesz kapitału na założenie hodowli krewetek, dam ci wszystkie pieniądze, jakie wygrałeś w meczach eliminacyjnych, potrącając jedynie koszty

własne. Czyli w sumie masz tu prawie pięć tysięcy dolarów.

I wręczył mi kopertę. Kiedy zajrzałem do środka zobaczyłem całą masę studolarówek.

— Oby ci się powiódł ten interes.

Potem pan Tribble zadzwonił po taksówkę i odwiózł nas na dworzec. Zuzia, miał jechać w skrzyni w wagonie towarowym, ale pan Tribble pogadał z kim trzeba i pozwolono mi odwiedzać starego Zuzię, nosić mu jedzenie, wodę, no i w ogóle. Kiedy tragarze przynieśli skrzynię Zuzia grzecznie wskoczył do środka i zabrano go na koniec składu.

— No, powodzenia, Forrest — mówi pan Tribble. — Oto moja wizytówka. Skrobnij słówko i daj znać, jak ci idzie, dobrze?

Biorę wizytówkę i ściskam mu rękę. Żal mi się z nim rozstawać, bo pan Tribble to wyjątkowo sympatyczny człowiek, a ja go zawiodłem. No ale nic, siadłem w przedziale i wyglądam przez okno. Pan Tribble wciąż stoi na peronie. Kiedy pociąg ruszył, podniósł rękę i pomachał mi na pożegnanie.

Znów byłem w drodze. Tego wieczora do późna w nocy różne myśli i obrazy kotłowały mi się w łepetynie. Myślałem o tym, że wracam do domu, o mojej biednej mamie, o biednym Bubbie, o hodowaniu krewetek i oczywiście o Jenny Curran. Niczego na świecie tak nie pragnąłem jak tego, żeby już nie być idiotą.

Wreszcie jestem na starych śmieciach.

Pociąg zatrzymał się na stacji w Mobile o trzeciej w nocy. Tragarze wyciągu Zuzię ze skrzyni i zostawili nas obu na peronie. Stacja świeci pustką; poza nami jest tu jeden facet co zamiata podłogę i drugi co leży na ławce i chrapie. Ruszyliśmy z Zuzią na piechotę do miasta i znaleźli sobie kąt do spania w opuszczonym budynku.

Rano kupiłem Zuzi banany w porcie, a sam zajrzałem do niedużej jadłodajni i zżarłem ogromne śniadanie, jajka na bekonie, kaszę, naleśniki i inne takie; potem pomyślałem sobie, że nie ma co się dłużej obijać, więc idziemy w stronę tego przytułka dla bezdomnych co go prowadzą siostry. Po drodze mijamy miejsce gdzie kiedyś stał nasz dom, ale nic z niego nie zostało, tylko trochę zwęglonych desek i placyk zarośnięty chwastami. Coś mnie w sercu zakłuło, ale poszliśmy dalej.

Przed przytułkiem wyjaśniłem Zuzi, żeby zaczekał na zewnątrz, bo nie chciałem wystraszyć siostrzyczek. Więc Zuzia czekał, a ja weszłem do środka i pytam się o mamę.

Gówna siostra zwana przełożoną była dla mnie bardzo miła. Powiedziała, że nie wie gdzie jest mama odkąd uciekła z tym protestantem, ale żebym popytał się w parku, bo mama często tam chodziła i przesiadywała z innymi paniami. No dobra, razem z Zuzią idziemy do parku.

Na ławkach faktycznie siedzą jakieś panie, więc podchodzę do jednej i przedstawiam się. Ona patrzy na Zuzię i kiwa głową.

— Powinam się była domyślić — mówi.

Ale potem dodaje, że mama podobno pracuje jako prasowaczka w pralni chemicznej na drugim końcu miasta. Podziękowałem i ruszyliśmy w dalszą drogę. Dochodzimy na miejsce, patrzę, a tam mama rzeczywiście stoi spocona od gorąca i prasuje spodnie.

Kiedy mnie zobaczyła zostawiła żelazko, spodnie, w ogóle wszystko i rzuciła mi się na szyję. Płakała, załamywała ręce, pociągała nosem zupełnie jak za dawnych czasów. Kochana mama.

— Och, Forrest! Nareszcie wróciłeś! — woła. — Nie było dnia, żebym o tobie nie myślała. Co wieczór myślę o tobie i płaczę, dopóki nie zasnę.

Nic a nic się nie zmieniła. Pytam się ją o tego protestanta.

— Nędzny łobuz! — mówi mama. — Głupia byłem, że zadałam się z protestantem. Już po miesiącu rzucił mnie dla szesnastolatki, a sam miał szósty krzyżyk na karku. Skurczybyk jeden! Zapamiętaj sobie, Forrest: moralność i protestanci nie idą w parze!

Nagle z wnętrza pralni dolatuje gniewny głos:

— Gladys, to ty zostawiłaś żelazko na spodniach klienta?

— O mój Boże! — woła mama i pędzi z powrotem do środka.

Wtem z okna buchają czarne kłęby dymu, słychać wrzaski, przekleństwa i krzyki. Po chwili ohydny łysy drab wypycha mamę przez drzwi.

— Wynocha! Wynocha! — krzyczy. — Miarka się przebrała! Nie będziesz więcej palić u mnie spodni!

Mama beczy i zawodzi, więc podchodzę do faceta i mówię:

— Zostaw pan moją mamę!

— A ty coś za jeden? — on się pyta.

— Forrest Gump — mówię.

— To bierz dupę w troki i zjeżdżaj stąd razem ze swoją starą, bo właśnie ją wylałem z roboty! — woła.

— Niech pan nie mówi tak brzydko o mojej mamie.

— Bo co? — pyta.

Więc mu pokazałem co.

Najpierw go złapałem i podniosłem wysoko do góry. Potem wniosłem go do pralni gdzie akurat chodziła taka wielka pralka do chodników i dywanów, otworzyłem klapę, wrzuciłem faceta do środka, po czym zamknęłam klapę i nastawiłem pralkę na wirowanie. Zanim wyszłem przestawiłem ją na płukanie, żeby mu się gęba dobrze wymyła. No i zadek.

Mama ryczy jak bóbr i wciera chustkę w oczy.

— Och, Forrest, co ja teraz pocznę! Straciłam taką dobrą posadę!

— Nie martw się, mam — mówię. — Wszystko będzie dobrze, bo mam pewien plan.

— Jaki ty możesz mieć plan, mój biedaku? — pyta się mnie mama. — Przecież jesteś idiotą. A idioci nie miewają planów.

— Poczekaj, sama się przekonasz. I cieszę się jak kto głupi, że w pierwszy dzień po powrocie wszystko mi się tak fajowo układa.

Ruszyliśmy w stronę pensjonatu gdzie mama teraz mieszka. Po drodze przedstawiłem jej Zuzię i mama powiedziała, że to miło, że mam przyjaciela, nawet jeśli to tylko małpa.

Zjadłem z mamą kolację w pensjonacie, a Zuzia dostał z kuchni pomarańcz. Potem poszliśmy obaj na dworzec i wsiedliśmy do autobusu, który jechał do Bayou La Batre skąd pochodził Bubba. A mama jak to mama: kiedy ją zegnałem na ganku pensjonatu beczała tak strasznie, że co rusz musiała wyzywać chusteczkę. Ale dałem jej połowę tych pięciu tysięcy dolców, żeby miała za co żyć zanim rozkręcę interes, więc przynajmniej nie miałem wyrzutów na sumieniu.

Dojechaliśmy do Bayou La Batre i bez trudu znaleźliśmy dom Bubby. Około ósmej wieczorem zastukałem do drzwi i po chwili stanął w nich starszawy gość i pyta się czego chcę. Więc mówię kim jestem i że grałem z Bubbą w jednej drużynie, a potem byliśmy razem w wojsku. Trochę się facet jakby stropił, ale zaprosił mnie do środka. Wcześniej kazałem Zuzi, żeby został na podwórku i nie rzucał się w oczy, bo pewno nikt tu w życiu nie widział oranguta.

W każdym razie ten starszy facet to jest tata Bubby. Przynosi mi szklankę mrożonej herbaty i zasypuje mnie pytaniami. Chce wiedzieć wszystko o Bubbie, jak zginął, no i w ogóle, więc mu opowiadam o tej przeprawie przez pole ryżowe.

— Przez te wszystkie lata nad jednym się ciągle zastanawiam, Forrest — mówi w końcu. — Dlaczego mój syn zginął?

— Bo trafiła go kula — wyjaśniam.

— Nie, nie o to mi chodzi. Chodzi mi o to, dlaczegoście walczyli? Dlaczego was tam wysłano? Dumam nad tym przez chwilę, a potem mówię:

— Chyba wszyscy chcieli dobrze. A my robiliśmy co nam kazano.

— I jak myślisz, czy warto było? Czy ta wojna była tego warta? Śmierci tylu młodych chłopaków? Jak ty to teraz oceniasz?

— Wie pan, ja jestem tylko idiota — mówię. — Ale na moje oko to było jedno wielkie gówno. Tata Bubby skinął głową.

— Mnie też się tak wydaje — rzekł.

Potem mu powiedziałem po co przyjechałem do Bayou

La Batre. Powiedziałem, że Bubba i ja chcieliśmy założyć razem interes, a później w szpitalu poznałem takiego starego żółtka, który mi pokazał jak się hoduje krewetki. Tata Bubby nawet się podniecił i zaczął mi zadawać mnóstwo pytań kiedy nagle z podwórka doleciało nas przeraźliwe gdakanie.

— Pewnie lis się dobiera do kurnika! — zawołał tata Bubby, złapał strzelbę stojącą za drzwiami i wyleciał na ganek.

Pobiegłem za nim.

— Muszę coś panu powiedzieć! — No i wyjaśniłem, że nie przyjechałem sam tylko z

Zuzią, któremu kazałem czekać na podwórku.

Ale Zuzia znikł bez śladu, nie zostawił po sobie nawet funta kłaków!

Tata Bubby wrócił do domu po latarkę. Przesuwał nią wolno po całym podwórku aż wreszcie oświetlił takie wielkie drzewo. Zobaczyliśmy, że stoi pod nim koza a raczej duży stary kozioł i tupie racicami w ziemię. Więc tata Bubby kieruje latarkę do góry a tam widzimy Zuzię, który siedzi na gałęzi i trzęsie się jak galareta na widelcu.

— Ten kozioł wszystkim lubi napędzać stracha — mówi tata Bubby, po czym woła: — Uciekaj mi stąd! — I rzuca w kozła patyk.

Kiedy kozioł sobie poszedł Zuzia zdrapał się z drzewa i wszedł z nami do domu.

— Co to za dziwoląg? — pyta się tata Bubby.

— Orangut — mówię.

— Wygląda trochę jak goryl, no nie?

— Trochę — przyznaję. — Ale to orangut.

Tata Bubby powiedział, że możemy u niego przenocować, a rano oprowadzi nas po okolicy i może znajdziemy jakieś ładne miejsce na hodowlę krewetek. Od strony bagien wiał przyjemny wietrzyk i słychać było żaby i świerszcze, a czasem nawet ryby wyskakujące z wody. Ta cisza i spokój bardzo mi się podobały, więc postanowiłem sobie, że gdzie jak gdzie i co jak co, ale tu nie wpadnę w żadne kłopoty.

Rano wstaliśmy skoro świt. Tata Buby zrobił nam ogromne śniadanie z domową kiełbasą, jajkami prosto od kury, świeżymi bułeczkami i melasą, a potem zaprowadził nas do łódki; odpychając się od dna takim długim wiosłem zaczął obwozić nas po bagnach. Nad wodą unosiła się mgła, a ciszę przerywał tylko furkot skrzydeł kiedy jakiś ptak zrywał się do lotu.

— Morski przyływ dochodzi aż dotąd — powiada nagle tata Bubby. — Wokół jest wiele rozlewisk, więc gdybym był na waszym miejscu, gdzieś tu zakładałbym hodowlę.

Skierował łódkę w odnogę.

— A tu jest kawałek suchego gruntu. Widzicie dach tej chaty? Mieszkał w niej kiedyś stary Tom LeFarge, ale zmarł jakieś cztery, pięć lat temu. Teraz chata do nikogo nie należy. Gdybyście chcieli, moglibyście ją odnowić i sami w niej zamieszkać. Tom miał też dwie łodzie, gdzieś tam leżą na brzegu. Pewno się rozeschły, ale jakbyście je uszczelnili, mogłyby wam jeszcze długo służyć.

Podpłynęliśmy kawałek dalej.

— Stary Tom nie tylko łowił ryby, ale również polował na kaczki. Porobił sobie pełno kładek, z których do nich strzelał. Gdybyście je naprawili, łatwo byłoby się wam poruszać po bagnach.

Kurde, miejsce było idealne! Tata Bubby powiedział nam, że w morskich odnogach i zatoczkach pełno jest żywików, znaczy się takich ledwo wylętych krewetek; można ich nałapać fura i trochę i od nich zacząć hodowlę. Powiedział jeszcze, że krewetki chętnie jedzą zmielone makuchy bawełniane, więc ich żywienie nie będzie nas drogo kosztować.

Musimy tylko przegrodzić rozlewiska drucianą siatką i wyremontować chatę, żeby w niej mieszkać, kupić sobie chleb, masło orzechowe, galaretki owocowe i inne takie. No a potem brać się za hodowlę.

Od razu tego samego dnia przystąpiłem do roboty. Tata Bubby zabrał mnie do miasta gdzie porobiłem zakupy. Powiedział, że możemy używać jego łódki póki nie zreperujemy własnych. Tej nocy Zuzia i ja nocowaliśmy w chacie. W nocy padało i dach przeciekał jak sito, ale to drobiazg. Rano po prostu załatałem dziury.

Zajął nam prawie miesiąc, ale w końcu uwiliśmy się ze wszystkim: odnowiliśmy chatkę, nareperowali łodzie i kładki, przegrodzili gęstą drucianą siatką jedno rozlewisko. No i wreszcie byliśmy gotowi wpuścić żywiki. Kupiłem sieć do połowu małych krewetek, więc

jednego dnia wypłynęliśmy na bagna i łowiliśmy cały dzień. Pod wieczór mieliśmy żywików ze trzydzieści kilo i wrzuciliśmy wszystkie do rozlewiska. Zaczęły pływać i tańczyć na samej powierzchni. Aż serce rosło jak na nie patrzyłem.

Nazajutrz rano kupiliśmy dwieście pięćdziesiąt kilo mielonych makuchów, z czego pięćdziesiąt kilo od razu daliśmy krewetkom, żeby miały co jeść. Następnego popołudnia wzięliśmy się za przegradzanie drugiego rozlewiska. Pracowaliśmy tak przez całe lato i jesień i zimę i na wiosnę mieliśmy hodowlę w czterech rozlewiskach i wszystko szło jak z płatka. Wieczorami siadałem na ganku przed chatą i grałem na harmonijce, a w soboty kupowałem sześć puszek piwa i upijaliśmy się z Zuzią. Czułem się tak jakbym wreszcie znalazł swoje miejsce w życiu. I pomyślałem sobie, że może jak odłowimy i sprzedamy krewetki spróbuję znów odszukać Jenny. Bo może już jej minęła złość.

25

W pewien pogodny czerwcowy dzień uznaliśmy, że nadeszła pora na odłów. Wstaliśmy z Zuzią o wschodzie słońca, poszli nad rozlewisko i zaczęli ciągnąć sieć; ciągniemy, ciągniemy, aż się nam o coś zahaczyła. Najpierw Zuzia próbował ją odczepić, potem ja, potem spróbowaliśmy wspólnymi siłami — i wtedy żeśmy się kapli, że sieć wcale się o nic nie zaczepiła, tylko tyle jest w niej krewetków, że nie sposób jej dźwignąć!

Do wieczora wyciągliśmy ze sto pięćdziesiąt kilo i przez całą noc dzieliliśmy je według wielkości. Rano wstawiliśmy kosze z krewetkami do łódki i popłynęli do Bayou La Batre. Łódka była tak obciążona, że o mało się nie wykopyrtnęła po drodze.

W miasteczku znajdował się skup ryb i innych takich, więc zaczęliśmy z Zuzią wnosić kosze do ważenia. Jak wszystko pododawali do kupy dostaliśmy czek na osiemset sześćdziesiąt pięć dolców! Odkąd grałem ze Zbitymi Jajami były to chyba pierwsze pieniądze co je uczciwie zarobiłem.

Codziennie przez prawie dwa tygodnie zwozimy krewetki do skupu. Jak dostarczyliśmy już wszystkie okazało się, że zarobiliśmy w sumie dziewięć tysięcy siedemset dolarów i dwadzieścia sześć centów. Odnieśliśmy prawdziwy sukces!

Myślałem, że zwariuję ze szczęścia. Ale nic, zawieźliśmy tacie Bubby w prezencie ze czterdzieści kilo krewetków. Staruszek ucieszył się, powiedział, że jest z nas dumny i szkoda że Bubba tego nie widzi. Potem pojechaliśmy autobusem do Mobile, żeby uczcić sukces. Najpierw polazłem do pensjonatu do mamy, opowiedziałem jej o forsie i wszystkim, no i jak można się było spodziewać mama od razu się pobeczała.

— Och, Forrest, taka jestem z ciebie dumna! Tak ładnie się starasz, choć przecież jesteś kretyn.

Opowiedziałem mamie o swoich dalszych planach; powiedziałem, że za rok będziemy mieli trzy razy tyle rozlewisk i potrzebujemy kogoś kto by się zajmował forszą, wydatkami i w ogóle. I spytałem czy nie chciałaby się tym zająć.

— Chcesz, żebym przeprowadziła się do Bayou La Batre? Przecież to dziura! Co ja tam będę robić?

— Liczyć forszę — mówię.

Potem poszliśmy z Zuzią do centrum, żeby się porządnie nażreć. W porcie kupiłem Zuzi ogromną kiść bananów, a dla siebie zamówiłem w knajpie największy stek jaki mieli, do tego ziemniaki, zielony groszek i coś tam jeszcze. Zjadłem i myślę sobie: dobra, teraz wstąpię gdzieś na piwo. Przechodzę koło takiego mrocznego portowego baru kiedy nagle ze środka dolatują mnie krzyki i przekleństwa. Nawet po tylu latach rozpoznałem ten głos. Wsadzam łeb za drzwi i kogo widzę? Curtisa, rzecz jasna! Mojego współpokojuwiczka ze studiów!

Curtis ucieszył się jak dziecko na mój widok. Zaczął mi życzyć, żebym chujem na żyłkę trafił, zesrał się drutem kolczastym, poronił jeża i inne miłe rzeczy. Dowiedziałem się, że po studiach grał w futbola w zawodowej drużynie Washington Redskins, ale go wywalili kiedy na przyjęciu ugryzł w tyłek żonę właściciela drużyny. Potem grał dla jeszcze paru drużyn, a w końcu zatrudnił się w porcie jako doker, bo — jak przyznał — tak słabo przykładał się do nauki na uczelni, że nadawał się tylko do pracy fizycznej.

Postawił mi piwo i zaczęliśmy gadać o dawnych czasach. Okazuje się, że Wąż został rozgrywającym w drużynie Green Bay Packers aż go przyłapano na tym jak w przerwie meczu z Minnesota Vikings sam jeden wychłął litr polskiej wódki. Później grał w New York Giants aż kiedyś w trzeciej kwarcie meczu z Rams zastosował zagrywkę zwaną „Statua Wolności”. Trener Giants powiedział, że od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku ani razu nie użyto tej zagrywki w futbolu zawodowym i że Wąż chyba oszalał. Ale zdaniem Curtisa Wąż był tak nawalony trawką, że kiedy podniósł piłkę żeby ją rzucić po prostu o niej

zapomniał. Lewy skrzydłowy Ramsów zorientował się co jest grane, zabiegł go od pleców i wyjął mu piłkę z łapy. Teraz Wąż pracuje jako pomocnik trenera dziecięcej drużyny gdzieś w Georgii.

Po paru piwach wpadłem na pewien pomysł.

— Chcesz pracować dla mnie? — pytam się Curtisa.

Curtis zaczął kłąć na czym świat stoi, ale po chwili kapłem się, że pyta mnie co będzie musiał robić, więc opowiedziałem mu o swojej hodowli krewetków i że zamierzam rozbudować interes. Curtis znów zaczął kłąć i wymyślać mi od najgorszych i po tym poznałem, że się zgadza.

Przez całe lato, jesień i następną wiosnę zasuwaliliśmy w pocie czoła, ja, Zuzia, mama i Curtis — nawet znalazłem robotę dla taty Bubby. Tego roku zarobiliśmy trzydzieści tysięcy dolarów i wciąż powiększaliśmy hodowlę. Sprawy idą tak dobrze, że lepiej być nie może: mama już prawie nie beczy, a któregoś dnia nawet Curtis się uśmiechnął. Co prawda jak tylko zobaczył, że na niego patrzymy, od razu spochmurniał i zaczął kłąć w surowy kamień. Czyli niby wszystko jest dobrze, ale ja jakoś nie czuję się szczęśliwy. Wciąż dumam o Jenny, o tym co się z nią dzieje.

Pewnego dnia postanawiam, że trudno, muszę coś z tym zrobić. Była niedziela, więc wystroiłem się jak elegant, wsiałem w autobus i pojechałem do Mobile odwiedzić mamę Jenny. Akurat oglądała telepudło kiedy zapukałem do drzwi. Mówię kim jestem.

— Forrest Gump! — woła. — Nie wierzę własnym oczom! Wchodź, wchodź!

No więc wchodzę, siadam, ona mnie pyta o mamę, co porabiam i w ogóle, wreszcie ja ją pytam o Jenny.

— Och, rzadko się teraz kontaktujemy — mówi mi pani Curran. — Chyba mieszkają gdzieś w Karolinie Północnej.

— A co, pojechała tam z jakąś koleżanką? — pytam się.

— Jak to, ty nic nie wiesz? — dziwi się pani Curran. — Jenny wyszła za męża.

— Za męża?

— Tak, ze dwa lata temu. Mieszkała w Indianie, a potem wyjechała do Waszyngtonu i właśnie stamtąd przysłała mi kartkę, że wyszła za męża i przeprowadzają się do Karoliny Pomocnej czy gdzieś. Chcesz, żeby jej coś przekazać jak się odezwie?

— Nie — mówię. — Może tylko że życzyć jej szczęścia.

— Na pewno nie zapomnę — obiecuje pani Curran. — Bardzo się cieszę, że mnie odwiedziłeś.

Sam nie wiem, pewno powinienem się spodziewać czegoś w tym stylu, ale byłem kompletnie załamany.

Serce waliło mi jak młotek, ręce miałem zimne, wilgotne i jedyne na co miałem ochotę to skulić się w kłębek jak wtedy kiedy zginął Bubba. Tak też zrobiłem. Wczołgałem się w krzaki rosnące na czyimś podwórku i skuliłem się w kłębek. Chyba nawet zaczęłem ssać kciuk czego nie robiłem od dawna, bo mama zawsze mówiła, że to najpewniejszy znak, że ktoś jest idiotą — chyba że jest niemowlakiem. Nie wiem jak długo siedziałem w tych krzakach. Pewno z półtora dnia.

Nie mogłem winić Jenny, postąpiła jak postąpiła i już. W końcu nie da się ukryć, że jestem idiota i choć wiele kobiet uważa swoich mężów za idiotów to nawet sobie nie wyobrażają co by było, gdyby naprawdę nimi byli. Najbardziej chyba było mi żal samego siebie, bo jakoś zawsze wierzyłem, że Jenny i ja jesteśmy sobie zapisani. Więc kiedy usłyszałem, że wyszła za męża poczułem się tak jakby połowa mnie umarła i nigdy nie będę taki sam jak dawniej. Bo zupełnie co innego były ucieczki Jenny, a co innego małżeństwo. Nawet popłakałem się w nocy, ale to niewiele pomogło.

Dopiero późnym popołudniem wyczołgałem się z krzaków i wróciłem do Bayou La Batre. Nikomu nic nie mówiłem, bo wiedziałem że to guzik da. Było trochę roboty przy rozlewiskach — łatanie siatek i takie tam. Więc się tym zająłem i zanim skończyłem nastął już mrok. Ale przynajmniej w głowie mi się przejaśniło. Wiedziałem co będę robił: od rana do nocy zasuwiał przy krewetkach jak mrówa na koksie. Bo co mi innego zostało?

No i zasuwiałem.

Tego roku zarobiliśmy siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów nie licząc kosztów. Interes tak dobrze się rozwijał, że musiałem zatrudnić jeszcze parę osób do pomocy. Najpierw nająłem Węża, naszego rozgrywającego z drużyny uniwersyteckiej, który nie był zbyt szczęśliwy z trenowania dzieciaków w Georgii. Przydzieliłem go do Curtisa, żeby wspólnie nadzorowali pogłębianie rozlewisk i kanałów. Potem dowiedziałem się, że trener Fellers przeszedł na emeryturę i że jego dwa draby też nigdzie nie pracują, więc nająłem wszystkich trzech do roboty na łódkach i w dokach.

Wkrótce miejscowa gazeta zniuchala co się dzieje i przysłała dziennikarza, żeby zrobił ze mną wywiad o tym jak to miejscowy chłopak odniósł wielki sukces. Artykuł ukazał się w najbliższą niedzielę: dali zdjęcie moje, mamy i Zuzi i całkiem pochlebny nagłówek: IDIOTA TRAFIA W DZIESIĄTKĘ.

Niedługo potem mama mi mówi, że przydałby się jej ktoś do pomocy w księgowości i do radzenia w finansach — a to z tego względu, że tak dużo zarabiamy. Dumiałem nad tym, dumiałem aż w końcu wydumałem pana Tribble. Wiedziałem, że ma łeb na karku i sam zarobił kupę szmalu zanim wycofał się z interesów. Ucieszył się z mojego telefonu i obiecał, że przyleci najbliższym samolotem.

W tydzień po przyjeździe pan Tribble mówi, że musimy usiąść i się naradzić.

— Forrest — mówi — osiągnąłeś coś naprawdę wyjątkowego, ale na tym etapie musisz podjąć poważne decyzje finansowe.

Pytam się jakie.

— Chodzi mi o inwestycje i rozszerzanie oferty! Słuchaj, w tym roku fiskalnym będziesz miał dochody rzędu stu dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów. W następnym około ćwierć miliona. Tak wysokie zyski trzeba inwestować, bo inaczej zeżrą cię podatki. Inwestowanie kapitału to podstawa amerykańskiej gospodarki!

Więc zainwestowaliśmy.

Pan Tribble sam zajął się wszystkim i otworzyliśmy jeszcze parę firm. Jedna nazywa się Małże Gumpa, druga Nadziewane Kraby Zuzi, trzecia Duszone Raki Mamy.

Tak czy siak z ćwierć miliona zrobiło się pół miliona, rok później milion, a po czterech latach mieliśmy pięć milionów rocznego dochodu. Obecnie zatrudniamy trzysta osób między innymi Balasa i Warzywo, którzy zakończyli kariery zapaśnicze i teraz noszą skrzynie z magazynu. Próbowaliśmy znaleźć biednego Dana, ale przepadł bez śladu. Odszukaliśmy za to Mike'a, tego organizatora walk zapaśniczych; został naszym rzecznikiem prasowym i szefem od reklamy. Udało mu się wynająć Raquel Welch, żeby zagrała

w naszych reklamówkach telewizyjnych. Przebrana za kraba tańczy i wyśpiewuje: „Nadziewane kraby Zuzi są najpyszniejsze na świecie!”

Dalekośmy zaszli. Mamy własne ciężarówki-chłodnie, całą flotę kutrów rybackich, kutrów do połowów krewetek, do połowów ostrygów i w ogóle. Mamy własną pakownię, budynek biurowy, inwestujemy grubo szmal w nieruchomości takie jak osiedla i centra sklepowe, a także w prawa eksplozyjne do ropy i gazu ziemnego. Najęliśmy profesora Quackenbusha, tego wykładowcę literatury na Harvardzie, który wyleciał z uczelni za napastowanie seksualne studentki i zrobiliśmy go kucharzem od duszenia maminych raków. Zatrudniliśmy też pułkownika Goocha, którego wylano z wojska po fiasku z moim objazdem Stanów. Pan Tribble uczynił go szefem od „zadań specjalnych”.

Mama zbudowała nam wielki dom, bo twierdzi, że taki ważny przedsiębiorca jak ja nie powinien mieszkać w byle budzie. Mówi, że Zuzia może pozostać w chacie i doglądać interesów. Codziennie wbijani się w garnitur i noszę teczkę jak, kurde, jaki prawnik czy co. Muszę chodzić na narady i słuchać różnych bzdur, z których tyle rozumiem co z jazgotu Pigmejów. Ludzie zwracają się do mnie „panie Gump” i w ogóle są jacyś tacy grzeczni. W Mobile dali mi klucze do miasta i zrobili mnie członkiem zarządu szpitala i orkiestry symfonicznej.

Któregoś dnia zjawia się u mnie w biurze paru gości i mówią, żebym kandydował do senatu Stanów Zjednoczonych.

— Idealnie się pan nadaje, panie Gump — twierdzi jeden z nich. Ma na sobie serżowy garnitur i pali wielkie cygaro. — Była gwiazda futbolu, bohater wojenny, sławny astronauta, przyjaciel prezydentów! Czego więcej trzeba?

Facet nazywa się pan Claxton.

— Ale wie pan — mówię mu — ja jestem idiota. Nic a nic się nie znam na polityce.

— Więc bez trudu znajdzie pan wspólny język z innymi senatorami! — ucieszył się pan Claxton. — Niech pan posłucha, potrzebni są nam tacy ludzie jak pan. Sól ziemi! Sól ziemi!

Wcale mi się to nie podoba. Zresztą coraz mniej mi się podobają cudze pomysły, bo to zwykle przez nie łądję w upałach. Ale jak powiedziałem o wszystkim mamie, od razu — co było do przewidzenia — zalała się łzami, tyle że radości a nie smutku i oświadczyła, że jeśli jej dziecko zostanie senatorem Stanów Zjednoczonych będzie to spełnieniem jej największych marzeń.

Dobra, nadszedł dzień kiedy miałem oficjalnie ogłosić, że będę kandydował. Pan Claxton i jego kumple wynajęli wielkie autotorium w Mobile i wypchnęli mnie na scenę przed tłum ludzi, którzy wybulili po pięćdziesiąt centów od łebka, żeby wysłuchać jak gadam od rzeczy. Najpierw sami, znaczy się pan Claxton i inni plotli nudne trzy po trzy, a potem była moja kolej.

— Rodacy... — zaczęłem.

Przemówienie napisał mi pan Claxton czy ktoś. Miałem je wygłosić, a później odpowiadać na pytania z sali. Są kamery telewizyjne, co rusz błyskają flesze, dziennikarze notują moje słowa. No dobra, odczytałem wszystko co było na kartce. Nic nie zrozumiałem, dla mnie był to jeden stek bzdur, ale w końcu co ja tam wiem? Jestem przecież idiota.

Nagle wstaje jakaś dziennikarka i zagląda do notatek.

— Stoimy na krawędzi katastrofy nuklearnej — mówi — gospodarka jest w ruinie, cały świat pomstuje na Amerykę, bezprawie opanowało nasze miasta, ludzie niedojadają, z naszych domów znikła religia, króluje zachłanność i chciwość, farmerzy bankrutują, zalewa nas fala cudzoziemców, którzy pozbawiają nas miejsc pracy, związki zawodowe są skorumpowane, w slumsach umierają niemowlęta, podatki są niesprawiedliwe, szkolnictwo pogrążyło się w chaosie, a głód, zaraza i wojna wiszą w powietrzu. Co w tej sytuacji, panie Gump, uważa pan za najbardziej niecierpiące zwłoki?

— Chce mi się siku — odpowiadani. Tłum dosłownie oszalał! Ludzie wrzeszczą, krzyczą, wymachują łapami. Ktoś z tyłu sali zaczął skaldować moje słowa, a po chwili wszyscy je podjęli.

— CHCE MI SIĘ SIKU! CHCE MI SIĘ SIKU! CHCE MI SIĘ SIKU!

Mama, która siedziała za mną na scenie podchodzi i odciąga mnie od mównicy.

— Wstydzilibyś się — mówi — wygadywać publicznie takie rzeczy!

— Nie, nie! — woła pan Claxton. — Wypadło znakomicie! I spodobało się ludziom. To świetne hasło na kampanię wyborczą!

— Co? — pyta się mama. Oczy ma jak wąskie szparki.

— CHCE MI SIĘ SIKU! — wyjaśnia pan Claxton. — Nie słyszy pani tego tłumu? Rzadko się trafia kandydat, który miałby taki dobry kontakt z normalnymi ludźmi!

Ale mamy to nie przekonuje.

— Hasło wyborcze?! — oburza się. — Chce mi się siku?! To obrzydliwe i wulgarne, a poza tym niby co ma znaczyć?

— To bardzo głębokie słowa, pani Gump — mówi pan Claxton. — Umieścimy je na tablicach, transparentach, zderzakach samochodów. Wykorzystamy w reklamach telewizyjnych i radiowych. To prawdziwy przebłysk geniuszu! Hasło CHCE MI SIĘ SIKU znakomicie oddaje to, co czują wszyscy Amerykanie, a mianowicie, że indywidualne potrzeby nie powinny być dłużej spychane na boczny tor przez interesy globalne. Wyraża frustrację i pragnienie ulgi!

— Co takiego? — pyta się podejrzanie mama. — Postradał pan rozum, czy co?

— Forrest — mówi pan Claxton — możesz już pakować walizki! Na pewno pojedziesz do Waszyngtonu!

Na to się zanosilo. Kampania wyborcza ruszyła naprzód pełną gębą a hasło CHCE MI SIĘ SIKU stało się sloganem dnia. Ludzie krzyczeli je na ulicy, z okien samochodów i autobusów. Komentorzy telewizyjni i filetoniści w gazetach mieli pełne ręce roboty tłumacząc ludziom co ono znaczy. Kaznodzieje wykrzykiwali je w kościołach, dzieciaki śpiewały w szkołach. Wyglądało na to, że mam wygraną jak w banku. Nawet mój przeciwnik w desperacji zdecydował się na hasło MNIE TEŻ CHCE SIĘ SIKU! i wytapetował nim cały stan.

A potem tak jak się obawiałem wszystko się nagle ryfło.

Kampania pod hasłem CHCE MI SIĘ SIKU zwróciła na siebie uwagę prasy ogólnokrajowej i wkrótce „Washington Post” i „New York Times” przysłały własnych dziennikarzy, żeby zbadali sprawę. Przeprowadzili ze mną wywiady i byli bardzo sympatyczni i w ogóle, ale potem zaczęli grzebać w mojej przeszłości. Pewnego dnia na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju pojawiły się artykuły na mój temat. MĘTNA PRZESZŁOŚĆ KANDYDATA NA SENATORA — pisały nagłówki.

Autorzy zaczęli od tego, że po pierwszym roku wylano mnie ze studiów. Wygrzebali te bzdury o tym jak gliny aresztowały mnie w kinie za napaść na Jenny Curran. Wydrukowali moje zdjęcie jak pokazuję tyłek prezydentowi Johnsonowi w Ogrodzie Różanym. Rozpytywali o mnie ludzi, których znałem w Bostonie kiedy grałem ze Zbitymi Jajami i napisali, że paliłem marihuanę i byłem „zamieszany w podłożenie ognia” na terenie Uniwersytetu Harvarda.

Co najgorsze, dowiedzieli się, że po tym jak rzuciłem order na schody Kapitolu stawałem przed sądem i sędzia skierował mnie na obserwację do domu wariatów. Wiedzieli o mojej karierze zapaśniczej i że miałem ksywę Osioł. Zamieścili nawet zdjęcie z mojej walki z Profesorem, kiedy leżę związany jak baleron. Na koniec powołując się na „poufne źródła” napisali, że swojego czasu „cały Hollywood szumiał” o moich „ekscesach seksualnych z pewną znaną aktorką”.

To przesądziło sprawę. Pan Claxton przyleciał do naszego sztabu wyborczego.

— Jesteśmy zrujnowani! — krzyczał. — Wbito nam nóż w plecy! — I takie tam bzdety.

W każdym razie było już po herbacie. Nie miałem wyjścia, musiałem wycofać swoją kandydaturę. Nazajutrz mama, pan Tribble i ja odbyliśmy naradę.

— Forrest — mówi pan Tribble — najlepiej, jeśli przez jakiś czas postarasz się nie zwracać na siebie uwagi.

Wiem, że ma rację. W dodatku jest jeszcze coś co mi od dawna nie daje spokoju, choć nikomu dotąd nie pisałem o tym słowa.

Kiedy rozkręcałem interes lubiłem pracować, wstawać o świcie, chodzić nad rozlewiska, stawiać siatki, wylawiać krewetki, potem siadać z Zuzią na ganku przed chatą i grać na harmonijce, a w soboty upijać się piwem.

Ale to wszystko się diametrowo zmieniło. Teraz muszę bywać na przyjęciach gdzie

ludzie jedzą jakieś podejrzane rzeczy, a kobiety noszą długie kolczyki i inne paskuctwa. Telefon zarywa się całymi dniami i ludzie zawracają mi głowę różnymi banialukami. W senacie byłoby jeszcze gorzej. A przecież już teraz nie mam dla siebie wolnej chwili, życie jakby umyka obok.

Kiedy patrzę do lustra widzę na twarzy zmarszczki, włosy na skroniach mi siwieją i czuję, że nie mam tyle energii co kiedyś. Interes niby kwitnie, ale ja... ja mam wrażenie jakbym się kręcił w kółko. Zastanawiam się po co to wszystko robię. Dawno temu mieliśmy z Bubbą wspaniałą pomysł; udało mi się go zrealizować lepiej niż nam się śniło, ale co z tego? Znacznie lepiej się bawiłem jak łoiliśmy dupę tym palantom z Nebraski na stadionie Orange Bowl albo jak grałem na harmonijce ze Zbitymi Jajami, a nawet jak oglądałem *Rodzinę z Beverly Hills* z prezydentem Johnsonem.

Brak Jenny pewno też ma z tym związek, ale trudno, nic na to nie poradzę. Muszę o niej zapomnieć i tyle.

W każdym razie postanowiłem wyjechać. Mama jak to mama zaczęła beczeć i trzeć oczy chustką, ale pan Tribble od razu mnie poparł.

— Powiemy wszystkim, że wzięłeś długi urlop — mówi. — No i oczywiście będziemy dbać o twoje interesy.

I takśmy to załatwili. Kilka dni później wzięłem trochę forsy, wrzuciłem parę rzeczy do torby podróźnej i poszedłem do firmy się pożegnać. Pożegnałem się z mamą i panem Tribble, a potem po kolei fundowałem grabę wszystkim co u mnie pracowali: Mike'owi i profesorowi Quackenbushowi, Balasowi, Warzywie i Wężowi, trenerowi Fellersowi i jego drabom, tacie Bubby, no i innym.

Na końcu poszedłem do chaty, w której mieszkał Zuzia.

— Zostajesz? — pytam się go.

Ale Zuzia złapał mnie za rękę, chwycił z podłogi moją torbę i ruszył do drzwi. Wsiedliśmy razem do małej łódki i powiosłowali do Bayou La Batre, a stamtąd pojechali autobusem do Mobile.

Na dworcu kupuję bilety na dalszą drogę.

— Dokąd chce pan jechać? — pyta się kasjerka. Wzruszam ramionami, że nie wiem. A ona na to:

— Niech pan jedzie do Savannah. Kiedyś tam byłam, to bardzo ładne miasto. Dobra, myślę sobie. Niech będzie Savannah.

26

Kiedy wysiedliśmy w Savannah, lało jak by kto w niebie trawę podlewał, więc wbiegliśmy z Zuzią do budynku dworca. Tam kupiłem sobie kawę i wyszliśmy na zewnątrz, stanęli pod arkadami i dumamy co dalej.

Nie wymyśliłem nic mądrego, więc kiedy wypilem kawę wyjąłem z kieszeni harmonijkę i zacząłem grać. Zagrałem parę kawałków i nagle patrzę, a facet który przechodził obok wrzucił mi do kubka po kawie dwadzieścia pięć centów. Pograłem jeszcze trochę i wkrótce kubek do połowy zapełnił się drobnymi.

Przestało padać, więc ruszyliśmy z Zuzią przed siebie i niedługo doszliśmy do parku w samym centrum miasta. Usiadłem na ławce i znów zacząłem grać, a ludzie znów zaczęli wrzucać moniaki do kubka. W końcu Zuzia skapował się o co chodzi, porwał kubek i sam wędrował z nim od przechodnia do przechodnia. Do wieczora uzbieraliśmy prawie pięć dolców.

Tę noc przekimaliśmy na ławce w parku. Noc była ładna, pogodna, z księżycem i gwiazdami. Rano zjedliśmy śniadanie i zacząłem grać kiedy ludzie szli do pracy. Zarobiliśmy osiem dolców, następnego dnia dziewięć, a w sobotę i niedzielę jeszcze więcej. W poniedziałek poszedłem do sklepiku ze sprzętem muzycznym zobaczyć czy nie mają harmonijki w tonacji G, bo to ciągle granie w C już mi się znudziło. Nagle dojrzałem wystawione na sprzedaż używane klawisze. Wyglądały identycznie jak te, na których grał George w Zbitych Jajach i na których dał mi parę lekcji.

Spytałem się sprzedawcy ile za nie chce. Powiedział, że dwieście dolarów, ale trochę mi spuści. Więc kupiłem klawisze, a facet dodatkowo zamontował mi taką podpórkę z uchwytem, żebym równocześnie mógł grać na harmonijce. Nasza popularność od razu wzrosła. Pod koniec następnego tygodnia wpadało nam prawie dwanaście dolców dziennie, więc wróciłem do sklepu i kupiłem używaną perkusję. Po kilku dniach ćwiczeń bębniłem jak stary. Wyrzuciłem plastikowy kubek po kawie i fundnałem Zuzi taki prawdziwy, metalowy. Radziliśmy sobie całkiem nieźle. Grałem wszystko od „The Night They Drove Ole Dixie Down” po „Swing Lo' Sweet Chariot”, poza tym znalazłem pensjonat, w którym zgodzili się przyjąć mnie z Zuzią a w dodatku podawali śniadania i kolacje.

Któregoś dnia idę z Zuzią do parku kiedy znów *zaczyna* lać. Zdaje się, że na tym polega urok Savannah — co drugi dzień leje tu jak pod rynną. Ale nic, przechodzimy koło wielkiego biurowca kiedy nagle widzę coś znajomego.

Na chodniku stoi facet w garniturze i trzyma parasol, a przed nim sterczy duża plastikowa torba na śmieci. Ktoś się pod nią chowa od deszczu. No dobra, patrzę, a tu po chwili spod torby wysuwają się ręce i pucują buty gościa z parasolem. Przechodzę przez ulicę, żeby się lepiej przyjrzeć, no i faktycznie: spod plastiku wystaje kawałek deskorolki. Tak się ucieszyłem, że chciało mi się skakać z radości, ale nie skaczę tylko podchodzę jeszcze bliżej, ściągam torbę i kogo widzę? Dana, który zarabia na życie jako czyścibut!

— Oddawaj mi torbę, jęlopie — mówi Dan — bo zmoknę do suchej nitki. — Nagle widzi Zuzię. — Co, jednak się ożeniłeś?

— Przecież to samiec! — wołam. — Opowiadałem ci jak poleciliśmy razem w kosmos...

— Będziesz mi czyścił buty czy gadał? — pyta się facet z parasolem.

— Spadaj pan, zanim ci odgryzę zelówki — Dan na to. Wiec gość spadł.

— Co tu robisz, Dan? — pytam go.

— A jak ci się zdaje? Zostałem komunistą.

— Takim jak ci, z którymi walczyliśmy w Wietnamie?

— To były żółtki, a nie prawdziwi komuniści — wyjaśnia Dan. — Mnie interesuje

Marks, Lenin, Trocki i cała ta ferajna.

— To dlaczego czyścisz buty? — pytam.

— Żeby zawstydzić imperialistycznych pacholków — odpowiada. — Uważam, że każdy facet w wyglancowanych butach to dupek, który trafi do piekła. Więc *czyszczę* im buty, żeby na pewno tam trafili.

— Skoro tak mówisz... — mówię. Dan cisnął szmatę na ziemię i wtoczył się pod arkady, żeby uciec od deszczu.

— Cholera, Forrest, wcale nie jestem żadnym pieprzonym komunistą — powiada. — Nawet by nie przyjęli kogoś takiego jak ja.

— Na pewno by przyjęli, Dan. Zawsze mi mówiłeś, że mogę być kim chcę i robić co chcę, tylko muszę uwierzyć w siebie. I ty też możesz!

— Wciąż wierzysz w te bzdury? — pyta się mnie.

— Widziałem Raquel Welch gołą jak święta turecka — nowie.

— Serio? Jak wyglądała?

Odtąd trzymaliśmy się razem: Dan, Zuzia i ja. Dan nie chciał zamieszkać w pensjonacie, więc nocował na dworze pod torbą na śmiecie. Mówił, że to „wzmacnia charakter”.

Opowiedział mi też co porabiał od wyjazdu z Indianapolis. Najpierw stracił prawie całą forszę na wyścigach psów, a resztę przepił. Potem zaczął pracować jako mechanik w warsztacie samochodowym, bo na swojej deskorolce mógł łatwo wjeżdżać pod podwozia, ale w końcu mu się znudziło, bo ciągle chodził upaprany w smarze.

— Może i jestem kaleką, włóczęgą i pijakiem — powiedział — ale lubię być czysty.

Potem wrócił do Waszyngtonu gdzie akurat szykowali się do odsłony pomnika ku czci tych co zginęli w Wietnamie. Kiedy organizatorzy dowiedzieli się kim Dan jest, koniecznie chcieli, żeby wygłosił przedmowę. Zgodził się. Ale przed odsłoną upił się na jakimś bankiecie i zapomniał co ma powiedzieć. Więc zwędził Biblię z pokoju hotelowego i kiedy nadeszła jego kolej odczytał całą Księgę Urodzaju. Zabierał się do odczytania kilku kawałków z Księgi Liczb kiedy wyłączyli mikrofon i ściągli go siłą z mównicy. Potem przez jakiś czas zebrał, ale szybko zrezygnował z tej roboty, bo była „poniżej jego godności”.

Z kolei ja opowiedziałem mu o tym jak grałem w szachy z panem Tribble, jak rozkręciłem interes z krewetkami i jak startowałem na senatora, ale Dana interesowała tylko Raquel Welch.

— Myślisz, że te jej cycki są prawdziwe? — spytał.

Od przyjazdu do Savannah minął chyba z miesiąc, no i szło nam całkiem nieźle. Ja robiłem za jednoosobową orkiestrę, Zuzia zbierała pieniądze, a Dan czyścił słuchaczom buty. Pewnego dnia zjawił się dziennikarz z miejscowej gazety i porobił nam zdjęcia. Umieścili je na pierwszej stronie.

WŁÓCZĘDZY ZAKŁÓCAJĄ SPOKÓJ W PARKU — pisało w nagłówku.

Któregoś popołudnia siedzę i gram i dumam sobie, że może powinniśmy wyjechać do Charleston kiedy jakiś chłopczyk staje przed moimi bębnami i gapi się na mnie.

Grałem akurat „Ridin' on the City of New Orleans”. Dzieciak gapi się i gapi, ani się nie uśmiecha ani nic, ale jego oczy błyszczą jakoś tak znajomo. Podnoszę wzrok i rozglądam się po tłumie i nagle, jak bum-cyk-cyk, dostrzegam w tym tłumie pewną kobietę i o mało nie mdleję z wrażenia.

Bo to Jenny Curran.

Ma włosy zakręcone na lokówkach i wygląda trochę starzej i bardziej zmęczono, ale nie ulega wątpliwości, że to ona. Tak się zdumiałem jej widokiem, że zrobiłem kiksa na harmonijce, ale nic, dokończyłem melodię, a wtedy Jenny podeszła i wzięła chłopczyka za rękę.

Oczy jej błyszczą jak szalone.

— Och, Forrest — mówi mi — jak tylko usłyszałam harmonijkę, wiedziałam, że to musisz być ty. Nikt na niej tak pięknie nie gra.

— Co tu robisz? — pytam się jej.

— Mieszkamy w Savannah — mówi. — Od trzech lat. Donald jest zastępcą kierownika w firmie produkującej dachówki.

Przestałem grać, więc ludzie się rozeszli i Jenny usiadła obok mnie na ławce. Chłopczyk podbiegł do Zuzi, który z miejsca zaczął fikać koziołki, żeby go rozśmieszyć.

— Jak to się stało, że zostałeś jednoosobową orkiestrą? — pyta się Jenny. — Bo mama mi pisała, że założyłeś wielką hodowlę krewetek w Bayou La Batre, że wspaniale ci idzie i jesteś milionerem.

— To długa historia — mówię.

— Znowu wpadłeś w tarapaty?

— Nie, nie tym razem — mówię. — A co u ciebie? Jak ci się układa?

— Och, chyba dobrze. Chyba mam to, co chciałam.

— To twój synek? — pytam się.

— Tak. Fajny, nie?

— Fajny. Jak się nazywa?

— Forrest.

— Forrest? Dałaś mu moje imię?

— Nic dziwnego — mówi cicho Jenny. — W końcu w połowie jest twój.

— W połowie jest co?

— Twój. To twój syn, Forrest.

— Mój co?!

— Twój syn. Mały Forrest.

Spojrzałem na niego. Stał obok, chichotał i z radości klaskał w łapki, bo Zuzia właśnie popisywał się staniem na rękach.

— Pewnie powinnam cię była jakoś o tym zawiadomić — mówi Jenny. — Widzisz, kiedy wyjeżdżałam z Indianapolis, byłam w ciąży. Nie wiem dlaczego, ale nie bardzo chciałam ci o tym mówić. Może dlatego, że byłeś wtedy zadowolony z siebie jako Osioł i trochę się martwiłam, no wiesz, jakie będzie nasze dziecko.

— Znaczy się czy nie będzie idiota?

— Tak jakby. Ale nie jest. Umysł ma jak brzytwa. W tym roku idzie do drugiej klasy. A w pierwszej miał same piątki. To naprawdę wyjątkowe dziecko.

— Na pewno jestem jego ojcem?

— Nie ma dwóch zdań — odpowiada Jenny. — Jak dorośnie, chce grać w futbol albo zostać astronautą.

Przyglądam się chłopczkowi. Jest silny, ładny. Spojrzenie ma jasne i wygląda tak jakby nie bał się niczego. Razem z Zuzią grają na ziemi w kółko i krzyżyk.

— No a co... co z twoim...

— Z Donaldem? — domyśla się Jenny. — Nic o tobie nie wie. Poznałam go wkrótce po wyjeździe z Indianapolis. A ponieważ brzuch zaczynał mi rosnać, zgodziłam się wyjść za Donalda. To miły i porządny człowiek. Dobrze się opiekuje mną i małym Forrestem. Mamy domek, dwa samochody, w sobotę jeździmy na plażę albo do lasu, a w niedzielę chodzimy do kościoła. Donald już odkłada pieniądze, żeby posłać małego Forresta na studia.

— Mogę pogadać z dzieciakiem? — pytam się. — Zamienić z nim ze dwa słowa?

— Oczywiście! — Jenny wstaje i woła synka. — Forrest — mówi do niego — chcę ci przedstawić dużego Forresta. To mój dobry przyjaciel. Właśnie na jego cześć zostałeś tak nazwany.

Chłopczek siada koło mnie.

— Masz śmieszna małpę — mówi.
— To orangut — tłumaczę. — Samiec. Nazywa się Zuzia.
— Jak samiec, to dlaczego nazywa się Zuzia? Nie ma wątpliwości: mój syn to nie idiota!
— Twoja mama mówi, że jak dorośniesz chcesz grać w futbola albo lecieć w kosmos.
— Pewnie — mówi. — Wiesz coś o futbole albo o kosmosie?
— Trochę — odpowiadam — ale lepiej spytaj o to swojego tatę. Na pewno wie więcej niż ja.

Mały przytulił się do mnie. Tylko na chwilę, ale i tak było to bardzo miłe.

— Chcę się jeszcze pobawić z Zuzią! — zawołał i zerwał się z ławki.

Zuzia wymyślił nową zabawę: mały Forrest podrzucał do góry monety, a Zuzia ganiał z kubkiem i łapał je w locie.

Jenny wraca na ławkę, wzdycha głęboko i poklepuje mnie po nodze.

— Czasem sama nie mogę w to uwierzyć — mówi. — Znamy się już ponad trzydzieści lat, od pierwszej klasy podstawówki.

Słońce świeci przez drzewa i rozjaśnia twarz Jenny; zdaje się, że łza kręci się jej w oku, ale nie spływa po policzku.

Jednak jest coś jeszcze, może bicie serca, nie pytajcie, bo nie wiem; wiem tylko, że na pewno coś było.

— Po prostu nie mogę uwierzyć — powtarza Jenny, pochyla się i cmoka mnie w czoło.

— W co? — pytam.

— Jacy z nas idioci! — mówi, a wargi jej drżą. — Jacy z nas straszni idioci!

A potem sobie poszła. Wstała, wzięła małego Forresta za rękę i poszła.

Zuzia podbiega do ławki, siada przede mną i rysuje na ziemi kratkę do gry w kółko i krzyżyk. Stawiani krzyżyk w prawym górnym rogu, Zuzia stawia kółko pośrodku i w tym momencie wiem, że nikt nie wygra.

Jeszcze tego dnia wykonałem ważny krok. Zadzwoiłem do pana Tribble i powiedziałem mu, żeby z moich dochodów z hodowli kreweteków dziesięć procent dawał mamie, dziesięć procent tacie Bubby, a całą resztę wysyłał Jenny dla małego Forresta.

Choć myślenie nie jest moją mocną stroną, po kolacji siadam i myślę. Całą noc myślę, a myślę sobie tak: po latach znów znalazłem Jenny. I mam z nią synka, więc może jakoś damy radę się razem zejść?

Ale im dłużej myślę tym lepiej rozumiem, że nic z tego nie wyjdzie. Nie, nie dlatego, że jestem idiota — chociaż to by była wygodna wymówka. Nie, po prostu tak już jest. Tak już jest i basta. Zresztą może i lepiej dla małego Forresta, że zostanie wychowany przez Jenny i jej męża niż gdyby miał mieć czubka za ojca.

Kilka dni później wyjeżdżamy z Savannah: ja, Zuzia i Dan. Najpierw pojechaliśmy do Charleston, potem do Richmond, potem do Atlanty, potem do Chattanooga, potem do Memphis, potem do Nashville, a na końcu do Nowego Orleanu.

W Nowym Orleanie nikogo nie obchodzi co kto wyprawia, więc czujemy się tu świetnie, codziennie dokazujemy na Jackson Square i oglądamy co robią inni pomyleńcy.

Kupiłem rower z dwoma przyczepami po bokach dla Zuzi i Dana i w każdą niedzielę pedałuję nad rzekę i łowimy raki. Jenny pisze do mnie mniej więcej raz w miesiącu i przysyła mi zdjęcia małego Forresta. Na ostatnim ubrany był w strój futbolowy. Poznałem tu taką jedną dziewczynę, która pracuje jako kelnerka w lokalu ze striptizem i czasem wygłupiamy się razem. Na imię jej Wanda. Ale najbardziej lubimy łązić w trójkę po French Quarter i gapić się na ludzi, bo wiercie mi, nie jesteśmy tu wcale największymi dziwolakami — niektórzy wyglądają jak niedobitki z rewolucji rosyjskiej albo co.

Któregoś dnia zjawia się facet z miejscowej *gazety* i mówi, że chce o mnie napisać

artykuł, bo jestem „najlepszą jednoosobową kapelą” jaką kiedykolwiek słyszał. Wypytuje mnie o to i tamto, więc myślę sobie: dobrze, opowiem mu wszystko po kolei. Zanim jednak doszłem do połowy facet mówi, że czegoś takiego nie wydrukuję, bo mu nikt nie uwierzy. I zmył się.

Ale jedno wam powiem: czasem w nocy kiedy wpatruję się w gwiazdy i widzę nad sobą całe niebo, myślę o swoim życiu. Mam marzenia, tak jak inni, i niekiedy próbuję sobie wyobrazić jak by wszystko mogło wyglądać. A potem nagle mam czterdzieści lat, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Kapujecie?

No dobra i co z tego? Może jestem idiota, ale zawsze chciałem dobrze — a marzenia to tylko marzenia, nie? I bez względu na to co się stało, przynajmniej mogę spojrzeć na swoje życie i powiedzieć: nie było nudne jak flaki z olejem.

A to też coś, nie?

Książka pobrana ze strony

<http://www.ksiazki4u.prv.pl>

lub

www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl